

MARCIN  
MELLER



CZERWONA  
ZIEMIA

THRILLER

W  
ydawnictwo  
ab

MARCIN  
MELLER

# CZERWONA ZIEMIA



Copyright © by Marcin Meller  
Copyright © for the Polish edition by  
Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII  
Wydanie I  
Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upowaznia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

## Spis treści

Dedykacja

Wtorek, 21 stycznia 2020

Piątek, 10 stycznia 2020

Październik 1996

Sobota, 11 stycznia 2020

Wrzesień 2015

Niedziela, 12 stycznia 2020

Poniedziałek, 13 stycznia 2020

Wtorek, 14 stycznia 2020

Środa, 15 stycznia 2020

Czwartek, 16 stycznia 2020

Piątek, 17 stycznia 2020

Sobota, 18 stycznia 2020

Marzec 1996

Sobota, 18 stycznia 2020

Marzec 1996

Sobota, 18 stycznia 2020

Marzec 1996

Niedziela, 19 stycznia 2020

Marzec 1996

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

Marzec 1996

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

Marzec 1996

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

Marzec 1996

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

Marzec 1996

Wtorek, 21 stycznia 2020

Marzec 1996

Wtorek, 21 stycznia 2020

Marzec 1996

Wtorek, 21 stycznia 2020

Marzec 1996

Wtorek, 21 stycznia 2020

Kwiecień 1996

Wtorek, 21 stycznia 2020

Kwiecień 1996

Środa, 22 stycznia 2020

Kwiecień 1996

Środa, 22 stycznia 2020

Maj 1996

Środa, 22 stycznia 2020

Maj 1996

Środa, 22 stycznia 2020

Czerwiec 1996

Czwartek, 23 stycznia 2020

Czerwiec 1996

Czwartek, 23 stycznia 2020

Czerwiec 1996

Czwartek, 23 stycznia 2020

Czerwiec 1996

Czwartek, 23 stycznia 2020

Styczeń / luty 2020

Epilog Lipiec 1996

PODZIĘKOWANIA

*Dla moich dzieci, Basi i Gustawa*

Wtorek, 21 stycznia 2020

– Wodospady Karuma. – Moses wskazał na prawo i zwolnił. Wiktor z podziwem spoglądał na rozszalały w dole Nil Wiktorii. Jakby patrzył na drapieżnika. Zbliźali się powoli do mostu.

– Dawniej miejscowi nazywali ten most *lamony jo*, to w języku Luo znaczy „pożeracz życia”. Żołnierze Idiogo Amina zabili tu tysiące ludzi z plemion Langi i Aczoli, które on uważał za swoich wrogów. Większość po prostu wrzucali do wody. Tutejsi nie potrafią pływać, nawet rybacy. Woda służy do mycia, nie do zabawy. Nie mieli szans. Tonęli, rozbijali się o skały. Zresztą tu najlepszy pływak miałby problemy. Ale to nie wszystko. Amin uważał, że kaleki przynoszą wstyd Ugandzie. Ogłosił, że stworzy dla nich specjalny ośrodek rehabilitacyjny niedaleko stąd. Zorganizowano kampanię promocyjną, ludzie się zgłaszali. Myśleli, że jadą do raj. A trafiali na ten nieszczęsny most.

Wiktor, który nie mógł oderwać wzroku od topieli, przeszedł dreszcz.

– Co jakiś czas dochodzi tu do wypadków. Zbyt duża prędkość, zepsute hamulce, ktoś zjeżdża z góry, zwłaszcza od strony Gulu, i leci przez barierkę prosto do rzeki. I znika na amen. Zresztą nie tylko ludzie znikają, samochody też.

– Jak to?

– Spójrz, co tam się dzieje. Ta woda porwie ciężarówkę jak zabawkę. Roztrzaska o skały, poniesie parę kilometrów. Było i nie ma.

Wiktor wpatrywał się we wspartą na dwóch potężnych filarach przeprawę. Zawieszona kilka, kilkanaście metrów nad spienioną, gnającą kilkadziesiąt kilometrów na godzinę wodą wydawała się wręcz niestosownie niepozorna. Kładka nad żywiołem. Wzdrygnął się, gdy wjechali na most.



– A ten co, do diabła, wyprawia? – Moses spojrzął w lusterko. Wiktor odwrócił się, by zobaczyć, co zaniepokoiło szofera. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zdążył jeszcze pomyśleć, że kierowca ciężarówki musi mieć nierówno pod sufitem, skoro wyprzedza na tak wąskim moście, gdy ciężarówka nagle szarpnęła w lewo, uderzając w ich samochód. Pas bezpieczeństwa wbił się w połamane żebra, Wiktor krzyknął z bólu. I ze strachu, bo podcięty krawężnikiem samochód wystrzelił w powietrze, przechylił się w lewo, ściął barierkę i poleciał prosto w otchłań kipiącego Nilu.

Piątek, 10 stycznia 2020

– Monika dzwoniła. – Agata podała telefon Wiktorowi z tym kpiącym wyrazem twarzy, który przybierała zawsze, kiedy sprawa dotyczyła któregoś z jego eks. Szczególnie ironiczną miną obdarzała go w przypadku Moniki, matki jego jedyne syna. Jak na adwokatkę miała niezły talent komiczny.

– Nie patrz tak na mnie – zaśmiała się – nie sprawdzam cię. Zostawiłeś telefon w kurtce. Jak poszedłeś do kibelka, to zaczął dzwonić, więc wyciszyłam.

Siedzieli w poczekalni gabinetu Pawła, jej ginekologa i ich kumpla jednocześnie, z drapiącą się zawzięcie trzyletnią Lilką. Mała na szczęście nie płakała, ale widać było, że cierpi przez to cholerne atopowe zapalenie skóry. Za nic jednak nie dała się przekonać do zostania w domu, musiała zobaczyć braciszka w brzuszku mamusi.

– No nie rób takiej głupiej miny i oddzwon do niej, zanim się nakręci.

Wybrał numer. Odebrała od razu.

– Cześć, co tam? – odezwał się zwyczajowym tonem fałszywego luzu. Byle nie wpadła w histerię.

– Coś się musiało stać Marcinowi. Nie odzywa się od dwóch dni.

– Monika, błagam... – Już wypowiadał słowo „błagam”, wiedział, że popełnił błąd. Ale było za późno.

– Tak, wiem, jestem histeryczką, zawsze przesadzam i wszystko wyolbrzymiam, a ty jesteś opanowany i rozsądny. Ale może posłuchaj, co mam ci do powiedzenia, co?

– Okej, przepraszam, już słucham, tylko ci powiem, że rozmawiałem z nim na WhatsAppie... Co mamy dzisiaj? Piątek? No to w środę, przedwczoraj. Był szczęśliwy, mówił, że ma fajnych znajomych

w Kampali i że posiedzi jeszcze ze trzy dni, a potem w drogę, sam do końca nie wiedział dokąd.

– Wiem, też z nim rozmawiałam w środę. Wczoraj rano napisał do mnie jeszcze na Messengerze, obiecał, że da znać, jak zainstaluje się w tym całym Gulu, na które go namawiałeś.

– Monika, do niczego go nie namawiałem, sam chciał pojechać.

– Wiem, wiem. Nieważne. – Nie cierpiał tego słowa, wywoływało w nim drgawki. Nawet jeśli ktoś używał go bez złych intencji. Monika jednak robiła to z pełną premedytacją. Przypieprzyć i rzucić „nieważne”. Przez chwilę poczuł się, jakby znowu był rok 1999. Nikt nie potrafił wkurwić go tak jak Monika. To trzeba jej oddać.

– Chodzi o to, że miał się odezwać wczoraj, i to w ciągu dnia, ale tego nie zrobił. Telefon ma wyłączony. Wysłałam mejla, pisałam na Messengerze, Insta i nic. Może powinnam założyć tego Signala, może tam odbiera, ty masz Signala? Na pewno masz, mógłbyś...

– Monika, może mu padł telefon, może nie ma zasięgu, nie trzeba od razu...

– Daruj sobie ten protekcjonalny ton. W przeciwieństwie do ciebie dobrze znam naszego syna – przerwała mu – gdyby wszystko było w porządku, toby się odezwał. Czyli nie jest. A jak już jesteś jego fantastycznym tatusiem, to może coś zrób, okej?

Westchnął głęboko.

– W porządku. Pamiętaj, że jest piątek wieczór. Zadzwonię rano do Mikołaja, on się chyba jeszcze uchował w MSZ, i zapytam, czy mogą coś zrobić. Okej?

– Tak. I daj mi natychmiast znać. – Rozłączyła się.

– Ostro. – Agata już się nie śmiała. – Ale co myślisz? Odwała jej czy faktycznie coś jest nie tak?

Zastanowił się.

– Nie wiem, ale nie sędzę. Znasz go. Utopił telefon, zgubił ładowarkę, zakochał się. Uderzę do niego dzisiaj, a jak mi się nie uda go złapać, zadzwonię rano do Mikołaja.

Z gabinetu wyszła kobieta z brzuchem jeszcze większym niż Agaty. Za nią doktor Piekarski.

– O! Panienska Lilusia! Czy panienska przyszła obejrzeć swojego młodszego braciszka? – Mała pokiwała głową z poważną miną.

– Kopnił mnie dzisiaj, wiesz? – powiedziała z przekrzywioną główką – Tu. – Podniosła prawą rączkę.

– A to łobuz! Po tatusiu pewnie – zaśmiał się Piekarski. – Już niedługo mu powiesz, jak należy się zachowywać. Zapraszam szanownych państwa.

\*

Telefon Marcina był wyłączony albo poza zasięgiem. Wiktor wysłał mu wiadomość na WhatsAppie. „Elo, dziadu! Odezwij się, matka szaleje, you know. Jak tam Gulu? Spróbowałaś już ananasów? Jak nie, to koniecznie! Najlepsze na świecie. Daj znaka. Stary”. To samo na Messengerze, Insta i Signalu. Siedział na podłodze, patrzył w telefon, gdy za plecami usłyszał tupot małych stóp. Plask! Rączka wylądowała na jego ramieniu.

– Buuuu! Przestraszyłam cię, tatusiu?

Odwrócił się, złapał córkę w pasie i podniósł.

– Straaaasznie! Jeszcze się boję. – Pocałował Lilkę w szyję i połaskotał. Chichotała jak nieprzytomna. – Chodźmy do mamy. Ją też trzeba nastraszyć.

## Październik 1996

Był w zabawowym ciągu od powrotu. Dobry tydzień. Gdy na Centralnym zobaczył rodziców i kilkunastoosobową bandę przyjaciół, mocno się wzruszył. Czekali na spóźniony autokar z Paryża z powitalnym transparentem. Do Paryża przyleciał z Nairobi przez Dubaj, bo tak było najtaniej. A że był już kompletnie spłukany, do Warszawy musiał dojechać autobusem.

Mama płakała, tata ocierał oczy, przyjaciele rzucali mu się w ramiona. Nie widzieli się równo rok. A byli to najlepsi przyjaciele na świecie. Trzy miesiące wcześniej wysłał do nich listy. Kilkanaście stron drobnym pismem skopiował w punkcie ksero i dopisał indywidualne peesy. Grube pliki wsadził do dużych kopert. Między złożonymi kartkami umieścił po dwie pocztówki w mniejszych kopertach. A pomiędzy pocztówki wsypał przetartą przez moskitierę trawę, którą kupował od dozorca kempingu. Pisał, że ma totalnego doła, sprawy w Ugandzie się posypały, a w dodatku kończą mu się pieniądze i chyba będzie zmuszony wracać do Polski. Po trzech tygodniach na kemping, gdzie mieszkał, zadzwoniła pani z polskiej ambasady w Nairobi z informacją, że czeka na niego przesyłka. Wsiadł w *matatu* i gdy otworzył odebraną od urzędniczki kopertę, ścisnęło go w gardle. W środku był list podpisany kilkunastoma nazwiskami. „Marzenia trzeba spełniać. Sorry, że na więcej nas nie stać”. Kilkaset dolarów i podziękowania za roślinne wkładki.

Z Centralnego pojechał do rodziców. Mama zrobiła najlepszego na świecie pieczonego kurczaka z frytkami, doprawiając go ckliwością, wzruszeniem i szczęściem. Wyszedł od nich o dziewiątej, zajrzał do swojego, wynajmowanego przez ostatni rok mieszkania, gdzie zostawił nierozpakowany plecak, i udał się na Hożą do Justyny i Marka, którzy szykowali powitalne przyjęcie. Po dwóch dniach ruszył w miasto.

Miał wolne do początku listopada. Gdy myślał o tekstach, które będzie musiał pisać po powrocie do pracy – sylwetkach polityków, reportażach o Ważnych Polskich Sprawach – zbierało mu się na wymioty. Wciąż miał przed oczami kolory Afryki, zapach czerwonej drogi po deszczu w dżungli na wyspach Ssesse, przełęcz w górach Etiopii, które pokonywał na pakach ciężarówek, śpiewy kobiet o świcie nad Jeziorem Wiktorii, taniec druhen na weselu w Gomie, poranne mgły skrywające Bukawu, Ugandę w nieskończonych odsłonach. I to niesamowite poczucie wolności. Przekonanie, że każdego kolejnego dnia możesz robić, co tylko zechcesz. Przypominał sobie słowa napotkanego w Zairze niemieckiego inżyniera: „W Zairze niemożliwe jest nie tylko możliwe, jest prawdopodobne, a czasami nawet pewne”. Rozciągnął ten aforyzm na całą Afrykę i o ile dla inżyniera niósł on w sobie pesymizm graniczący z fatalizmem, o tyle dla niego nadzieję i obietnicę. Już mu tego brakowało.

Teraz jednak cieszył się powrotem i życiem. Hulankami zagłuszał tęsknotę i żal z powodu spraw, które się zdarzyły, a na które nie miał wpływu.

Nie miał? Przez ostatnie trzy miesiące w Afryce budził się, nie wiedząc, gdzie jest, przekonany, że nadal śni, a gdy docierało do niego, że to nie sen, ogarniało go otępienie. Przed oczami wyświetlały mu się obrazy jak na pokazie slajdów. Skręcało go w środku. Po powrocie niewiele się zmieniło. Plecak nadal leżał nierozpakowany, on spał po znajomych. Ósmego dnia wylądował na Koszykowej, u Architektów.

Jako dopiero co powrócony weteran Afryki budził zainteresowanie, zwłaszcza płci pięknej. Ludzi w ogóle kręciła egzotyczna legenda. Ci, którzy marzyli o Afryce, nie mieli na nią kasy, z kolei ci, którzy kasę mieli, nie myśleli o Afryce. Wiktor był ewenementem i skwapliwie to wykorzystywał. Czuł się jak lis w kurniku. Do momentu gdy u Architektów zobaczył rudą.

Wieczorem udzielał wywiadu dla telewizji, więc był akurat najmniej pijany i zjarany z całej grupy. Zszedł po schodkach i zamarł. Tańczyła w towarzystwie kilku dziewczyn na wprost wejścia, między piwnicznymi filarami, basy *Blood, sugar, sex, magic* Red Hotów odbijały się od ścian. Papierosowy dym gryzł w oczy, wszystkie miejsca przy stolikach, pomiędzy którymi przeciskali się podpici młodzi ludzie, były zajęte, bar obleżony. Z oczu spoconych barmanów wyzierało szaleństwo.

Najpierw zwrócił uwagę na burzę rudych loków. Kończyły się w połowie pleców. Potem zobaczył twarz. Piękną, piegowatą, dziką. Ruda tańczyła bosa.

– Cześć, Marion! – rzucił, a w zasadzie krzyknął. Przestała tańczyć, spojrzała na niego zdziwiona.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś.

– A wyglądasz jak dziewczyna Robin Hooda. – Mówiąc to, wiedział, że ociera się o żenadę, ale cóż, naprawdę takie było jego pierwsze skojarzenie: tak powinna wyglądać idealna Marion. Dziewczyna się skrzywiła. – Okej, przepraszam, nie najlepszy tekst.

– No, nie najlepszy.

– Po prostu zatkało mnie, jak cię zobaczyłem, i jakoś tak wyszło – brnął dalej.

– Nie szarżuj. – Nie odwróciła się, ale z nim gadała. – A co ty taki zjarany?

– Nie, nie, nie – zamachał rękami – ja nie jarałem, to oni. – Kiwnął głową w stronę przyjaciół, którzy dotarli już do baru. Patrzyli na niego znacząco, trzepotali rzęsami, rozchylali usta, masowali się po sutkach.

– Z tobą naprawdę jest coś nie tak. Pytałam o twarz. Spałeś na solarce?

– A! To! – zaśmiał się, wreszcie rozluźniony. – Dopiero wróciłem z Afryki. Rok siedziałem. – Po raz pierwszy spojrzała na niego bez kpiny.

– Gdzie w Afryce?

Chwyciło.

– Głównie w środkowej. Kemping w Nairobi – zawahał się i dodał – w Kenii.

– Wiem, gdzie jest Nairobi. – Spojrzała na niego z politowaniem.

– Sorry, to nie takie oczywiste. Połowa moich znajomych nie wie.

– Okej, już nie przepraszaj. Co tam robiłeś?

– Podróżowałem i pisałem. Głównie dla „Polityki”, ale też dla takiej holenderskiej gazety. Super płacili, więc mogłem dłużej posiedzieć.

– I jak Kenia? – zapytała, przekrzykując opętane rytmy *Firestartera* The Prodigy. – Jak zobaczyłam *Pożegnanie z Afryką*, to postanowiłam pójść na afrykanistykę.

– I co? Poszłaś? – Nie mógł oderwać wzroku od jej intensywnie zielonych oczu, kontrastujących z czerwienią spadających na twarz włosów.

– W końcu nie. ASP, wzornictwo. Ale też trochę przez Afrykę. Po *Pożegnaniu* zaczęłam się interesować wszystkim, co afrykańskie, i jakoś mnie zainspirowało, żeby projektować materiały. No i ASP. Ale jak Kenia? Mów!

– Kenia w porządku, ale odjechałem kompletnie na punkcie Ugandy, byłem tam kilka miesięcy. – Nagle się zawiesił.

– Coś się stało? – zapytała.

– Nie, nic. Wiesz... – Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie szarżuje. – Może usiądziemy? Tam się zwolnił stolik, tu zaraz nas stratuja.

Kiwnęła głową.

– Tylko znajdę buty.



Sobota, 11 stycznia 2020

Otworzył oczy. Wiedział, że musi zrobić coś ważnego, ale nie potrafił sobie przypomnieć co. Agata spokojnie spała.

Marcin, trzeba sprawdzić, co z Marcinem. Już miał sięgnąć po komórkę, ale musiał choćby przez chwilę pobyć w kokonie złudnego bezpieczeństwa. Zamknął oczy i natychmiast pod powiekami wyświetliła mu się scena sprzed dziesięciu lat.

– Nigdzie z nim nie idę, po co w ogóle go tutaj wpuściłaś?! – Czternastoletni Marcin drżał z emocji. Do Wiktora jego słowa dobiegały jakby z oddali. Patrzył na twarz syna, bladą i lekko piegowatą twarz cherubinka, którą wykrzywił grymas wściekłości i bezsilności. Szukał w niej podobieństw do siebie i ich nie znajdował. Może przez poczucie winy.

– To twój ojciec – odpowiedziała Monika.

– Jaki ojciec?! Miał mnie w dupie i teraz się nagle obudził?! To jakiś, kurwa, żart!

– Słownictwo, Marcin! Uspokój się, proszę.

– Jaki spokój, mamó?! I ty go bronisz? Jak skończę osiemnaście lat, pozbędę się jego cholernego nazwiska!

Wiktor stał pod ścianą i milczał. Nie chciał wkurzyć chłopaka jeszcze bardziej. Marcin mówił o nim, a raczej krzyczał, jakby go tu nie było. Jakby był powietrzem. I tak w sumie się czuł. Ale musiał coś powiedzieć.

– Marcin, wiem, że nie mam praktycznie niczego...

– Gówno mnie obchodzi, czego nie masz! – wyrzeszczał, tym razem w jego kierunku, syn. Jego matka próbowała coś powiedzieć, ale tylko otworzyła usta. – Po prostu wyjdź i nie wracaj. Poradzę sobie. – Marcin miał łzy w oczach. – Nie masz syna. Nie masz! – Ostatnie słowa ledwo

wycharczał. Potem zamilkł, zapadł się w siebie i zaczął bezgłośnie płakać. Wiktor odruchowo wyciągnął rękę, ale napotkał spojrzenie Moniki. Opuścił głowę i ruszył w stronę drzwi.

Schodząc po schodach, płakał.

Czuł jakby to było wczoraj, tak samo bolał go brzuch. Ale nie płakał. Jeszcze – pomyślał. Złapał leżący na nocnej szafce telefon. SMS z memem od kumpla. Od Marcina nic. No dobra, to jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdził – przecież jeżeli syn miał jechać do Gulu, to teraz może być gdzieś w buszu, mógł spotkać jakąś dziewczynę, cokolwiek. Choć Marcin mógłby bardziej pilnować częstotliwości kontaktów z Moniką, przecież zna swoją matkę. Był na siebie trochę zły za to, że obiecał Monice telefon do kumpla z MSZ-u. Przecież minęły tylko trzy, w zasadzie dwa dni. Mikołaj go wyśmiej. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie ściemnić Monice, że dzwonił, ale coś tam, trzeba jeszcze poczekać. Tyle że nagle i on poczuł niepokój, nie daj Boże, jeśli naprawdę coś się stało albo stanie. Wstał cicho, żeby nie obudzić Agaty. Wyszedł z sypialni, pod pokojem Lilki nadstawił uszu, ale tam też było cicho. Poszedł do kuchni i zamknął drzwi.

Kiedy zaczął wybierać numer Mikołaja, wyświetliło mu się połączenie przychodzące od Darka Zawadzkiego, zastępcy redaktora naczelnego tygodnika „Reflektor”. Odebrał.

– Czołem, naczelniku, sorki, że w sobotę, ale mamy problem. Właśnie zadzwoniła Natalia, coś niedobrego ze zdrowiem przydarzyło się jej mamie, nie powiedziała dokładnie co, nie dopytywałem. Spytała, czy może jechać do domu.

Natalia była młodą reporterką, dwa lata wcześniej ściągnęli ją z wrocławskiej „Wyborczej”. Pisała głównie o edukacji i prawach kobiet i bardzo angażowała się emocjonalnie w pracę, według Wiktora czasami aż za bardzo. Dwa czy trzy razy prosił ją, żeby pohamowała się nieco

w mediach społecznościowych. Ale miała dwadzieścia siedem lat, kiedy ma się spalać jak nie teraz? Czasem go bawiła, niekiedy irytowała, ale najczęściej jednak zazdrościł jej młodzieńczego ognia pchającego ją do walki o lepszy świat.

– Niech jedzie, pewnie.

– Tylko że robi materiał okładkowy do najbliższego numeru, ten o aborcji, jeszcze nie skończyła, zostały jakieś spotkania, a jej mama mieszka pod Jelenią Górą. To nie jest kwestia dnia czy dwóch. Nie mamy niczego na zamianę. Poza tym z tego co zapowiadała, szykuje się petarda.

– Kurde, faktycznie. Szlag.

– No właśnie. To co robimy?

Wiktor myślał, zastępca czekał. Z łazienki dobiegł odgłos prysznica, Agata wstała.

– Niech jedzie. Tylko niech zdecyduje, czy chce, żeby ktoś dokończył za nią tekst, czy sama napisze po powrocie. A ty szukaj czegoś na podmiannę.

Rozłączył się i dokończył wybieranie numeru Mikołaja. Znali się jeszcze ze studiów, przyciągnęły ich do siebie zupełnie odmienne charaktery i temperamenty, prawie zostali przyjaciółmi. Rozrywkowy, w gorącej wodzie kąpany Wiktor Tilszer i intelektualny, refleksyjny Mikołaj Burchard. Pod koniec komuny Wiktor ścigał się z zomowcami, a Mikołaj pisał eseje o wolnej i pięknej Polsce. Po przełomie Wiktor wybrał media, Mikołaj – służbę państwową, najpierw powstający Urząd Ochrony Państwa, potem Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Drogi im się rozeszły, pozostały wzajemna sympatia i szacunek.

– Parówo, jak tam, jeszcze cię nie wyjebali? – zagaił Wiktor.

– Słyszę, że dalej jesteś infantylnym matolem, cześć. Wiesz, jakby na moje miejsce mieli kogokolwiek o choćby trzech szarych komórkach, to już by się mnie pozbyli. Na razie muszą trzymać.

– Nic nie muszą. Nie takie rzeczy, przecież wiesz.

– No niby tak, ale dopóki nie zakończę negocjacji norweskich długów, to się mnie nie pozbędą, bo koncertowo by się wywalili. Nie potrafią tego ogarnąć. A tak ogłoszą, że dzięki dobrej zmianie setki milionów pozostały w budżecie.

– Chuj z długami, godność kosztuje. Ale tak, oni nic nie potrafią.

– No tak. Z pożytkiem dla mnie. Ale rozglądam się powoli za robotą, bo to jednak kwestia czasu. Ściągną na moje miejsce katechetę, co był raz w Rzymie, więc obyty. Albo harcerza z partyjnej młodzieżówki. Nie potrzebujesz wszystkowiedzącego komentatora do spraw międzynarodowych?

– Jak będzie naprawdę źle, to coś wymyślę. Ale teraz mam sprawę.

– Dawaj.

– Przede wszystkim sam nie wiem, czy nie podnoszę przedwczesnego alarmu.

– Mów, o co chodzi.

– Dobra. Mój Marcin pojechał dwa tygodnie temu do Ugandy. Wiesz, chce wejść w buty ojca, pogłębianie relacji, te rzeczy, super, serio, zwłaszcza po tym, co się działo. A przede wszystkim przygoda. Odzywał się w kratkę. W środę wieczorem napisał do Moniki, że jedzie do Gulu, to takie miasto na północy, długo tam siedziałem w latach dziewięćdziesiątych, i da znaka już stamtąd. No i cisza. Wiem, wiem, chłopak ma dwadzieścia dwa lata, zaraz nas pewnie poinformuje, że termity mu zjadły komórkę. Poza tym za wcześnie na działania dyplomatyczne, ale Monika szaleje. Obiecałem jej, że do ciebie zadzwonię.

– Okej, kiedy mówisz? Środa?

– Środa, tak.

– No, to faktycznie trochę wcześniej, żeby z czymś ruszać.

– Wiem, wiem, ale obiecałem Monice.

– Rozumiem. W porządku, powiedz jej, że ze mną rozmawiałeś i że się tym zająłem. My tam chyba nie mamy ambasady...

– No nie. Uganda jest pod ambasadą w Kenii.

– Co oczywiście nie upraszcza sprawy, a w dodatku jest sobota. Posłuchaj, zrobimy tak: najpierw sprawdzę, czy kogoś w ogóle tam znam. Nie sądzę, ale kto wie, wtedy będę mógł odezwać się nieoficjalnie. Jeśli nie, napiszę do konsula, ale nie sądzę, żeby odpowiedział przed poniedziałkiem. To mała placówka, w weekend niczego raczej nie załatwią, chyba żeby sprawa była pożarowa, a na tę chwilę pewnie nikt tak nie uzna. Poza tym wszyscy w MSZ-ecie wiedzą, że jestem gorszego sortu, a ty to już w ogóle, więc nie będą się palić do nadaktywności. Zwłaszcza że mogli już tam wrzucić kogoś z nowego rozdania.

– Tja...

– Przykro mi, ale nie chcę ci robić nadziei bez sensu. Mogę tylko obiecać, że wrócę z czymś w poniedziałek.

Wiktor zaczął analizować sytuację. Do poniedziałku Monika zwariuje. Ale z drugiej strony za chwilę będzie mógł jej powiedzieć, że coś się zadziało. Zresztą i tak nie miał specjalnego wyboru.

– Dobrze. Wielkie dzięki, Mikołaj.

– Tylko nie obiecuj Monice za dużo.

– Tak, tak, rozumiem, jasne. Dzięki.

– Trzymaj się. I bądźmy dobrej myśli. A, pamiętaj, że z wykształcenia jestem historykiem sztuki. Na pewno masz w gazecie niesamowite zapotrzebowanie na moją wiedzę.

– No ba, kochany! To czekam. Jeszcze raz dzięki.

\*

– Monika, rozmawiałem z Mikołajem, w poniedziałek...

– W poniedziałek?!

– Monika, pliz...

– Nawet nie zaczynaj!

– Okej, okej, słuchaj, jest sobota, tam teraz nikt nie pracuje, a na telefon alarmowy do konsula nie ma co dzwonić. Mikołaj jeszcze dzisiaj sprawdzi, czy kogoś zna, ale nawet jeśli, to nie oznacza, że ten ktoś będzie mógł załatwić coś w Ugandzie w weekend. Nie wiemy, jakie osobiste kontakty w Kampali mają ludzie z ambasady w Nairobi. I czy w ogóle będą chcieli pomóc, czy zasłonią się formalnościami. Ale najprawdopodobniej nikogo nie zna i będzie pytał drogą służbową, a to potrwa. Wiem, że się denerwujesz, ja też, ale dla ludzi z zewnątrz to wygląda tak, że student podróżujący po Afryce przez kilka dni nie odezwał się do matki i tyle. Nikt z tego powodu nie wyśle helikopterów.

– Wiem, wiem. Wbrew temu, co sądzisz, nie jestem wariatką. Ale uwierz mi, ja to czuję, to jest poza moim umysłem, coś jest nie tak. Uwierz mi, proszę cię. – Zamilkła. Słyszał, że jest roztrzęsiona. Kiedy byli razem, w takich chwilach wtulała się w niego, a on obejmował ją jak najmocniej, by stłumić ten wewnętrzny dygot. Jej nadwrażliwość początkowo go rozczulała, później zaczęła irytować, aż wreszcie, na ich nieszczęście, wkurwiać do imentu.

– Monika, zaufaj mi. Zresztą ten głupek za chwilę może się odezwać, nie?

– Oby Wiktor. Oby.

Rozłączył się. Poczł, jak irracjonalny niepokój Moniki przechodzi na niego. Niech ją szlag! – pomyślał. Ja pierdołę, przecież sam wtedy nie odzywałem się do rodziców przez wiele tygodni. Swoją drogą, co oni musieli przechodzić?

W Bahir Dar w Etiopii na połączenie z Polską czekał na poczcie przez dwa dni . „Mamo! Żyję! Kocham was!” – krzycał do słuchawki. Kiedy wrócił, matka mówiła, jak strasznie tęskniła i jak bardzo się bała. Wtedy niewiele sobie z tego robił. Teraz chodziło o jego dziecko. Ale też wtedy

czasy były inne, w Afryce mało kto miał komórkę. On nie miał jej nawet w Polsce, nie stać go było na prywatną, a służbowej nie dali. Pierwszą kupił trzy lata później, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, przymuszony przeprowadzką do mieszkania bez telefonu stacjonarnego.

Na zdrowy rozum nie było powodów do niepokoju. Chłopak urwał się na chwilę, zaraz się odezwie. Może pojechał na jakieś safari albo trekking po dżungli i zapomniał powiadomić rodziców. No pomyśl – przekonywał się w myślach Wiktor – jak masz dwadzieścia parę lat, to spokój twoich starych nie jest na szczycie listy priorytetów. Nowa dupa – tak. Fajni nowi znajomi – tak. Perspektywa przygody – tak. Ale nie starzy. Ile razy sam zapomniał o rodzicach, o czymś ich nie powiadomił, coś obiecał i nie dotrzymał słowa. Jemu się wydawało, że to nieistotny drobiazg, a poza tym przecież jest już dorosły. A im świat walił się na głowy.

Marcin mógł przecież po prostu dołączyć do jakichś nowo poznanych ludzi. A bo to raz sam tak robił? Tej nocy u Architektów opowiadał Monice, jak siedział w Nairobi na kempingu Mamy Roche, mekce freaków z całej Afryki, i planował wyjazd do Somalii. Mama Roche, czyli pani Roche, bo w suahili „mama” znaczy właśnie „pani”, a właściwie to w ogóle Janina Jurkowska z Kresów, która trafiła do Kenii przez Syberię, Persję i Tanganikę, była legendą. Po śmierci francuskiego męża na początku lat siedemdziesiątych udostępniła swój ogród na kemping dla nieśmierdzących groszem włóczykijów. Zresztą nie tylko ogród, w kuchni jej domu odbywały się wieczorami huczne libacje, często z udziałem samej Mamy, która nie wylewała za kołnierz, a kenijskie sportsmany paliła jak smok. Jej polski był niepowtarzalny: wschodni zaśpiew mieszał się z angielskimi słowami i idiomami okraszonymi suahili. Zapytana kiedyś o stukniętego peugocika wypaliła:

– Nu na bumpach ja sfolgowała, a Murzyn mnie w dupę wjechał.

No i któreś nocy w kuchni u Mamy, pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, kiedy był prawie pewien, że za kilka dni zabierze się ONZ-owskim samolotem do Somalii, spotkał przy stole parę rówieśników z Niemiec. Carsten i Nadine pochodzili z dawnej NRD, co miało znaczenie o tyle, że natychmiast – między machami trawy kupowanej od pomocnika Mamy, Stevena – zaczęli wspominać świat swojego, do pewnego stopnia wspólnego z Wiktorowym, dzieciństwa. Te same filmy, te same radości, braki i tęsknoty. Chociaż rozmawiali po angielsku, siedzący przy stole Anglicy i Izraelczycy niczego nie rozumieli. Jak mieli rozumieć, słysząc opowieści o Janosiku, Bolku i Lolku i Stülpnerze, zbójniku z gór, koloniach i szkolnych akademiach ku chwale socjalizmu?

Okazało się, że Niemcy lecą nazajutrz do wschodniego Zairu, gdzie w prowincji Kiwu gnieździły się w obozach setki tysięcy uchodźców Hutu z Rwandy i tliły się ze trzy lokalne wojny domowe. A wszystko to na tle nieprawdopodobnie pięknej górskiej, wulkanicznej scenerii. Carsten i Nadine mieli przygotować raport dla jakiejś niemieckiej organizacji pozarządowej. Widząc ogień w oczach Wiktora, od razu zaproponowali, żeby leciał z nimi. Porzucił myśl o Somalii i z samego rana, na ciężkim kacu, pognał do ambasady Zairu wnioskować o wizę, dzięki której jakieś kilka dni później witał się na niedźwiedzia z Niemcami w zairskiej Gomie, gdzie urzędował przez kolejny miesiąc. Rodzice Wiktora oczywiście o niczym wówczas nie wiedzieli. Wprawdzie Marcin nie pojechał do Afryki jako reporter z szaleństwem w oku, ale gena nie wydłubiesz. Mogły go gdzieś pognać wrodzona ciekawość i dziedziczny brak przesadnej refleksji.

Właśnie, Carsten. Spiknęli się jakiś czas temu na Facebooku. Wymiana uprzejmości, tyle. Niemiec na lata pozostał związany z Afryką, dzisiaj jest chyba jakimś dyrektorem w dużym brytyjskim NGO-sie. Może warto się



do niego odezwać? Ten intensywny miesiąc w Zairze zrobił z nich prawie kolegów z wojska. Nieważne, że nie widzieli się blisko ćwierć wieku.

Wiktor włączył w telefonie Google Maps i przybliżył mapę Ugandy. Niby nawet po latach miał ją w głowie, ale czas i umysł płatają figle. Marcin mógł pojechać oglądać Wodospady Murchisona na Nilu Wiktorii i dalej nad Jezioro Alberta na granicy z Demokratyczną Republiką Konga, czyli dawnym Zairem. A to przecież nie są najlepiej rozwinięte zakątki świata, również pod względem dostępu do sieci. Albo wybrał się na północny wschód, do Parku Narodowego Doliny Kidepo na granicy z Sudanem Południowym, tam o zasięgu nie ma mowy, bo to jedno z najbardziej niedostępnych miejsc w Ugandzie. A może sam Sudan Południowy? Granica chyba jest otwarta, może z jakimiś świrami kopnęli się właśnie tam? Nie złapał roamingu? Czy on nie posługiwał się ostatnio ugandyjskim numerem? Wiktor poczuł, że zaczyna mu się udzielać strach Moniki. A jeżeli naprawdę coś mu się stało? Ja pierdołę. Zabawa zabawą, Uganda dzisiaj jest już niby spokojna i jak na Afrykę całkiem bezpieczna, ale – no właśnie – to ciągle Afryka. Niemożliwe jest nie tylko możliwe, jest prawdopodobne, a czasami nawet pewne. Kurwa. Niech on się odezwie.

– No i co? – Rozczochrana Agata stanęła w drzwiach kuchni, z dziecięcego pokoju dolatywał śpiew Lilki.

– Nie wiem, cholera, nie wiem. – Pocierał dłońmi głowę.

Agata nie skomentowała, ruszyła w stronę pokoju córki, zatrzymała się i zapytała:

– Pamiętasz, że mamy dzisiaj iść na obiad do moich rodziców? Nic się nie zmieniło?

– Tak, tak, idę, idę. Idziemy – odpowiedział, ale widać było, że myślami jest gdzie indziej. Popatrzyła na niego przez chwilę, zanim się odwróciła.

– Liluchna, supermamik nadciąga!

Godzinę później dostał SMS-a od Mikołaja. „Niestety nie znam nikogo w Nairobi. Sprawdzam wspólnych znajomych, ale już teraz piszę do konsula. Odzywam się ASAP, ale chyba nie jutro. Ściskam, bracie”.

Wiktor pomyślał o innym koledze z czasów studenckich. Michał Wójcik po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku dołączył do nowo tworzonego Urzędu Ochrony Państwa razem z Mikołajem i pozostał w służbach specjalnych na długie lata. Po odejściu zajął się doradztwem, cokolwiek to dzisiaj znaczy. Nie miał numeru Michała. Szybko napisał SMS do swojego reportera śledczego z prośbą o namiar. Numer dostał po dziesięciu minutach. Zadzwoił. Odezwała się sekretarka w jakimś dziwnym języku. Szlag. Napisał SMS-a z prośbą o kontakt z dopiskiem: pilne.

Potem wpisał w wyszukiwarkę „Florence Kategaya”. Kilkaset tysięcy wyników. Otworzył pierwszych kilka linków, czytał tylko nagłówki. Długo przyglądał się zdjęciom. W końcu pokręcił z rezygnacją głową i wyszedł na balkon. Uderzył go podmuch zimnego wiatru, pomyślał, że powinien założyć puchówkę, ale machnął ręką. Zaczął przetrząsać szuflady niewielkiej komody, w której Agata przed ciężką chowała cienkie papierosy, myśląc, że on o tym nie wie. Znalazł, zapalniczka też była. Sześć lat w dupę – pomyślał i odpalił.

## Wrzesień 2015

Tego dnia wieczorem zadzwoniła Monika. Wiktor westchnął. Nie byli ze sobą już od wielu lat. Nie chciał odbierać, ale wiedział, że musi. Zamknął oczy, wciągnął i wypuścił powietrze, otworzył oczy, odebrał.

– Cześć, masz chwilę?

– Dla ciebie zawsze – wymknęło mu się i natychmiast tego pożałował. Oczywiście widział, kto dzwoni, i wiedział, że powinien być czujny, ale kiedy usłyszał jej głos, pozbawiony agresji i pretensji, zwrócił się do niej, jak do starej kumpeli. Ze wszystkimi byłymi utrzymywał poprawne relacje, bez przesadnej wylewności, ale też bez wrogości i bez emocji. Z Moniką było inaczej. Wylewności żadnej, wrogość duża, emocje jeszcze większe. Jednocześnie dalej była dla niego niezwykle ważna, choćby nie wiadomo, ile razy i jak długo temu zaprzeczał. Monika, trzy sylaby, które odpalały setki najpiękniejszych i najgorszych skojarzeń.

– Bardzo śmieszne.

– No już dobrze, dobrze. O co chodzi?

– Chyba miałam ci powiedzieć coś miłego, ale już mnie tak wkurwiłeś, że mi się odechciało.

– Okej, okej, wróć, gruba kreska. Naprawdę jestem ciekaw, z czym dzwonisz. Nie chciałem być zgryźliwy, tak mi się powiedziało, znasz mnie.

Przez chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy zasłużył na łaskę.

– Oj, znam.

Przezornie postanowił tego nie komentować.

– No więc parę dni temu zobaczyłam twoją książkę koło łóżka Marcina. Wiktor momentalnie wyprostował się w fotelu.

– Którą?

– Afrykańską. *Czerwoną ziemię*. Nie powiedziałam mu, że widziałam, ale wczoraj, jak siedziałam w kuchni, przyszedł niby po coś do jedzenia, ale widać było, że chce zagadać. – Zamilkła.

– No mów, mów.

– Przecież mówię.

– Okej, okej.

– No i spytał, czy czytałam *Czerwoną ziemię*. Odpowiedziałam, że tak. Czy mi się podobała. – Znowu zamilkła.

Wiktor pilnował się, żeby jej nie popędzać. Wstał z fotela, zaczął krążyć po pokoju.

– Spytałam, dlaczego pyta. Odpowiedział, że koleżanki w szkole przeczytały, bo przygotowywały referat na wiedzę o społeczeństwie czy jak to się teraz nazywa. Nie znają sympatycznych szczegółów waszej relacji, bo on się z tym nie obnosi, to go zapytały. I tak z ciekawości, bo o dziwo dalej mam ją na półce, zajrzał.

– I co? – wychrypiał ledwie te dwa słowa przez ściśnięte gardło.

– Podoba mu się.

Wiktor zaczął szybciej oddychać.

– Tak naprawdę to nie mógł się oderwać, a kiedy czytał o tych dzieciach żołnierzach w Ugandzie, to się nawet poryczał.

Wiktor nie był w stanie się odezwać.

– Myślę, że powinieneś do niego zadzwonić.

\*

Po rozmowie z Moniką nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ucieszył się, że nie ma Agaty. Nie żeby się bał, że go nie wesprze albo że miałyby pretensje. Po prostu wolał być sam. Przeglądał zdjęcia Marcina, wycierał oczy, patrzył w okno i zastanawiał się, jak poprowadzić rozmowę z synem.

Postanowił zadzwonić następnego dnia po południu. Był środek tygodnia, musiał poczekać, aż chłopak wyjdzie ze szkoły. Na kolejnych zebraniach w robocie nie wiedział, co się dzieje, kiwał głową i miał nadzieję, że nikt nie poprosi go o wyrażenie opinii albo o podjęcie istotnej decyzji.

Zadzwonił po czwartej. Marcin odebrał po drugim sygnale.

– Cześć, Marcin, tu... – zawahał się – tata.

– Cześć. – Podświadomie czekał na to, że Marcin powie „tato”.

– No cześć, cześć. – Język stawiał zaciekły opór. Ćwiczył ten początek dziesiątki razy, ale teraz wszystko uleciało, sam nie wiedział, czy ma w głowie pustkę, czy mętlik. – Ehm, rozmawiałem z mamą i tak pomyślałem, że może zadzwonię do ciebie i byśmy się spotkali. – Urwał. Zapadła cisza. – Halo?

– Tak, jestem. Możemy.

Znowu cisza.

– To może jutro po szkole?

– Okej. – Marcin ewidentnie nie zamierzał mu pomagać.

– A gdzie ci pasuje?

– Wszystko mi jedno, byle gdzieś w centrum, Śródmieście, Mokotów.

– To może na Śniadeckich w Przepisie? To ta ulica między placami Konstytucji i Politechniki...

– Wiem, gdzie to jest, okej.

– O czwartej?

– O piątej.

– Super, to do jutra.

– Do jutra.

Marcin się rozłączył, a Wiktor poczuł, że spływa potem. Natychmiast zadzwonił do Darka Zawadzkiego i poinformował go, że następnego dnia nie będzie go ani w pracy, ani pod telefonem. Darek trochę się zdziwił, bo przecież kampania przed wyborami parlamentarnymi trwała w najlepsze.

Niech myślą, co chcą. On weźmie rano rower i pojedzie do Kampinosu, żeby umordować się jak najbardziej na górkach i piaskach, które tak często katował w liceum i na studiach. Ale po chwili zastanowienia ponownie zadzwonił do Darka.

– Wiesz co? Zmiana planów. Weź mi ustaw na jutro jak najwięcej zaległych spraw, bieżączki do załatwienia, co chcesz. Od ósmej do szesnastej, o szesnastej muszę wyjść. Ale wcześniej jak najęściej, okej?

– Się robi, naczelniku. – Darek pracował z nim zbyt długo, by pytać o powody nagłych zmian. – Bądź z samego rana, to dostarczę ci atrakcji. Czy jesteś zdesperowany na tyle, by spotkać się z panią Katarzyną?

Pani Katarzyna była pisarko-dziennikarką przekonaną o swej wybitności w każdej dziedzinie, od sportu przez literaturę aż po politykę międzynarodową. Od lat była również felietonistką ich tygodnika, odziedziczyła ją w spadku po poprzednich naczelnych. I od dawna chcieli się jej pozbyć.

Jej tekstów nie dało się czytać, traktowały głównie o tym, jak przenikliwie potrafi oceniać wydarzenia sama autorka, lub o jej sukcesach telewizyjno-redaktorskich sprzed dwudziestu lat. Z badań wynikało, że nie czyta tego właściwie nikt poza nią. No i nimi, niestety. Kiedy podczas wieczornych posiedzeń tracili wenę i nic nie było w stanie pomóc im w wymyślaniu tematów, kiedy przestawała działać najmocniejsza kawa, czytali na głos najnowszy felieton pani Katarzyny. Od razu robiło im się raźniej, a praca koncepcyjna ruszała z kopyta.

Szkopuł w tym, że pani Katarzyna знаła połowę tak zwanego miasta, w tym szefów wydawnictwa, do którego należał „Reflektor”. Pożegnanie jej oznaczałoby więc towarzyskie i służbowe piekło, telefony z miasta próbujące przekonać go do zmiany decyzji, komentarze w internecie, informujące, że jest niekompetentnym idiotą zarzynającym wspianiały tygodnik, którego filarem jest pani Katarzyna. Życzliwi i nieżyczliwi tygodniami informowaliby go o tym, co straszego mówi się o nim na

mieście. Niby był do tego przyzwyczajony, przecież za to też mu płacili, ale zdawał sobie sprawę, że tym razem sprawa byłaby wyjątkowo uciążliwa. Chyba już wolałby pójść w szaliku Legii pod stadion Lecha. Westchnął.

– Tak, jestem zdesperowany. Ale wypada, żebym sam do niej zadzwonił. Dam ci znać, na którą się umówiłem.

Następnego dnia miał wrażenie, jakby obserwował siebie i swych rozmówców z boku. Jakby był po solidnym blancie. Niby mówił na temat, ale wydawało mu się, że słowa generuje automat. Nie zrobiło na nim wrażenia nawet to, że pani Katarzyna zagroziła mu sądem i zakomunikowała, że jest skończony. Każdy bluzg przybliżał go do spotkania z synem.

Na Śniadeckich dotarł blisko godzinę przed czasem. Aż się zdziwił, że od razu znalazł miejsce do zaparkowania, o tej porze był to nie lada wyczyn. Serce szalało, to już nie było zdenerwowanie, był bliski zawału. Wszedł do Przepisu, przywitał kelnerkę kiwnięciem głowy, ale po chwili zastanowienia wyszedł. Ruszył w stronę placu Politechniki, minął go i szedł dalej Polną aż do ronda Jazdy Polskiej. Nogi same go prowadziły. Minął rondo, spojrzął na zamknięte na głucho drzwi prowadzące do dawnego Remontu w podziemiach akademika studentów Politechniki Riviera, gdzie zaliczyli z Moniką parę pięknych koncertów, wszedł w dalszy ciąg Polnej, skręcił w lewo w Oleandrów i przez pierwszą bramę po prawej dostał się na podwórko kamienicy, w której mieszkał, kiedy poznał Monikę, gdzie pierwsze miesiące życia spędził Marcin. Na Oleandrów mieszkańcy mówili wtedy jeszcze „Partyzantów”, co dodatkowo komplikowało tłumaczenie znajomym, gdzie mieszka, bo w adresie miał Polną.

Odszukał okna swojej sypialni. Czy to na pewno te? Jeszcze raz policzył piętra. Zaśmiał się. Przypomniawszy sobie, jak Joey z Friendsów dostrzega po drugiej stronie podwórka, w budynku, w którym mieszka

Ross, piękną blondynkę. Nieznajoma odpowiada uśmiechem, więc Joey pędzi do jej mieszkania, ale drzwi otwiera Ross. Kiedy później Monika tłumaczy mu, że źle policzył okna, Joey wraca, ale znowu otwiera mu Ross, który właśnie przyszedł do mieszkania pięknej sąsiadki, by wyciągnąć ją na randkę.

Wreszcie je znalazł. Znowu się uśmiechnął: kluczowe okno dla pamiętnego sylwestra dziewięćdziesiąt sześć/ dziewięćdziesiąt siedem. Byli już wtedy z Moniką parą, ale jeszcze mieszkali osobno, ona z rodzicami na Ursynowie, on tutaj. Noc, kiedy poznali się u Architektów, skończyła się u niego, nie wyszli z mieszkania przez dwa dni. Nie pamiętał, co Monika naopowiadała rodzicom przez telefon, kiedy naga wymknęła się do kuchni. Pewnie zwała wszystko na którąś z koleżanek.

Następne dwa miesiące to był amok. On pisał teksty na odwal, ona ledwie pojawiała się na zajęciach. Nie mogli się nagadać i nakochać. Aż w końcu telefony z zaproszeniami od znajomych przypomniały, że zaraz sylwester.

Stwierdzili, że nie chce im się nigdzie iść. Dali znać paru przyjacielom ze swoich – jeszcze wówczas – rozdzielnych paczek, że jeżeli tylko mają ochotę, to są zaproszeni na Polną, wejście od Oleandrów, a w zasadzie od Partyzantów. Myśleli, że przyjdzie w porywach kilkanaście osób. Mała kameralna imprezka. Znajomym, którzy pytali, czy w razie czego mogą kogoś przyprowadzić, odpowiadali, że owszem, śmiało. No i wyszło jakoś tak, że stawiła się grubo ponad setka ludzi, a kto wie, czy nie dwie. Ciężko było oszacować, bo impreza rozlała się na klatkę schodową, ciągnęła od parteru aż po strych, wypełzła na podwórko.

W którymś momencie w drzwiach mieszkania zobaczył dwóch chłopaków przebranych za strażaków, mieli ze sobą nawet te fikuśne toporki. „Panowie, nie znam was, ale genialnie się przebraliście!” – powitała gości Monika, a on zaoferował ruską gristoje prosto z butelki. Zmierzyli ich zbolalym wzrokiem i wyjaśnili, że są, lecz służbowo.



Dopiero wtedy zauważyli, że w podwórku stoi piękny czerwony wóz strażacki. Mieszanka dymu papierosowego i pary z oddechów rozochoconych gości buchająca przez otwarte okno w mroźną warszawską noc zaalarmowała ludzi z bloku po drugiej stronie podwórka, od strony Marszałkowskiej. Wiktorowi i Monice było trochę głupio, że odrywają strażaków od poważnej roboty, ale pocieszali się, że budynek straży mieści się ledwie kilkaset metrów dalej, przy placu Unii Lubelskiej, więc przynajmniej nie mieli daleko. Postanowili odprowadzić ich do wozu, upewniając się, że żadnemu z imprezowiczów nie przysłała do głowy jakaś pijacka akcja. Brakowało im tylko policji na karku, co swoją drogą było tylko kwestią czasu. Kiedy wóz odjechał, Monika zarzuciła mu ręce na szyję, zaczęli się całować. Chociaż wyszli bez kurtek, nie czuli zimna, alkohol wymieszany z pożądaniem zrobił swoje. Pociągnął ją w stronę drzewa, w najciemniejszy zakątek podwórka. Chichocząc, rozpinali guziki, szarpali gumki i kompletnie ich nie obchodziło, czy ktoś ich widzi. Mieli po dwadzieścia kilka lat i ogromną ochotę. Jeżeli powiedzenie, że cały rok jest taki, jak sylwester, jest prawdziwe, dziewięćdziesiąty siódmy powinien być dla nich rokiem ekstatycznego seksu i nowym początkiem.

Wiktor rozejrzał się po podwórku, szukając drzewa. Jakieś nowe płotki, altana śmietnikowa, szlaban, nic tu nie pasowało. Chyba je wycięli. Wtedy, w sylwestrową noc, pijani szczęściem i nie tylko, wrócili na imprezę, a kiedy ostatni goście wyszli o ósmej rano, padli, jak stali. Trzy tygodnie później zaniepokojona Monika poszła do apteki po test ciążowy. Wynik był pozytywny.

\*

Zbliżała się piąta. Lekki chłód pomógł mu otrząsnąć się z zamyślenia. Podniósł się z ławki i ruszył z powrotem w stronę Śniadeckich, tym razem

Marszałkowską przez plac Zbawiciela do placu Konstytucji, gdzie skręcił w lewo. Do Przepisu wszedł chwilę przed czasem, rozejrzał się, ale Marcina jeszcze nie było. Gdy zastanawiał się, który stolik zająć, syn stanął w drzwiach. Młody lekko kiwnął głową, nie uśmiechnął się. Wiktor popatrzył na jego blond rudą czuprynę, za długą, by dało się ją ujarzmić, za krótką, by spiąć w kucyk, na ładną, choć jeszcze nie przystojną, piegowatą twarz i zielone oczy po matce. Pomyślał, że syn świetnie wyglądałby na wokalu jakiejś ostrej kapeli. Niespełnione marzenie z czasów własnej młodości. Z trudem powstrzymał się od szerokiego uśmiechu.

– Co chcesz do picia? Do jedzenia?

– Nic. Luz.

– Muszę się napić kawy. I tak zamówię, więc żadna różnica.

– No to lemoniadę, jeśli mają. Zajmę stolik.

Wiktor ucieszył się z tych kilku dodatkowych sekund, które mógł przeznaczyć na uspokojenie rozszalałych myśli. Tak jakby dostał jeszcze chwilę, by doczytać ze trzy strony notatek przed egzaminem, do którego jest kompletnie nieprzygotowany, mimo że zakuwał od tygodni. Odebrał napoje, podszedł do Marcina, który siedział pod ścianą, usiadł. I chociaż od wielu godzin, a tak naprawdę tygodni, miesięcy, lat powtarzał sobie, co powie synowi, jeśli ten wreszcie zechce go wysłuchać, miał w głowie kompletną pustkę. Najchętniej posiedziałyby z nim w milczeniu, cieszył się samą jego obecnością. Ale wiedział, że tak się nie da.

– Marcin, po pierwsze dzięki, że zgodziłeś się spotkać. – Syn lekko wzruszył ramionami, ni to zaciskając usta, ni to próbując uśmiechnąć się półgębkiem. – Może oszczędzę ci small talków i wstępów i powiem to, co chciałem ci powiedzieć od dawna. – Wiktor zaczerpnął powietrza. – Dałem dupy, strasznie dałem dupy. Nie ma dnia, bym tego nie żałował i o tym nie myślał. Problemy, które mieliśmy z twoją mamą, nigdy nie powinny doprowadzić do tego, że cię zostawiłem. – Poczul, że mu zaschło

w ustach. Sięgnął po kawę, wypił ją na raz, popił wodą i spojrzał na syna, którego twarz przypominała nieruchomą maskę.

– Nie powiem nawet, że byłem po prostu za młody i zbyt głupi. Byłem totalnie niedojrzały, przytłoczony tym, co mi życie przyniosło, przerażony. Relacje z twoją mamą zamieniły się w koszmar. I nagle pomyślałem, Jezu, to teraz tak będzie, moje życie się kończy? To było zupełnie nieodpowiedzialne i egoistyczne, wiem, ale spanikowałem i uciekłem. Od jakiegokolwiek odpowiedzialności też. A kiedy się ocknąłem, Monika, to znaczy twoja mama, powiedziała mi, żebym spierdalał. I nawet jej się nie dziwię. Próbowałem z nią wtedy rozmawiać, ale była zawzięta, znasz ją. – Marcin leciutko się uśmiechnął. – Zresztą, nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie, nic. No i tak. – Nagle oklapł, skurczył się w sobie, już tylko czekał, sam nie wiedział na co.

Marcin, wcześniej skupiony na przemowie ojca, teraz patrzył za okno, za którym dwóch policjantów próbowało przemówić do ślaniającego się na nogach chlora. Wiktor nie potrafiłby powiedzieć, czy trwało to dziesięć sekund, czy kilka minut.

– Tak, nienawidziłem cię, wydawało mi się, że nie można bardziej. Wiesz, są ludzie, którzy zadają sobie ból, żeby coś tam zwalczyć. Ja musiałem nienawidzić ciebie. Zwłaszcza że wiesz, życie z mamą nigdy nie było proste – znowu lekko się uśmiechnął – znaczy kocham ją, bardzo ją kocham, naprawdę, jest megababką, jak myślę, co przeszła, przez ciebie i w ogóle, to brak słów. No, ale jest też świruską, obaj to wiemy, a ja nie miałem żadnej równowagi w postaci ojca, bo ciebie, kurwa, nie było – Wiktor cofnął się na fotelu – więc tym bardziej cię nienawidziłem. A jak się starałeś, to dociskałem jeszcze mocniej. Ale słuchałem opowiadań znajomych o rodzicach, głównie o ojcach i no, inni też lekko nie mieli. Nie myśl sobie, że to cię w czymś usprawiedliwia, ale naprawdę słyszałem bardziej pojebane historie. No więc nie musimy sobie padać w ramiona, ale możesz mnie zabrać na narty. Fajnie chyba pojechać ze starym na

narty. Albo na mecz możemy pójść, pojechać za granicę pooglądać zamki, jak ty ze swoim ojcem, jeśli to nie była ściema do tekstów. – Skrzywił się złośliwie.

– Prawda, prawda – Wiktor czuł, jak jego mięśnie się rozluźniają.

Niedziela, 12 stycznia 2020

Mikołaj i Michał nie oddzwaniali. Mikołaj uprzedzał, że odezwie się raczej poniedziałek, ale gdzie wcięło tego drugiego? Jakaś kontrowersyjna misja zagraniczna? Zamknął się w klasztorze w Indiach? Nurkuje na rafach wokół jakiejś bezludnej wyspy? Z nim wszystko było możliwe. Pamiętał, że Michał ma jakiś pojechany profil na Instagramie, gdzie wrzuca wyłącznie zdjęcia kibli, może trzeba spróbować tam, w tej kloace? Na DZIRYT\_PRZEZNACZENIA trafił już po kilku chwilach poszukiwań. Nazwa niespecjalnie go zdziwiła. Napisał. Następnie odnalazł na Facebooku Carstena, towarzysza zairskich przygód sprzed lat. Przeprosił, że tak od razu do rzeczy, opisał sytuację i spytał, czy nie ma w Ugandzie kogoś, kto mógłby mu pomóc. Wrócił do łóżka, położył się za śpiącą na boku Agatą i ostrożnie położył rękę na jej brzuchu. Poczuł zadziwiająco mocne kopnięcie. Wzdrygnął się zaskoczony, a Agata nieświadomie próbowała się poderwać. Obróciła się na plecy, wybudzona ze snu.

– Jezus, co za kop! – wydyszał z zachwytem Wiktor.

– To pieszczoty. Jak przyłoży w nerkę albo pęcherz, to dopiero czuję, że żyję.

Wiktor delikatnie przyłożył głowę do jej brzucha.

– Masz jakieś wieści? – zapytała.

Pokręcił przecząco głową.

Telefon Marcina milczał. Kiedy jedli obiad, na Signal zadzwonił Michał.

– Cześć, chłopie! – wykrzyczał jak to on. – Od razu mówię, co i jak, bo mam robotę w takim trochę dziwnym miejscu i klient nie lubi, jak się dzwoni. – Wiktor wolał nie wiedzieć, co to za klient i w jakiej branży robi. – Już się odezwałem do kumpla z IP-y, to takie nieoficjalne

międzynarodowe stowarzyszenie policjantów i policyjnych emerytów. Ludzie stamtąd mają kontakty na całym świecie. Powiedziałem, że sprawa dla przyjaciela, znajomy odpisał, że zrobi, co w jego mocy. Więc czekaj na sygnał. Dałem mu na wszelki wypadek numer do ciebie.

– Wielkie dzięki!

– Poczekaj, to nie koniec. Mam paru znajomków, którzy prowadzą szkolenia dla służb, państwowych, prywatnych, dziwnych w różnych krajach, no i tam się wszyscy mieszają i w ogóle zawiera się ciekawe znajomości. W takich krajach jak Uganda szkolą przede wszystkim Brytyjczycy, Izraelczycy, Amerykanie, Francuzi i Rosjanie. Ruskich i żabojadów bym wykluczył, czyli zostaje nam ta pierwsza trójka. Więc też już podpytałem, szczególnie Brytoli, i czekam na zwrotną. I coś mi się zdaje, że polscy pośrednicy sprzedają naszą broń do Ugandy. Też podpytam.

– Super. A powiedz mi jeszcze tylko jedną rzecz. Jak mogę sprawdzić, gdzie ostatnio logował się jego telefon?

– A, to polska policja albo prokuratura musi wystąpić do telekomu, ale najpierw musiałaby wszcząć sprawę, a jeżeli nie chodzi o terroryzm czy handel dziećmi, to może trwać miesiącami.

– To co ja mogę zrobić?

– Najlepiej, jakbyś dotarł do kogoś u operatora, żeby poprosił swoich partnerów w Ugandzie. To nie do końca legalne, właściwie całkiem nielegalne, ale da się zrobić. Wiesz, oni też mają międzynarodowe zjazdy, sieci powiązań, ludzie na poziomie departamentów bezpieczeństwa się znają. Konsul może pomóc uderzyć do sieci, która jest roamingodawcą.

– Z konsulem to może być różnie. Spytam u mnie dziennikarza od telefonii. Dzięki wielkie, Michał.

– Niczewo. Trzymaj się, wracam z namiarami, mam nadzieję.

Rozłączył się. Wiktor wybrał numer do Moniki. Odebrała po jednym sygnale.

– Wiesz coś? – Po jej głosie poznał, że jest spięta.

– Nie. Ale robię, co mogę, i potrzebuję jednej rzeczy. Czy Marcin ciągle jeszcze ma numer BeeLine?

– Nie wiem, a co?

– Bo coś mi się majaczy, że chciał zmienić sieć. A można zmienić sieć, nie zmieniając numeru. Telefon jest na ciebie, więc chyba musiałabyś coś podpisać?

– Nie przypominam sobie. Poczekaj, sprawdzę w korespondencji. Jest jakiś papier z BeeLine... Nie, nie zmienił. To coś ważnego?

– Chcę sprawdzić, gdzie się ostatnio logował, może da się namierzyć telefon. Będę cię informował na bieżąco. Gadałem przed chwilą z Michałem Wójcikiem, pamiętasz go? – Przytaknęła. – Sprawdza różne tropy. Mikołaj też, napisałem do kumpla z Niemiec, może i on pomoże. Żebyś wiedziała.

– Dobrze, dobrze. Dzięki, Wiktor.

– Trzymaj się, Monika. – Rozłączył się, ale w tym samym momencie walnął się w czoło i ponownie zadzwonił.

– Jesteś upoważniona do jego konta?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Myślę, że tak, nie zmienialiśmy tego, a nie sądzę, by zrobił to sam.

– Super. To sprawdź ostatnie płatności kartą.

– O rany, faktycznie.

Rozłączył się i wyszukał w komórce numer Anny Majewskiej. Kilka razy zapraszała go na panele i imprezy organizowane bądź sponsorowane przez BeeLine, pomogła, kiedy poprosił o wsparcie finansowe konkursu dla młodych społeczników, nad którym „Reflektor” objął patronat. Nie odbierała. Ponowił próbę, choć sam się wkurzał, gdy ktoś dzwonił drugi raz z rzędu, zamiast napisać SMS-a. Wysłał wiadomość z prośbą o kontakt.

Po trzydziestu minutach odebrał telefon od Moniki.

– Ostatnia transakcja dziewiątego stycznia rano w Kampali. Wypłacił gotówkę z bankomatu. Poczekaj, ile? Milion? Boże, milion?!

– Ugandyjskich szylingów, one mają kurs coś pod cztery tysiące za dolara, trzy siedemset, jakoś tak. Czyli – szybko policzył w głowie – wypłacił dwieście kilkadziesiąt dolarów. W sensie nic podejrzanego. Jeżeli ruszał z Kampali, to potrzebował gotówki na zapas. Masz tam lokalizację bankomatu?

– Acacia Mall.

Rozłączył się i sprawdził bankomat na Google Maps.



Poniedziałek, 13 stycznia 2020

Anna Majewska oddzwoniła wcześniej rano.

– Bardzo pana przepraszam, ale zrobiłam sobie weekend bez telefonu, pierwszy raz od nie pamiętam jak dawna. W czym mogę pomóc?

– Może to zabrzmie dziwnie, ale czy znalazłaby pani dla mnie kwadrans na spotkanie na mieście w prywatnej sprawie?

– Zakładam, że to coś pilnego, skoro dzwonił pan w niedzielę.

Nie wyczuł, czy to przytyk, czy proste stwierdzenie faktu.

– Nawet bardzo. Zdaję sobie sprawę, jak musi pani być zajęta, ale czy nie dałoby rady dzisiaj?

– O trzynastej w Cafe Filtry na Niemcewicza? Stara Ochota.

– Tak, znam to miejsce. Bardzo pani dziękuję.

\*

– Zamieniam się w słuch.

Annie Majewskiej wystarczyło jedno spojrzenie na Wiktora, by zrozumieć, że to nie czas na small talki. Położyła na stoliku skrzyżowane dłonie i z powagą spojrzała w oczy rozmówcy.

– Niech mi pani wybaczy, jeśli proszę o zbyt wiele, i nie ma do mnie pretensji, nawet jeśli mi pani odmówi.

Niemal niedostrzegalnie uniosła brwi, ale nie wyglądała na zaniepokojoną. Lata pracy na eksponowanych stanowiskach w korpo musiały ją nauczyć panowania nad mimiką. Wiktor pokrótce streścił wydarzenia ostatnich dni. Nie przerywała mu, nie dając po sobie poznać, czy domyśla się, do czego zmierza.

– I tu moje delikatne pytanie, a w zasadzie wielka prośba do pani – Wiktor głęboko westchnął, zacisnął usta – czy mogłaby pani dzięki swoim

kontaktom sprawdzić, kiedy i gdzie logował się ostatnio telefon Marcina?

Majewska milczała, więc szybko dodał.

– Wiem, że to nie jest formalna droga i że powinienem zwrócić się do służb, co jeszcze dzisiaj zrobię, ale z tego co słyszałem od zorientowanych znajomych, to może trwać miesiącami, a i tak bez gwarancji odpowiedzi.

– Panie Wiktorze – odezwała się w końcu – jak pan zauważył, nie mam formalnych możliwości i uprawnień do sprawdzenia logowań telefonu pańskiego syna w Afryce. – Nie uciekała wzrokiem. – I ma pan rację, powinien zwrócić się pan do służb. Proszę to zrobić. Wiem, że pan to zrobi. – Urwała, Wiktor się nie odzywał. Czekał. Przez chwilę obracała w palcach torebeczkę z cukrem. – Zorientuję się, jak wygląda rynek telekomów w Ugandzie, i jeżeli dowiem się czegoś interesującego, dam panu znać.

Pokiwał głową. Pożegnali się.

Szedł Niemcewicza w stronę Grójeckiej, wypatrując swego samochodu, gdy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, Wiktorze. – Mikołaj brzmiał poważnie i, co gorsza, użył wołacza. Wiktor nie cierpiał tej formy, pretensjonalność, która biła od wołacza, była dla niego nie do zniesienia. Ale jeżeli Mikołaj po niego sięgnął, to znaczyło, że nie ma do przekazania radosnych wieści. Wołacz uruchamiał mu się pod wpływem stresu i napięcia.

– Rozmawiałem z Nairobi, musisz się do nich oficjalnie zgłosić z prośbą o pomoc, przekażą sprawę do Kampali, ale...

– No dawaj. Bez pierdolenia.

– Rozmawiałem z konsulem, bo to oczywiście jego działka. Nie widziałem jego twarzy, gadaliśmy przez telefon, ale jak wymieniał twoje nazwisko, to brzmiał, jakby miał się zrzygać. Typ oczywiście z klucza partyjnego. Nawet była z nim afera, bo wrzucał do internetu jakieś faszyzujące teksty. Ambasador nie lepszy, typowy karierowicz od „dobrej zmiany”. Krótko mówiąc, sytuacja wygląda tak, że załatwią formalności,

zwrócić się do ugandyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, poproszą o zawiadomienie policji, ale wszystko na zasadzie niezbędnego minimum, żeby niczego nie można im było zarzucić. Nic ponad to, przykro mi. Konsul powiedział jeszcze, że tam ostatnio jakiś mężczyzna zadźgał dwadzieścia parę kobiet, poćwiartował i nic, nie znaleźli go, więc szanse na to, że ugandyjska policja w ogóle coś zrobi, są nikłe. Ogólnie na ambasadę w Nairobi nie masz co liczyć. A w MSZ-ecie masz przesrane, wiesz o tym. Okej, powiedzą, że pochylają się z troską, polski obywatel, ojczyzna go nie zostawi, ale wszyscy wiedzą, że to twój syn, nie kiwną palcem.

– Ja pierdolę. Przecież to nie ma nic wspólnego z polityką. Przecież oni, kurwa, też mają dzieci. Dżizas... Co za skurwysyństwo.

– Nic nie poradzisz. Zalażesz im za skórę, a oni jeńców nie biorą. Jeszcze mogą wylać na ciebie szambo w TVP, że nie dbasz o dzieci. Ale teraz to najmniejszy problem.

– Czyli co? W ogóle nie mam co liczyć na pomoc MSZ-u? – Odruchowo otworzył pilotem drzwi i zatrzymał się przy samochodzie.

– Serce mi krwawi, ale nie. Nie zrobią nic ponad minimum. No, może jeszcze opowiedzą, jak bardzo się starają. Na pewno opowiedzą. Ale nic nie zrobią. Zapomnij.

– Ja pierdolę.

– Posłuchaj, podzwonię teraz po znajomych z zagranicy, no wiesz, dyplomaci, instytucje międzynarodowe, mam paru takich serdecznych, postaram się zorientować, może ktoś coś.

– Dzięki, kochany. – Wiktor miał wrażenie, jakby zsypywała się na niego przyczepa piasku. Rozłączył się, oparł o dach samochodu i popatrzył przed siebie. Wybudził go klakson i rzeński okrzyk wychylającego się przez okno kierowcy: „Ej, panie, wyjeżdżasz pan?”. Skinął głową. Wsiadł i szybko odpalił.

Wtorek, 14 stycznia 2020

Wisiał na telefonie, nie odchodził od laptopa. Przewijał reportaże z Ugandy z ostatnich lat i teksty informacyjne z ostatnich miesięcy. Robił w myślach przegląd wszystkich ludzi, którzy w jakikolwiek sposób mogliby pomóc. Carsten, jego niemiecko-afrykański druh sprzed ćwierćwiecza – Boże, kiedy to minęło? – pisał, że na pewno załatwi mu namiary na ludzi z organizacji pozarządowych w Kampali. Takich, którzy dobrze orientują się w tamtejszej rzeczywistości.

Odnajdywał na Facebooku znajomych, z którymi nie widział się całe lata, pytał, czy w razie czego mógłby liczyć na ich pomoc. Kiedy zadzwonił telefon, Marcin wpatrywał się w mapę Ugandy, którą kupił wcześniej w sklepie Podróżnika na Kieleckiej.

– Wpadasz? – usłyszał znajomy głos i przez chwilę nie wiedział, o co chodzi. Spojrzał na zegarek, trybiki zaskoczyły. Zaklął.

– Sorry, awarię miałem, już jadę.

Śródmieście oczywiście było zakorkowane, więc z mieszkania na rogu Wilczej i Emilii Plater na Narbutta zamiast dziesięć minut jechał prawie pół godziny. Klął pod nosem, wymyślając plagi, które powinny spaść na rodzinne miasto i zatrzymać kierowców w domach. Jakiś wirus najlepiej, żeby się bali wychodzić na ulice. Uśmiechnął się delikatnie pod wpływem tej nierealnej wizji. Zaparkował na Wiśniowej, cofnął się na Narbutta i odnalazł właściwą kamienicę. Wbił kod na domofonie i wszedł w bramę. Podwórko przemierzył pewnym krokiem człowieka, który bywał tu regularnie. Stał pod zaniedbaną oficyną. Przy drzwiach był domofon z małą kamerką. Nacisnął przycisk i po chwili otworzyła mu młoda kobieta. Za niezbyt solidnie wyglądającymi drzwiami kryły się drugie, stalowe, przypominające wrota do sejfu.

– Siemka – rzuciła, a on podniósł prawą rękę w powitalnym geście.

Przeszli przez korytarzyk, po prawej, w pomieszczeniu udającym kuchnię, zobaczył kilkoro młodych ludzi rozmawiających nad lunchem jedzonym z plastikowych pudełek. Weszli do pokoju z oknem wychodzącym na podwórze, zasłoniętym aluminiowymi żaluzjami. Od strony podwórza wyglądało normalnie, ot, podniszczone okno, nikomu nie przyszłoby do głowy, że wewnątrz, za żaluzjami, jest drugie, pancerne. Jedynym źródłem światła były tu sufitowe lampy i ekrany kilku komputerów oraz telewizorów.

„Jeżeli ktoś myśli, że Polska ugnie się przed totalitarnymi zapędami wiadomych środowisk na Zachodzie, to jest w głębokim błędzie. Nasz naród, dumny z tysiącletniej historii i chrześcijańskiej tradycji państwa polskiego, będzie sam decydował o swoim systemie prawnym i wartościach, którymi się kieruje. Nie ma u nas miejsca na dewiacje i niebezpieczne ideologiczne mody wywodzące się wprost ze zbrodniczego bolszewizmu, wspierane przez Berlin i Brukselę pod płaszczykiem tak zwanych praw człowieka”. Trzy kanały informacyjne pokazywały tę samą konferencję prasową wicepremiera Zenona Kosteckiego, szefa skrajnie prawicowej frakcji w koalicji rządzącej, rycerza obrony Polski przed zalewem pedalstwa i atakami zdemoralizowanego Zachodu. KostECKI pozostawał w bliskich relacjach z organizacjami katolickich fundamentalistów finansowanych przez Kreml, był zwolennikiem drakońskich kar i zakazania niemal wszystkiego, co kojarzyło się ze spuścizną europejskiego oświecenia i światem liberalnych zachodnioeuropejskich wartości. Nocami musiał pewnie oglądać *Opowieść podręcznej*, marząc o istnieniu tak doskonałego świata.

Zebrani niewybrednie komentowali naszpikowane tanim moralizatorstwem cyniczne deklaracje, oskarżenia i groźby wicepremiera, a najstarszy z nich, czterdziestoletni chudy brodacz, pokazywał, jak KostECKI wykonuje tak zwane inne czynności seksualne. Gdy Wiktor

wszedł do pomieszczenia, odwrócili głowy od ekranów. Rzucił ogólne „cześć!”, ktoś wyłączył dźwięk telewizora, akurat gdy Kostecki mówił o nienawiści opozycji do Polski.

– No i co tam mamy? – zapytał.

Brodacz zmierzwił brodę, cmoknął kilka razy.

– Milan rozpytuje swoje kontakty w Belgradzie. Przed chwilą dzwonił Astrit z Tirany, masz pozdrowienia. – Wiktor skinął głową. – Do wieczora przyśle wszystko na piśmie. No i Paweł usłyszał jakieś pogłoski w Moskwie. Aż trudno uwierzyć. Pytanie brzmi, czy to korupcja, a jeśli korupcja, to czy gościu wie, kto faktycznie płaci. Bo może, jak niektórzy z nas podejrzewają, to jest po prostu mafioso, jakiś duży rozgrywający.

– Ci niektórzy z was to konkretnie ty? – Wiktor wbił wzrok w brodacza.

– Nie do końca, ale jeśli chcesz przyjąć takie śmiałe założenie, to mogę na nie przystać. – Brodacz spojrzał kpiarsko, ale z sympatią. Wiktor pewnie też by się uśmiechnął, gdyby nie był tak zestresowany.

– A tak konkretnie, Wojtek, to co macie? – Brodacz zwany Wojtkiem podrapał się po zarośniętym policzku.

– No mamy prawie pewność... – zaczął mówić, ale Wiktor szybko mu przerwał.

– Wojtuś, proszę cię. Po pierwsze „prawie” robi tu naprawdę gigantyczną różnicę. A nawet jakbyśmy byli pewni na stówę, to potrzebujemy twardych dowodów. Cień wątpliwości i nas zajebią. Drugiej szansy nie będzie. Wiem, że jesteście gotowi na ryzyko i chętnie sam nadstawię głowę, ale muszę mieć absolutną pewność. Więc zapytam po raz kolejny: macie coś, co się obroni w sądzie?

Wojtek znowu zaczął skubać brodę, rozejrzał po ludziach w salce.

– No i tu mamy delikatny problem... – Wiktor teatralnie wbił spojrzenie w sufit – nie złość się. My – Wojtek stuknął dłonią w klatkę piersiową – na podstawie tego, co zebraliśmy, mamy pewność. Ale dymiącej spluwy brak. Czekamy na materiał od twojego źródła. I jeśli

wygląda to tak, jak opowiadałeś, to jesteśmy w domu. Tylko czy ten facet dowiedzie?

Wiktor podrapał się w głowę.

– Zakładam, że tak. W końcu to on się ze mną skontaktował.

– A jeśli nie?

– Nie wiem. Cały czas się nad tym zastanawiam. Szczególnie nad tym, czy to nie jest jakaś ich rozgrywka. Gościu opowiadał o filmie, brzmi mocno. Jeżeli ten film istnieje i jest prawdziwy, to wszystkie elementy układanki pasują. I jeżeli go dostaniemy, to w połączeniu z tym, co zebraliście, mamy story roku, jeśli nie dekady. Ale bez filmu? My możemy być przekonani, że wiemy, jak wygląda prawda. I co, pójdziemy z tekstem poszlakowym? Przecież wszystko jest anonimowe. Ale wystarczy, że ktoś podważy najdrobniejszy szczegół i okaże się, że ma rację. Zaczną nas atakować za całość. Wiecie, włącza mi się spiskowe myślenie, czy tu nie ma podwójnego dna, przewrotki. I że tak naprawdę chodzi o skompromitowanie nas. Bez filmu jesteśmy w dupie.

– No to ciśnij gościa.

– Nic innego nie robię. A wy spróbujcie jeszcze pogrzebać.

– Niczego innego nie robimy.

Środa, 15 stycznia 2020

– Agata, posłuchaj, musimy porozmawiać.

– Okej, okej, pomóż mi z Lilką, nie dam sama rady z tym brzuchem. Muszę jej nasmarować i owinąć ręce. Pamiętasz, co mówiła Drzewiecka, musimy codziennie o tej samej porze smarować tym kremem.

Wiktor wziął córkę na ręce.

– Agata, chyba jednak jest problem z Marcinem... Dzwoniłem, gdzie mogłem, sprawdzam wszystko, ale...

– Trzymaj ją pionowo.

– Chyba muszę polecieć do Ugandy.

– Liluś, spokojnie. Co mówisz?

– Muszę polecieć do Ugandy. Chyba. Znaczą na pewno.

Agata oglądała ręce małej, jakby Wiktor mówił o pogodzie.

– Agata? – wypowiedział jej imię bardzo cicho.

– Żartujesz, prawda?

– Bardzo bym chciał, ale nie. To już siedem dni, a on dalej się nie odzywa. MSZ mi nie pomoże, na policję w Ugandzie trudno liczyć. Jeśli tam nie polecę i wszystkiego nie przypilnuję, nie przycisnę, to nic się nie zadzieje. – Wiktorowi chciało się wymiotować. – Agata, proszę cię...

– O co mnie prosisz? Nie jestem twoją matką, tylko matką twojej chorej córki i syna, który może urodzić się w każdej chwili. Ale leć sobie, proszę bardzo. Tylko powiedz mi, proszę, co ty możesz zdziałać tam na miejscu więcej niż służby? Możesz wszystko załatwić przez telefon i internet.

– Lila, idź na chwilę pobawić się do swojego pokoju, dobrze? – Postawił córkę na ziemi. – Musimy z mamusią porozmawiać.

Dziewczynka kiwnęła poważnie głową i wyszła.



– Agata, to tak nie działa, nie załatwię wszystkiego na odległość, a w zasadzie prawie nic nie załatwię, a to wygląda naprawdę źle. Jest gorzej, niż gdyby go, nie wiem, porwali i zażądali okupu. Wtedy przynajmniej wiadomo by było, czego się trzymać. Albo gdyby trafił w strefę działań wojennych. A on po prostu zniknął i wszyscy mają to gdzieś. Dowiadywałem się, rozmawiałem, opcja, że zatrudniam tam prywatnego detektywa, nie zadziała. Gdybym był milionerem, wynająłbym w Londynie wyspecjalizowaną agencję gości z ichnich służb, ale niestety nie jestem. Nie mam wyjścia, serio. Poza tym spędziłem w Afryce trochę czasu. Wiem, że dawno, ale pewne rzeczy tak szybko się nie zmieniają. Muszę tam polecieć. To jedyna szansa.

– A ty co? Jason Bourne? James Bond?

– Agata, to nie fair.

– W dupie mam to twoje fair. Leć do Afryki po przygody, ja będę chodzić z Lilką na badania i może coś ci urodzę. Jak łaskawy pan wróci z wojny, to może łaskawie pogłaszczcie dziedzica. Afryka ważniejsza. A jak za dwa dni Marcin się cudownie odnajdzie, to nie pokazuj mi się na oczy.

– Agata...

– Nie chcę tego słuchać. Siedziałam z twoją córką, jak odbudowywałeś relacje z Marcinem. Nic nie mówiłam, kiedy wy włączyliście się po Rumunii, a ja nie wyrabiałam się z robotą i Lilką. Ale co za dużo, to niezdrowo. Jeżeli polecisz, możesz do nas nie wracać. Wybieraj.

– Wiesz, że...

– Wiem, że mamy córkę, która jest ciężko chora. Wiem, że niebawem rodę. Tyle wiem. Baw się dobrze.

Zaczął drgać jej podbródek. Chciał przytulić ją z całych sił, ale wiedział, że to pogorszyłoby sytuację, więc tylko powiedział:

– Posmaruję Lilkę. – I wyszedł z pokoju. Kiedy skończył bandażowanie, cmoknął córkę w czoło i przeszedł do kuchni. Sięgnął po komórkę i zaczął sprawdzać bilety do Kampali.

\*

– Ty tak na serio? – Agata była nawet spokojna. – Pojutrze? Czyś ty kompletnie oszalał? A jakieś badania, szczepienia? Żółta febra, cholerna malaria? Czy ty masz piętnaście lat? Zapomniałeś o atakach paniki? Chcesz znowu wylądować na SOR-ze pod kroplówką? Ambulans sobie w tej Ugandzie kupisz? Prywatny szpital?

– Jest jak jest, nie dam rady się zaszczepić, nie ma czasu. Na malarię będę brał leki. Pójdę jutro do lekarki, sprawdzę, jak jeszcze mogę się zabezpieczyć. Ale muszę lecieć, i to zaraz.

– Jezu, ty debilu...

– Agata, naprawdę muszę, nie mam wyjścia. Nie mam. Kurwa. Wyjścia – wycedził. – Może faktycznie objawi się za dwa dni. No to jak bałwan polecę w tę i z powrotem. Ale po tym wszystkim, jeżeli coś faktycznie mu się stanie, a ja nie polecę, nie wybaczę sobie do końca życia. Zrozum. – Chciał skończyć tę rozmowę, uciec od jej spojrzenia, nie patrzeć na jej zboliałą twarz. – Pamiętasz, jak chciałem wysłać cię z Lilką za granicę, kiedy nam grozili?

Kiwnęła głową. Kiedy sprawa gangsterów, których opisywali w „Reflektorze”, zrobiła się poważna i zapytał ją, czy nie pojechałaby z córką do kuzynki do Paryża, zaśmiała mu się twarz. Zdawała sobie sprawę z zagrożenia, nie lekceważyła go, ale przecież jej rodzice tuż po studiach zakładali rebeliancką Solidarność na swych uczelnianych wydziałach, ojca internowano w stanie wojennym, matka zaangażowała w podziemną działalność. A ona miała bać się jakichś gangsterów? Rodzice wspominali, jak w jej wózku wozili paczki nielegalnego „Tygodnika Mazowsze”. Trochę ją to śmieszyło, ale bardziej była dumna. To po nich odziedziczyła zadziorność. I może właśnie dlatego się w niej zakochał. W pannie, która niemiłosiernie opierdoliła go, gdy cofając na Śniadeckich, lekko stuknął swoim nowym volvo w jej stuletniego opla.

Rozpoznała go, więc wygłosiła wykład na temat buców z telewizji, którzy myślą, że wszystko im wolno. Podpisał wszystkie papiery dla policji i ubezpieczyciela i był gotów oświadczyć, że strzelał do niej seriami z cekaemu, byle dała się zaprosić na przeprosinową kawę. Od tej pory miał wielką słabość do ulicy Śniadeckich.

– Zrobiłbym dla was wszystko, wiesz o tym. Dla niego też. Muszę lecieć po Marcina.

\*

Wybrał numer do swojego zastępcy.

– Darek, wiem, że fatalnie się składa i to najgorszy możliwy czas, ale nie mam wyjścia, muszę lecieć do tej Ugandy. W piątek, pojutrze.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Będzie z tobą jakiś kontakt?

– Jasne. Będę pod telefonem i mejlem, pisz na WhatsAppa, a w sprawach wiadomo jakich na nasz komunikator. Zaraz po przylocie kupię ugandyjską kartę, dam ci znać. Ale gdyby zrobiło się gorąco, musisz wziąć sprawy na klatę.

– Oczywiście. O to się nie martw. A ty znajdź swojego chłopaka. Jedyne problem będzie z aquaparkiem. Dozorca chce rozmawiać tylko z tobą.

Wiktor zdawał sobie sprawę, że nie wszystko da się załatwić przez telefon lub mejlem z drugiego końca świata. Na pewno nie w tym przypadku. Ale swojemu zastępcy odpowiedział, że wszystko jest pod kontrolą.

Czwartek, 16 stycznia 2020

– Pan sobie żartuje, prawda? Leci pan jutro do Ugandy i do mnie przychodzi dzisiaj? – Lekarka medycyny tropikalnej była naprawdę wkurzona. Zaczęło się nie najlepiej, bo spóźnił się, szukając wejścia do przychodni w dziwnym bloku na skrzyżowaniu Płockiej i Wolskiej. Doktor Drągowska ścięła go takim spojrzeniem, że poczuł się jak w liceum, kiedy spóźnił się na lekcje po długiej przerwie. A kiedy usłyszała o terminie wylotu, dostała piany.

– Czy wy wszyscy jesteście nienormalni? – Wolał nie pytać, kim są wszyscy. – Wczoraj miałam takiego biznesmena. Lecę właśnie do Senegalu, mówi, niech pani mi coś da, żebym niczego nie złapał. Zaproponowałam, żeby sobie prezerwatywy kupił, jak nie chce niczego złapać, bo na szczepienia i profilaktykę jest już za późno. No ale on nie miał pojęcia, dokąd się wybiera. Ale pan jest chyba dziennikarzem, prawda? Taki doświadczony, a taki głupi? – Obawiał się, że lekarka może jeszcze tak długo, więc wszedł jej w słowo.

– Znam teorię... – Nie zaczął dobrze zdania, nie zdążył nawet powiedzieć „ale”, Drągowska była szybsza.

– Zna teorię! – zwróciła się do niego w trzeciej osobie, niesamowicie, naprawdę jak w liceum. „O, jasnie pan Tilszer raczył w końcu zaszczyścić jakże niepotrzebną lekcję przysposobienia obronnego!” – No to fantastycznie! Teoria jest dobra na wszystko. A myślał pan o czarach i amuletach? Modlitwa też może pomóc. Przynajmniej w teorii. Bo po co się szczepić na żółtą gorączkę, na wirusowe zapalenie wątroby, cholere, meningokoki czy...

– Pani doktor! – prawie krzyknął. – Nie miałem wyjścia, nie mam wyjścia. Dopiero co się dowiedziałem, że muszę lecieć. Naprawdę muszę, pilna sprawa rodzinna. Zdaję sobie sprawę z ryzyka, ale po prostu muszę

lecieć. Proszę mnie zaszczepić na żółtą febrę. Tyle mi wystarczy. Muszę mieć szczepionkę, żeby mnie wpuścili.

Lekarka westchnęła ciężko.

– Ale wie pan, że z medycznego punktu widzenia to za późno? Powinien pan się zaszczepić najpóźniej dziesięć dni przed wylotem.

– Moje ryzyko.

– Udam, że tego nie słyszałam. Naprawdę nie może pan odczekać dosłownie kilku dni?

Pokręcił głową.

– Datę szczepienia w książeczce będzie pan miał dzisiejszą, więc nie wiem, jak zareagują na lotnisku.

Wiktor rozłożył ręce i zrobił głupawą minę

Lekarka spojrzała na niego jak na dziecko, które na mrozie przytknęło język do metalowej poręczy i dziwi się, że nie może go oderwać.

– No cóż, pozostaje nam jeszcze profilaktyka malarii. – Zabrała się do wypisywania recepty.

– A na malarię nie jest za późno?

– Na szczęście są nowe leki. Wystarczy, jak dzisiaj weźmie pan pierwszą tabletkę. Tylko niech pan nie zapomina brać przez tydzień po powrocie. – Marszcząc czoło, popatrzyła na niego nad okularami. – I elektrolity codziennie rano. – Przytakiwał skwapliwie.

– A teraz proszę podwinąć rękaw koszuli.

\*

Przy furtce przed willą na starym Mokotowie wisiała mosiężna tabliczka z niewiele mówiącą nazwą „Pro Export”. Otworzyła mu efektowna blondynka o figurze Barbie, w szarym obcisłym kostiumie. W środku panowała cisza. Kobieta zaproponowała Wiktorowi coś do picia i zaprowadziła do salki konferencyjnej. Gospodarz nie kazał na siebie

długo czekać. Wiktor nie wiedział, jak wygląda, nie znalazł żadnych zdjęć w sieci, ale kiedy zobaczył go w drzwiach, uznał, że tak właśnie powinien wyglądać człowiek jego profesji i pozycji. W oczy rzucały się intensywne opalenizna i czerń. Czarne mokasyny bez skarpetek mimo mrozu za oknem, czarne spodnie od garnituru i elegancka, opięta czarna koszula z trzema rozpiętymi guzikami pod szyją i podwiniętymi rękawami. Na prawej ręce zegarek, za który można by kupić porządny samochód. Mężczyzna był sporo przed czterdziestką.

– A więc pan również jest pacjentem nieocenionego Mateusza? – Gospodarz wyciągnął rękę. Wiktor nie był przygotowany na stalowy uścisk, zirykowało go, że przegrał test, ale odwzajemnił uśmiech.

– Ratuje mi życie. Mój kręgosłup jest jego największym fanem. – Usiadł na wskazanym przez gospodarza krześle.

– Podobnie jak mój. Pół życia spędzam w samolotach, co nie poprawia sprawy. Wychowawczynie naszej klasy w liceum nie mogła zrozumieć, dlaczego taki utalentowany chłopak jak Mateusz chce zostać fizjoterapeutą. A on wiedział, co robi. Na nasze szczęście. – Asystentka wniosła kawę i postawiła ją przed Wiktorem. Gospodarz oparł łokcie na stole, splótł dłonie, przyglądając się gościowi. Tyle jeśli chodzi o small talki. Wiktor jednym łykiem wychylił espresso. Krótkie, mocne, dobre. Chrząknął.

– Do rzeczy zatem. Lecę jutro do Kampali szukać syna, który zniknął tydzień temu. Dokładnie osiem dni temu. Potrzebny mi każdy kontakt na miejscu, który może mi pomóc. Z tego, co mówił Mateusz, zrozumiałem, że prowadzi pan interesy w Ugandzie, z... – zawahał się na ułamek sekundy – ...poważnymi ludźmi. Dlatego poprosiłem go, żeby do pana zadzwonił. Dziękuję, że zgodził się pan spotkać, i to tak szybko. Pytanie, czy może mi pan pomóc? – Teraz Wiktor oparł łokcie na stole, twarz na splecionych dłoniach. Gospodarz przez chwilę milczał, sprawiając wrażenie, jakby rozważał za i przeciw.

– Nasi partnerzy w Ugandzie, poważni ludzie, jak to pan ujął, to wysocy oficerowie armii i policji, głównie wojska. To żadna tajemnica. Nie reklamujemy się w telewizji, ale kto ma wiedzieć, ten wie. Rzecz w tym, że nasi ugandyjscy koledzy nie przejawiają entuzjazmu do kontaktów z dziennikarzami.

– Jadę tam jako ojciec, nie jako reporter – przerwał mu nieco zbyt gwałtownie Wiktor. – Nie szukam tematów, chcę tylko znaleźć syna i wrócić do Polski.

– Ja panu wierzę, ale czy oni uwierzą? Poza tym czasami dobre intencje i szczerze zapewnienia nie wystarczą. Sprawy zaczynają żyć własnym życiem. Nie wie pan, co tam się stało, więc nie wie pan też, co się stanie. – Zamilkł na chwilę. – Zróbmy tak: wykonam kilka telefonów, niczego nie obiecuję, ale na pewno dam znać.

Kwadrans później zajechał pod Regenerację na Puławskiej. Udało mu się zaparkować pod Mozaiką, czyli całkiem niedaleko. W Rege zajętych było tylko parę stolików. Mimo że był środek dnia, od razu po przekroczeniu progu poczuł się, jakby walnął trzy lufy i wkroczył w środek imprezy. Duch miejsca albo reakcja organizmu na wspomnienie niezliczonych nocy spędzonych tu w wesołym towarzystwie. W ulubionej salce z barem opadł na podniszczony fotelik wyciągnięty z jakiegoś mieszkania po babci. Zamówił americanę i wodę gazowaną. Był dziesięć minut przed czasem. Zastanawiał się, co powie, co obieca, co usłyszy, jak bardzo będzie musiał nad sobą panować.

Scrollował agencyjne teksty o sytuacji w Ugandzie, a kiedy zorientował się, że z relacji o napiętej sytuacji na granicy z Demokratyczną Republiką Kongo nie rozumie ani słowa, zaczął studiować fizjonomie gości, bawiąc się w swoją ulubioną grę, czyli zgadywanie, kim są obserwowani. W kącie siedziała młoda para, on szeptał jej coś do ucha. Wiktor otaksował ich wzrokiem i nagle spostrzegł, że chłopak ma takie same skórzane buty, jakie kupił Marcinowi na ostatnie urodziny. Jakaś hiszpańska firma.

Poczuł niepokój. Lekki, ale rosnący jednak każdą chwilą. Zaczerpnął powietrza. Głębiej. Jeszcze głębiej. Dławienie w gardle.

Tylko nie to – pomyślał – tylko nie teraz. Skup się. Nie chcesz wzywać pogotowia. Nie teraz. Na pewno nie teraz. Ale rejwach dookoła dobiegał jakby zza szklanej ściany, serce wyrywało się z piersi. Nie dać się, nie dać, bo za chwilę uczucie strachu przed śmiercią będzie tak realistyczne, że nie wytrzyma. Przerabiał to już parę razy, tę grozę piekielnie szybkiego lotu w otchłań. Koniec, koniec, koniec.

Nie miał przy sobie lekarstw. Nie kupi ich w pobliskiej aptece, obydwaj na receptę. Hej, skup się, debilu. To jak zły sen, w którym spadasz ze skały, krzycząc, ile sił w płucach, wtedy Agata przytula cię, szepcząc „już dobrze, już dobrze, to tylko sen”. Teraz jest tak samo, tylko nie drzesz ryja, spokojnie, wyrwij się! Spojrzał na ławę po drugiej stronie stolika. Rzucił okiem w lewo, zerknął w prawo.

A chuj. Położył się, zamknął oczy, starał się uspokoić oddech. To tylko głowa – powtarzał – wszystko jest w głowie.

– Wiktor? Co z tobą? – Poderwał się. Nie widział twarzy, ale rozświetloną od tyłu reflektorem burzę rudych włosów poznałby nawet na sądzie ostatecznym.

– Zdrzemnąłem się. Cześć. Dobrze cię widzieć. – Nie wiedział, czy sprawiła to chwila chilloutu, czy jej obecność, ale znacznie się uspokoił.

– Zdrzemnąłeś? W Regeneracji w środku dnia? – Zaczęła kręcić głową z takim wyrazem twarzy, jakby coś analizowała. – Sorry, nie moja sprawa. Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Niestety, bez zmian – i zanim zdążyła otworzyć usta, dodał – jutro lecę do Ugandy. – Nie odezwała się. Patrzyła mu w oczy. Po chwili zakryła dłonią usta i obróciła głowę ku oknu, patrząc gdzieś w dal. Milczeli.

– Dziękuję, Wiktor. – Ledwie usłyszał jej słowa.

– Nie gadaj bzdur. To mój syn. Nasz syn.



Otarła oczy i spojrzała na niego. Praktycznie nigdy się nie malowała, czasem tylko kładła delikatny podkład, więc niczego nie rozmazała. Nawet zmęczona i zapłakana nie wyglądała na czterdzieści sześć lat.

– Pamiętasz, jak myśleliśmy, że zjadł baterię od zegarka?

Uśmiechnął się, ale nie odezwał, dał jej mówić.

– Nie mogłam jej znaleźć na stoliku nocnym, Cinek raczkował dookoła łóżka, jeszcze nie wstaliśmy, przestraszyliśmy się, że ją zjadł. Zacząłeś chodzić na kolanach jego śladami, licząc, że ją znajdziesz. – Śmiała się przez łzy. – Pojechaliśmy na Litewską do dziecięcego. Taksówką. Dlaczego taksówką? Miałeś przecież wtedy samochód, wspaniałego malucha. Nie miałeś? – Kiwnął głową.

– Pewnie poprzedniego wieczora było jakieś alko. Już nie karmiłaś. Jezu, co to była za akcja. – Uśmiechnął się do Moniki, zdając sobie nagle sprawę, że po ataku paniki nie ma już śladu.

– Ten doktor, co nas przyjął, był super. Pamiętam, jak mnie uspokajał, kiedy wzięli Cinka na prześwietlenie, bo ścirowałam, że bateria się rozpuści i wypali mu wnętrzności. – Zamyśliła się. – A niedługo potem nas zostawiłeś. – Ostatnie zdanie bardziej do siebie niż do niego.

Każda odpowiedź byłaby beznadziejna, więc milczał.

– Nie bój się, nie będzie dram. Wiem, że to twój syn, wiem, że go kochasz, wiem, że wielu rzeczy żałujesz, i jestem ci cholernie wdzięczna, że lecisz. Masz nową rodzinę, ja mam tylko jego. – Podniosła dłoń, gdy zobaczyła, że chce zaprotestować. – Przywieziesz go i to będzie najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś.

Oby – powiedział do siebie w myślach i od razu się zganił za czarnowidztwo.

Wszedł po cichu do mieszkania. Agata krzątała się w kuchni. Gdy go zobaczyła, zatrzymała się na chwilę w bezruchu i po sekundzie kiwnęła mu głową.

– Śpi? – zapytał.

Zaprzeczyła.

– Czekala na ciebie.

Zdjął buty, rzucił marynarkę na krzesło, otworzył lodówkę i upił z butelki łyk kwaśnego soku z czerwonych grejpfrutów. Agata wkładała naczynia do zmywarki. Podszedł do niej, dotknął jej pleców, delikatnie, na wypadek gdyby chciała go odtrącić. Nie odwróciła się, cofnęła, wtuliła w niego.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedziała miękko, a on położył rękę na jej wielkim brzuchu i czekał. Cicho, spokój, cicho, spokój i nagle bum! Młody przykopał.

– Energia po tatusiu – powiedziała, obróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Aha, akurat. Czysta matka.

Po cichu wszedł do sypialni Lilki, ale nie spała, zarządzała walką dwóch laleczek.

– Tatuś!

– Tak, córeczko, we własnej osobie. Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Bo wiedziałam, że przyjdiesz. I czekałam na zeberka.

Położył się obok niej na boku i przygarnął ją do siebie.

– Ile masz zeberek? – Dotknął jej boku.

– Oj, tato!

– Jedno, drugie, trzecie... – Naciskał kolejne zebra, Lilka wyła z uciechy. Kiedy się uspokoiła, a on położył się na plecach, wdrapała się na niego. Czuł, jak jej małe ciało powoli się rozluźnia.

Wyszedł z pokoju córki na palcach. Zanim zamknął drzwi, spojrzął na blond włosy wystające spod kołdry. Przemknął na balkon. Z telefonu,

w który wyposażył go redakcyjny technik, wybrał numer.

– Dzień dobry panu, tu Wiktor Tilszer.

– Dobry. – Głos po drugiej stronie dolatywał jakby ze studni.

– Dzwonię w naszej sprawie. Czy jest szansa, że dostanę to, o czym pan opowiadał?

– Potrzebuję jeszcze paru dni. Różne czynniki szaleją. Pan też mógłby dostać rykoszetem. – Wiktor zastanowił się, na czym miałyby polegać rykoszet, ale nie zapytał.

– Oczywiście. A tak mniej więcej kiedy?

– Dam panu znać. – Mężczyzna rozłączył się.

Piątek, 17 stycznia 2020

– Rozmawiałem z ugandyjskimi kolegami.

Wiktor zdziwił się, kiedy wyświetlił mu się numer człowieka od poważnych interesów w Ugandzie. Po spotkaniu na Mokotowie był prawie pewien, że jego rozmówca się nie odezwie.

– Moi znajomi wolą pozostać z boku, ale zasugerowali usługi Malcolma. Mówią na niego Nokia, bo specjalizuje się, że tak powiem, w *connecting people*. Wyślę panu kontakt i napiszę, na kogo ma się pan powołać.

\*

Plecak mocno się przykurzył. Przeprał go na szybko, co niewiele dało, bo brud mocno wszedł w materiał. Kiedy ostatnio go używał? W sumie nie wiedział, dlaczego pakuje się w plecak, a nie w walizkę. Zadał sobie to pytanie, zwijając w rulon i wsadzając do plastikowej torebki trzy w miarę eleganckie koszule. A nuż się przydadzą. Marynarki nie pakował, bez przesady, to jednak Afryka, porządna koszula wystarczy. Ale dlaczego nie walizka? Przecież nie będzie jeździł stopem na dachach ciężarówek jak kiedyś. Nie wiedział, odruch.

Lekarstwa, laptop, ładowarki, notesy, kalendarz, okulary przeciwsłoneczne. Lilka pomagała w pakowaniu. Pomoc polegała na rozrzucaniu wszystkiego gdzie popadnie. Zdążyła też wsadzić do plecaka trzy przytulanki, w tym pluszową szympansię o imieniu Judy, która zajęła połowę miejsca.

– Lilku, wydaje mi się, że Judy powinna zostać i pilnować domu.

Córka nie wydawała się przekonana.

– Ale tatusiu, Dziudi będzie ci pomagać! Obroni cię przed lewami i dinozaurami.

– Zróbmy tak. – Wiktor sięgnął do plecaka, skąd wyjął pluszowego misia niewiele większego od swojej dłoni. – Hampuś poleci z tatusiem i będzie się nim opiekował, on jest bardzo sprytny, a Judy zostanie i będzie pilnowała Lilki i mamy. Co ty na to?

– No dobra. A Wiktor? – Lilka wyciągnęła z plecaka różową słońcę.

Zanim Wiktor wymyślił odpowiedź, do pokoju weszła Agata.

– Spakowany? – Kiwnął głową. – Zamawiasz taksówkę?

– Wojtek mnie zgarnie. Musimy jeszcze przegadać sprawy redakcyjne. – Zapadło niezręczne milczenie. Lilka rozwijała i zwijała skarpetki.

– Melduj się, okej? – Agata opadła z wysiłkiem na fotel, złożyła ręce na brzuchu. Patrzyła na niego tym swoim przeszywającym wzrokiem. Poczuli się winni. Jakby uciekał. Co naprawdę myślała? Wydawała się spokojna. Może zdrowy rozsądek, intuicja i znajomość męża powiedziały jej, że go nie powstrzyma. Pytanie, co będzie na niego czekać po powrocie. Okej, za późno na te refleksje. Nie cofnie się i niczego teraz nie zmieni. Najpierw Marcin, potem Agata. Wszystko się uda. Musi się udać.

– Oczywiście. Na bieżąco. Na lotnisku kupię ugandyjską kartę, wyślę ci od razu numer. – Chciał, żeby Wojtek już się zjawił. To przeciągające się pożegnanie go wykańczało. Najchętniej walnąłby się z dziewczynami do łóżka, leżeliby i wygłupiali się jak w leniwe niedziele, kiedy połowę dnia spędzali w pizamach. A jeżeli nie mógł, to chciał jak najszybciej stąd uciec. – Chodź, Liluchna. – Dziewczynka podbiegła i wskoczyła mu na kolana. – Idziemy sprawdzić, co u twojego brata?

– Iha! – pisnęła

– To wskakuj na konika! – Postawił ją na ziemi, uklęknął, wsparł się rękami o podłogę. Lilka od razu na niego wlaźła. Podreptał do Agaty. Zapukał delikatnie w jej brzuch.

– Puk, puk! Jest tam kto?

– Wychodź, zbóju! – krzyknęła Lilka.

– Jak się uspokoiacie, to może się odezwie – odpowiedziała Agata.

Wszyscy troje położyli ręce na napiętym brzuchu. Zabrzęczał dzwonek do drzwi.

Sobota, 18 stycznia 2020

W dole lśniło Jezioro Wiktorii. Samolot Ethiopian Airlines zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku Entebbe, które już na zawsze będzie się Wiktorowi kojarzyć z odbiciem zakładników samolotu Air France lecącego z Tel Avivu do Paryża, porwanego przez palestyńskich i niemieckich terrorystów w 1976 roku. To była jedna z najbardziej spektakularnych, wręcz niemożliwych do zrealizowania akcji służb specjalnych w historii. Uśmiechnął się kwaśno pod nosem. Teraz pan w średnim wieku o nazwisku Tilszer próbuje odgrywać Jamesa Bonda. Przypomniawszy sobie PRL-owską podróbkę Bonda, *Życie na gorąco*, którego główny bohater, redaktor Maj zwalczał demonicznych imperialistów. Nieprawdopodobne gówno. Odkrył ten serial na nowo, kiedy młodszy brat Agaty powiedział, że to wyśmienity serial, tylko najpierw trzeba zapalić jointa. Co okazało się zresztą najprawdziwszą prawdą. Zatem redaktor Maj wkracza do akcji. Może po blancie byłoby to nawet zabawne.

Nigdy tu nie lądował, a przecież spędził w Ugandzie sporo czasu. Raz stąd wylatywał, w 1994 roku, do Dar es Salaam w Tanzanii. Na to wspomnienie skrzywił się z niesmakiem. To był jego pierwszy pobyt w Afryce, podróż zaczął w Kairze i przez kilka miesięcy posuwał się na południe, aż znalazł się w Ugandzie. Wyjeżdżając z Polski, był kompletnie nieprzygotowany na zderzenie z Afryką, na jej inność. Im mocniej w nią wkraczał, tym bardziej był zafascynowany i coraz bardziej się jej bał, patrząc na wszechobecny chaos. Zakochiwał się w Afryce, ale też zaczynał nienawidzić. Z niechęcią słuchał, jak miejscowi Biali mówią, że Czarnym wystarczy dać zabawkę, żeby wszystko zniszczyli. I chociaż czas wolał spędzać z Afrykanami, to kiedy trzeba było coś załatwić, sam wolał robić to z Białymi. Kiedy w styczniu 1994 wsiadał na pokład Uganda

Airlines do Dar es Salaam, był po dwóch podróżach autobusowych, które omal nie zakończyły jego dwudziestopięcioletniego życia.

Najpierw w Kenii, w drodze z Nairobi do Mombasy. Jechał z kumplem. Kiedy już zajęli miejsca, miły Kenijczyk spytał, czy mogliby się przesiąść z prawej na lewą, żeby jego rodzina mogła siedzieć razem. Zgodzili się bez zbędnego gadania. Godzinę później, chociaż z naprzeciwka jechał TIR, kierowca autobusu postanowił wyprzedzić. Wiktor pamiętał, że patrzył na ciężarówkę i nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Przecież było widać, że jadą na czołowe. Dlaczego kierowca się nie wycofa? Sekundy później nastąpiła apokalipsa. TIR ciągnął dwie platformy z samochodami, dolna rozerwała lewy bok autobusu. Rodzina, z którą zamienili się miejscami, zginęła na miejscu. Cała. Wiktor był spryskany krwią i zastanawiał się, co na jego spodniach robi galaretka. Potrzebował chwili, by zrozumieć, że to czyjś mózg.

Z autobusu wyskoczył w panice, bojąc się, że ten zaraz wybuchnie. Samochody przejeżdżały obok, zatrzymywały się, ludzie patrzyli, rozmawiali, ale nie wydawali się specjalnie przejęci, jakby kilkanaście trupów było dla nich czymś normalnym. Wieczorem w Mombasie upił się, a następnego dnia kupił gazetę przekonany, że tekst o tragedii będzie bił po oczach z czołówki. Nic. Trzyzdaniową wzmiankę znalazł w końcu na szóstej stronie.

Równy miesiąc później jechał autobusem z Kampali na południowy zachód Ugandy, pod granicę z Rwandą i Zairem. Zapytał kierowcę, ile zajmie podróż. Ten odparł, że cztery godziny. Wiktor pomyślał: czterysta dwadzieścia kilometrów, z tego połowa krętymi drogami przez góry. Musiałby grzać średnio sto pięć na godzinę, fizycznie niemożliwe, klasyczne niezobowiązujące afrykańskie podejście do czasu. Dojechali w trzy godziny pięćdziesiąt minut, a Wiktor przez cały czas modlił się do Boga, w którego nie wierzył.



Kiedy więc niewiele później postanowił przenieść się z Kampali do Dar es Salaam i pomyślał, że będzie musiał przejechać autobusami tysiąc siedemset kilometrów, poczuł, jak jego ciało tężeje w niemym oporze. Podzielił się swoim niepokojem z napotkanymi Anglikami. Ci poradzili, żeby poleciał samolotem, bo bilety są zaskakująco tanie. Dodali, że samoloty ugandyjskich linii pilotują Biali. Ulżyło mu, kupił bilety.

Wsiadając do samolotu, zajął miejsce w kabynie. Piloci byli czarni, znowu zesztywniał. Teraz, kiedy maszyna podchodziła do lądowania, pomyślał o swojej reakcji ze wstydem i zażenowaniem. Przypomniał sobie dowcip, który usłyszał w czasie drugiego pobytu w Afryce. Biały zamawia kawę i zauważa w niej muchę. Jeżeli woła kelnera i prosi o wymianę napoju, to znaczy, że dopiero przyjechał. Jeżeli wyjmie muchę i ją wyrzuci – spędził w Afryce wystarczająco dużo czasu. Jeżeli zjada muchę i popija kawą – siedzi w niej za długo. Wtedy, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, chociaż podróżował po Afryce już od pół roku, Wiktor spędził w niej zdecydowanie za mało czasu. W sensie mentalnym cały czas był turystą, „podróżnikiem”, jak się dzisiaj nazywa ten typ, który myśli, że jeżeli prześpi się kilka razy w hostelu dla backpackersów, to wstąpił do klubu imienia Livingstone’a. Był obcym patrzącym z zewnątrz i stosującym swoje, często nieprzystające do otaczającego go świata miary. Śmieszyli go Biali ekscytujący się po hippisowsku Afryką, czyli zjadający muchy, ale nie zrozumiał jeszcze, że najlepsze podejście, i to nie tylko w Afryce, polega na tym, by wyrzucić muchę i wypić kawę. Żeby do tego dojść, potrzebował jeszcze kolejnego roku na Czarnym Lądzie, jak lubią określać Afrykę niedorozwinięci komentatorzy sportowi. Ci od słonecznej Italii i dżdżystego Albionu.

Od wczorajszego popołudnia zdążył zaliczyć trzy samoloty, przez Wiedeń i Addis Abebę. Nie przespał ani minuty. Bał się o Marcina, nie wiedział, po co tak naprawdę leci i co jest w stanie osiągnąć. Za każdym

razem kiedy próbował zasnąć, przed oczami pojawiał mu się syn i obrazy wspólnie spędzonych z nim chwil.

Jak wtedy, gdy zaprosił go do szkoły. Rozmawiali ze sobą już od pół roku, ale za każdym razem kiedy widział, że do niego dzwoni, czuł ciepło i ulgę. Nadal bał się, że wszystko się nagle wywali.

– Cześć, tato!

– Cześć, synek!

– Jest taka sprawa. Geriatria Day, znaczy zapraszamy do szkoły rodziców, żeby poopowiadali o swoich wyczynach. Przyszędłbyś?

– Dzięki, synu. Zawsze fajnie usłyszeć dobre słowo. Ale że co? O pracy mam mówić?

– No tak. Nie robię sobie jaj, serio.

– Dobra, kiedy chcesz?

Potem zadzwonił zadowolony.

– Dzięki, staruszk.

– Happy?

– Bardzo. Ludzie byli naprawdę zaciekawieni. Parę osób mi mówiło, że chciałoby zostać dziennikarzami.

– Chyba ich pogięło.

– Fajnie było. Naprawdę. Dzięki. A tej historii z bombardowaniem w Sudanie nie znałem. Byłeś zjarany jak ci ludzie z NGO-sów?

– Oj tam, oj tam. Pogadamy kiedyś, synek. Idziemy jutro do kina?

– No, umówione. Na co?

– *Spotlight*. Ja już na tym byłem, ale chcę zobaczyć z tobą. Nie pamiętam, kiedy widziałem coś lepszego o pracy dziennikarzy. Rewela, mówię ci. No i pasuje do spotkania w szkole. Będziesz mógł wysłać tych zainteresowanych.

– Super. To do jutra. Gdzie się spotykamy?

– Jak wolisz, mogę cię zgarnąć o siódmej z domu albo wpół do ósmej pod Multikinem.

– To zgarnij. Do jutra.

Siedząca obok starsza Etiopka owinięta tradycyjną białą chustą delikatnie dotknęła jego ramienia. Otworzył oczy. Stewardesa czekała, aż wybierze posiłek. Wziął makaron z dobrze wyglądającym leczo, postawił na stoliku, uśmiechnął się do sąsiadki i zamknął ponownie powieki.

Dziedziniec główny Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu zawsze wprawiał go w dobre samopoczucie. Przypominał piękne chwile, dziewczyny, demonstracje, śmiechawki, przedegzaminacyjne paniki. Teraz też było pięknie. Czekał na Marcina, który musiał sprawdzić wyniki egzaminów w dziekanacie, coś się działo na serwerach i nie dało się sprawdzić online. Może tak było lepiej, mogli być tu razem. Jezu, ile lat stracił.

– Ojciec! – Marcin gnał spod budynku – Przyjęli! Jestem! Iha!!!

Dwadzieścia dziewięć lat wcześniej sam leciał do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do rodziców. Pamiętał, jak krzyczał do słuchawki; „Mamo! Mamo! Przyjęli mnie!”. Teraz objął syna.

– Co, młody? Sushi, gruzińska czy pizza?

– A masz ochotę na hinduską? Namierzyłem świetną w Alejach Jerozolimskich. Mają wegańskie klopsiki po mandzursku, wściekle ostre, dużo jakichś dziwnych przypraw, chcesz spróbować?

– Mniam. Ostro zawsze. No to jedziemy, panie studencie.

Za oknem samolotu budził się dzień. Zasunął okienko. Znowu zamknął oczy.

Aż się poderwali, gdy stado pelikanów przeleciało tuż nad ich głowami. Patrzyli jak zaczarowani na podniebną dywizję. Ptaki zrobiły spore koło nad rozlewiskiem i pofrunęły ku Morzu Czarnemu. Od trzech dni pływali motorówką po rumuńskiej części Deltę Dunaju, podziwiając jej piękno. Zbliżał się wieczór, słońce czmychało na zachód, barwiąc świat na pomarańczowo, mieli jakieś pół godziny odnogą Świętego Jerzego do wioski Sfântu Gheorghe, gdzie zamierzali przenocować. Dopadł ich taki

boski chillout, że Wiktor, który zawsze lubił wszystko planować, nawet nie zarezerwował noclegu. Dopiero teraz sięgnął leniwie po komórkę, żeby sprawdzić, czy znajdą tam jakiś nocleg, ale internet nie działał. Cóż, popytają we wsi, będzie nawet fajniej, jak za dawnych czasów. Niech młody poczuje oldskul. Włóczyli się już prawie dwa tygodnie. Najpierw odwiedzili przyjaciół Wiktora na Rusinowej Polanie w Bieszczadach, pochodzili po połoninach, a potem pomknęli do Rumunii. Agata sama zaproponowała męski wyjazd, żeby pogłębili nie tak dawno nawiązaną relację.

– Dwa tygodnie, dam radę, Lilka ma już rok, jest łatwiej. To ty będziesz za nią bardziej tęsknić. Bawcie się dobrze, chłopaki, w tej Rumunii.

I pojechali. Pokazywał Marcinowi miejsca, w których pracował jako reporter w latach dziewięćdziesiątych i gdzie balował dekadę później. Drugi wątek był trudniejszy, Marcin był wtedy już na świecie, samotnie wychowywany przez Monikę, a Wiktor, no cóż, Wiktor balował. Ale te lata syn mu już wykrzyczał, teraz chciał się dowiedzieć, co ojciec tu robił, co go tu pchało. Wiktor przedstawiał go swoim przyjaciołom w Bukareszcie, Braszowie i Klużu i niektórzy z nich dołączali do nich na dzień, dwa.

Do delty wybrali się na prośbę Marcina, który nie mógł uwierzyć, że jego ojciec tyle razy był w Rumunii i nigdy tam nie dotarł. Więc na rozlewiska pierwszy raz pojechali wspólnie. Ojciec i syn. Syn i ojciec. Zza zakrętu wyłoniło się drzewo, poruszało się w przedziwny sposób i dopiero po chwili się zorientowali, że to kolonia kormoranów. Na brezentowym daszku ich łódki przysiadł jakiś mały kolorowy ptaszek z okazałym dziobem. Zanim Marcin sprawdził w przewodniku po delcie, kim jest ich gość, odleciał.

– I co? – zagadał Wiktor. – Happy?

– I to jak! – wyszczerzył się Marcin.

Samolot podchodził do lądowania. Wiktor ze zdenerwowania nie mógł opanować dreszczy. Niepokój o syna mieszał się z dawno wypartym poczuciem winy związanym z tym, co stało się w Ugandzie wieki temu. Z tym, co zrobił. A jednocześnie, choć nie chciał się do tego przyznać, czuł ekscytację, że oto po dwudziestu czterech latach wraca do miejsca, gdzie zostawił kawałek siebie. Kotłowało mu się w głowie.

Koła samolotu uderzyły o betonowy pas. Zebrał swoje rzeczy jak w malignie. Po wyjściu z rękawa wypełnił dokument na okoliczność eboli, która przywleczona z Demokratycznej Republiki Konga pojawiła się ostatnio w Ugandzie, i pokazał książeczkę szczepień z podrasowaną przez znajomego grafika datą szczepień. Kupił wizę, przeszedł przez odprawę i stanął w kolejce po kartę telefoniczną. Wysłał ugandyjski numer Agacie, Darkowi i Wojtkowi. Z polskiego napisał do Moniki. Kwadrans później wychodził na rozświetlony plac przed terminalem. Szybko wypatrzył hotelowego kierowcę z kartką „Mr Tilssher”.

Od chwili gdy zdecydował się lecieć, zastanawiał się, co poczuje, co rozpozna, jadąc z lotniska. Najpierw przy drodze wyrosły wiejskie domy, zamożniejsze murowane i biedniejsze, będące właściwie szałasami z blachy falistej, skąpane w intensywnej rozświetlonej zieleni. W miarę jak zbliżali się do miasta, pojawiało się coraz więcej przydrożnych sklepów i straganów. Mijali piramidy misek i wiader, instalacje z wyrabianych na miejscu mebli, kobiety w kolorowych sukniach z gigantycznymi kiśćmi bananów na głowach, kopce ananasów, grille, na których dymiły szaszłyki, dziewczynki z bańkami owsianki. Kampala przywitała go śmigającymi po ulicach *boda boda*, motocyklowymi taksówkami, których nie było ćwierć wieku wcześniej, karawanami pasażerskich minibusów, nieustającym dźwiękiem klaksonów i tłumami ludzi przemieszczających się we wszystkich kierunkach, niezważających, czy poruszają się chodnikiem, czy też już ulicą. Wszędzie okaleczeni żebracy i bawiące się dzieci. Wiktor miał w głowie mętlik, nie poznawał

niczego, żadnej ulicy ani budynku, nawet kiedy wjechali do ścisłego centrum. Jednocześnie, kiedy tylko minęli roгатki miasta, odniósł wrażenie, że wyjechał stąd nie dwadzieścia cztery lata, ale dwadzieścia cztery godziny temu. Ot, poleciał do Europy załatwić parę spraw, a tak naprawdę w ogóle nie wyjeżdżał, bo to było jego miejsce, znał to światło, ten zapach, te kolory, tych ludzi, ten chaos, znał ten świat.

Kiedy podjechali pod hotel Speke, dochodziło południe. Budynek w centrum Kampali był klasycznym przykładem dobrej architektury kolonialnej lat dwudziestych. Wybrał go z trochę absurdalnych powodów. Jakiś czas temu, kiedy do głowy by mu nie przyszło, że niebawem znajdzie się w Kampali, oglądali z Agatą na Netfliksie hiszpański film o kobiecie, której siostra, lekarka zginęła w Demokratycznej Republice Konga. A przynajmniej tak się tej kobiecie wydawało do czasu, kiedy dziennikarze przywieźli z szarpanej od lat wojnami DRK film, na którym widać było siostrę żywą. Bohaterka poleciała więc do sąsiedniej Ugandy, gdzie zatrzymała się w fajnie wyglądającym hotelu. W filmie siostry się odnalazły, choć pokazowego happy endu nie było. Kiedy zdecydował się na wyjazd do Ugandy, uznał to za dobry znak. Chwila googlowania i wiedział, że hotel nazywał się Speke. Centralnie położony, w pobliżu urzędów, wygodny dla wszystkich na ewentualne spotkania.

Stał przy recepcji, czekając, aż przetrawią dane paszportowe, gdy jego wzrok przykuła gazeta na stojaku obok. A dokładnie zdjęcie na pierwszej stronie. *Wiceminister spraw wewnętrznych Florence Kategaya zapowiada zdecydowaną walkę ze sprawcami brutalnych napadów na prywatne domy* – głosił tytuł artykułu. Recepcjonistka musiała prosić go o podpis trzy razy.

Marzec 1996

Wyspy Sese to mały sielski archipelag na Jeziorze Wiktorii. Nie ma tu drapieżnych zwierząt, ptaki drą się jak szalone, można spacerować po dżungli i wzdłuż wody, kąpać się, cieszyć się życiem, zrywać banany i ananasy. Wiktor postanowił urwać kilka dni, zanim zacznie pisać kolejny reportaż. Był zmęczony, codziennie zasuwiał od rana do nocy, a że miał bardzo krótki budżet, żył więcej niż skromnie, korzystał z busów, w których za dnia trzeba było uważać na złodziei, a nocą na policjantów. Pokój wynajął w dzielnicy, do której lokalni Biali się nie zapuszczali, a turyści nawet o niej nie słyszeli. Z przystanku przy głównej drodze, na który dojeżdżał minibusem, miał do przejścia jeszcze kilometr ciemnymi zaułkami. Niektórzy już go tu znali i pozdrawiali, inni nie, bywało stresująco.

Spotkany w mieście holenderski dziennikarz polecił mu wyspy Sese jako idealnie piękne i tanie miejsce na weekend. Nie miał z kim jechać, ale pomyślał, że trzy dni w rajy z książką to całkiem fajny pomysł. Miałyby też czas na uzupełnienie braków w pisanim dzienniku. Popłynął łodzią na Bulangale, największą z wysp. Okazało się, że musi przenocować w „porcie”, który składał się z kilku nędznych chat, bo tego dnia nic nie jechało na drugą stronę wyspy, do wioski Kalangala, gdzie chciał dotrzeć. Przez chwilę rozważał, czy tam po prostu nie pójść, ale szybko uświadomiono mu, że to trzydzieści kilometrów przez parną dżunglę.

Gospodyni domku, w którym nocował, powiedziała, że jeden z trzech dostępnych na wyspie samochodów odjeżdża o dziewiątej rano. Następnego dnia, gdy stawił się na czas w wyznaczonym miejscu, zastał gmerającego w silniku samotnego kierowcę zdezelowanego pikapa peugota. Zapytany, kiedy ruszą, kierowca odparł, że o dziesiątej. Wiktor rozłożył się na trawie, popatrując na jezioro, którego spokój go uspił.

Obudził się przed dwunastą, a wtedy okazało się, że muszą jeszcze poczekać na łódź z ładu. Łódź przyплыnęła przed trzecią, większość pasażerów udała się na herbatę w tutejszym barze. Wyglądało na to, że tylko Wiktorowi się spieszy. W sumie jemu też się nie spieszyło, ale na tle tych ludzi, którzy wchodzili na jakiś wyższy poziom nirwany, wyglądał na lekko nakręconego.

O czwartej kierowca rozpoczął próby silnika, znęcając się nad pedałem gazu, ale czynił to już dwukrotnie wcześniej, więc Wiktor postanowił nie robić sobie większych nadziei. Spokój, zen, jest pięknie, a powieść *Na nic odwaga* Timothy'ego Mo – znakomita. Czegóż chceć więcej? No, może żeby ten cholerny pikap wreszcie ruszył.

Ni stąd, ni zowąd zerwała się tropikalna ulewa. Padało przez równe dwie godziny, do szóstej. Wtedy kierowca oświadczył, że nie wiadomo, czy w ogóle wyruszą, bo droga może być nieprzejezdna. Narady z najbardziej aktywnymi pasażerami trwały do siódmej, zapadła decyzja na „tak”. Przystąpiono do załadunku paki wszelakimi dobrami, od worków mąki przez garnki po żywe kurczaki, a gdy go zakończono, nie było już miejsca dla ludzi. A przynajmniej tak się mogło wydawać, bo jednak dwanaście osób, w tym Wiktor, umościło się na pace w akrobatycznych pozach. Ruszyli.

Wiktor podjął dramatyczną walkę z grawitacją, cały czas zsuwał się z worków. Co chwilę wydawało mu się, że spadnie pod koła. Na szczęście rozpędzali się w porywach do dwudziestu kilometrów na godzinę. Gdy próbował łapać równowagę, przechylając się do tyłu, padał ofiarą damy obfitych kształtów, która przyduszała go imponującym biustem i bez żenady łapała za rozmaite części ciała. Nie minęło pół godziny, kiedy spod samochodu dobiegł huk. Stanęli. Przez kolejny kwadrans kierowca szukał przyczyny odgłosu, a że jej znalazł żadnej, ruszyli w drogę z radosnym grzechotaniem.



Po kolejnych kilkunastu kilometrach z naprzeciwka nadjechał podobny pikap z pasażerami i towarami, drugi z trzech na wyspie. Parująca po deszczu czerwona droga była wąska, ale nie aż tak, żeby nie można się było wyminąć. Tyle że żaden z kierowców nie miał zamiaru ustąpić, zjeżdżając na pobocze. Tamten miał większy samochód, ale na pikapie Wiktora było więcej osób, Klasyczny pat. Rozgorzała zacięta kłótnia, wszyscy krzyczeli, aż kierowca peugeota się obraził i sobie poszedł. Wtedy opuszczeni pasażerowie postanowili przepchnąć peugeota bokiem. Początkowo szło im całkiem nieźle, ale zaryli w błocie. Kierowca, który tymczasem wrócił, obraził się z kolei na nich i znów się oddalił, nic sobie nie robiąc z ich krzyków. Wiktor dawno już zapomniał, że gdzieś miał dotrzeć, i fantastycznie bawił się niespodziewaną psychodramą. Też krzyczał, wściekle gestykulował, łapał się za głowę. Wreszcie podłożyli pod koła peugeota patyki, tamci trochę ustąpili i samochody minęły się bez problemu.

Kierowca wyrzucił Wiktora pośrodku niczego. Z jednej strony dżungla, z drugiej plantacja ananasów. Wiktor odnalazł ścieżkę między ananasami, która zaprowadziła go do niewielkiego budynku. W istocie miejsce okazało się agroturystyką, której szukał: Andronikos Lodge. W progu powitał go drobny starszy mężczyzna, jak się okazało, pan Adronikos we własnej osobie, który przedstawiając się, od razu zaznaczył, że był nauczycielem gimnazjalnym w Kampali, wrócił do rodzinnej wioski po przejściu na emeryturę. Budując swój hotelik, kierował się ewidentnie własną skromną posturą, gdyż wszystko w nim było skrojone na miarę krasnoludków, a przynajmniej tak się wydawało mierzącemu sto osiemdziesiąt pięć centymetrów Wiktorowi. Wąziutkie korytarzyki, a raczej przejścia bez dachu, pokoiki, nawet toaletowa budka na mikroskopijnym podwóreczku.

Gospodarz zaprowadził go do pokoju ciut większego od wąskiego łóżka, nad którym zwisała moskitiera, i na krasnoludzim stoliku postawił

lampę naftową. Elektryczności na wyspie nie było. Generator zapalano późno w nocy i tylko na chwilę. Wiktor rozejrzał się po izdebce. Portret lady Diany sąsiadował z plakatem informującym o metodach zapobiegania biegunce, dyfterytowi, cholercze, bilharzii i innym świństwow. Wiktor rzucił na ziemię mały plecaczek, po czym pan Andronikos zaprowadził go do przykrytej dachem z trawy jadalni o gigantycznych jak na to miejsce wymiarach. Spokojnie licząc, miała cztery na cztery metry. Półki stojących pod ścianami regałów ugięły się pod setkami słoików i butelek wypełnionych domowymi produktami, ściany zaś upstrzone były dziesiątkami kartek ze wskazówkami i komentarzami: od zakazu uprawiania „złego seksu” przez informacje, który z ugandyjskich przywódców jest bandytą i mordercą, a kto światłym człowiekiem, aż po artykuł z lokalnej gazety opisujący wizytę pana Andronikosa w Watykanie, dokąd wybrał się na audiencję u papieża. Gdy Wiktor, czytając relację, wspomniał, że pochodzi z Polski, gospodarz mało się nie popłakał ze wzruszenia i poprosił siostrę, która zarządzała kuchnią, o szczególnie piękną rybę dla szlachetnego gościa. Ryba była faktycznie nieziemską, ananasy obłędne, a panu Andronikosowi, który mógł rozmawiać o każdym możliwym aspekcie ludzkiej egzystencji, ani na chwilę nie zamykały się usta. Informację, że w altanie z widokiem na jezioro są inni goście, a gospodarz oddali się do łóżka, Wiktor przyjął z dobrze skrywaną ulgą.

Goście, a w zasadzie gościnie, były dwie. Biała i czarna, na oko trochę młodsze od Wiktora, pewnie tuż po dwudziestce. Obydwie wydały mu się bardzo ładne, czarna tak bardzo, że sam zganił się za zbyt długie przyglądanie. Popijały piwo, chichocząc, na jego widok ucichły.

– Cześć – rzucił – jestem Wiktor z Polski.

– Cześć, Wiktorze z Polski – odpowiedziała biała głosem telewizyjnej prezenterki wiadomości – jestem Margaret z Anglii.

– A ja Florence z Ugandy – dodała ze śmiechem czarna.

Też się zaśmiał. Gestem zapytał, czy może się dosiąść. Butelki piwa uniosły się zapraszająco.

– Co tu cię sprowadza, Wiktorze z Polski? – zapytała Margaret.

– Jestem dziennikarzem freelancerem, przyjechałem do Ugandy, żeby napisać reportaż o wojnie na północy, a tu wpadłem na chwilę, odpocząć po przygodach w Etiopii. A wy co tu robicie, Margaret z Anglii i Florence z Ugandy?

– Pracujemy dla brytyjskiej organizacji pozarządowej Children of the World – odezwała się Florence. – Zajmujemy się między innymi resocjalizacją ofiar tej wojny, o której zamierzasz pisać, dzieci żołnierzy.

– O kurczę, dosłownie wczoraj byłem w waszym biurze w Kampali.

– No to minęliśmy się o włos. Prawie cały dzień siedziałam w biurze – powiedziała Angielka. – Czego szukałeś?

– Prosiłem o pozwolenie na wizytę w waszym obozie dla dzieci pod Gulu. – Zawahał się. – No i starałem się zorientować, czy nie załapałbym się na transport na północ, do Gulu właśnie. Wiem, że jeżdżą tam rejsowe autobusy i że mogę pojechać w każdej chwili, ale też wiem, że ciągle zdarzają się napady i może to niezręcznie zabrzmieć, ale taki samotny biały, który nie bardzo wie, co i jak, to pewnie łakomy kąsek. Więc nawet gdybym miał jechać tym autobusem, to raźniej byłoby z kimś, kto orientuje się w sytuacji, no wiecie. – Spojrzał przeproszająco, zastanawiając się, czy nie wzięły go za leszcza.

– Całkiem sprytnie, Wiktorze z Polski – zaśmiała się Florence. – A nawet mądrze. W tym momencie muszę zaznaczyć, że umówiliśmy się z Margaret, że na Ssesie *nie rozmawiamy o pracy!* – wykrzyczała teatralnie ostatnie słowa, złapała za głowę koleżankę i lekko ją potarła.

– Przepraszam, moja wina – Wiktor się zaśmiał – już się rehabilituję. Jeszcze po piwie? – Dziewczyny kiwnęły głowami.

Po godzinie śmichów chichów, anegdot, przekomarzań i beztroskich żartów rozmowa zesłała jednak na pracę, czyli na okrutną wojnę trawiącą

Aczoliland, krainę ludu Aczoli na północy Ugandy. W końcu Florence zapytała:

– Za trzy dni jadę do Gulu. Chcesz się zabrać, Wiktorze z Polski?

Uśmiechnął się szeroko.

Sobota, 18 stycznia 2020

Wszedł do pokoju, który na Bookingu wyglądał zupełnie inaczej. Ale wziął najtańszy, więc może nie powinien się dziwić. Te przestronne, z oknami na ogrody po drugiej stronie ulicy, kosztowały trochę więcej. A tu klitka, wąskie łóżko, chwiejąca się i niedomykająca szafa, okienko pod sufitem. Ale prysznic działał, klimatyzacja też. Mimo to intensywnie się pocił. Nie było jakoś bardzo gorąco, tyle że jeszcze wczoraj funkcjonował w temperaturze o trzydzieści stopni niższej. Umył się, oprzytomniał i wysłał SMS-a. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. „Za godzinę w Que Pasa w Kisementi. Obok centrum handlowego Acacia Mall”. Acacia Mall, tam Marcin ostatni raz użył karty bankowej.

Wziął taksówkę sprzed hotelu i od razu tego pożałował. Miasto było jednym wielkim korkiem. Samochody stały, między nimi przeciskały się tylko *boda boda*, wyskakujące nie wiadomo skąd i prujące pod prąd niczym myśliwce z *Gwiezdných wojen*. Miał ochotę się przesiąść, ale po chwili namysłu postanowił nie ryzykować życia już w trzeciej godzinie pobytu. Jeszcze przyjdzie czas, nie tylko na *boda boda*, ale też na o wiele głupsze sprawy, tego był pewien. Kierowca wyczuł jego niecierpliwość, więc z uśmiechem rzucił, że poszuka „doskonalej drogi”, żeby pasażer był zadowolony. Wiktor włączył Google Maps, co czynił podczas każdego przejazdu taksówką w obcym mieście. Odniósł wrażenie, że został zabrany na wycieczkę krajoznawczą, ale się nie kłócił, miał zapas czasowy. Patrzył przez okno na położone na wzgórzach miasto, na eleganckie hotele i rezydencje ukryte wśród intensywnej zieleni, na zbite z blachy falistej, drewna i folii domki slumsów, na nijakie, złączone ze sobą bloczki, w których każdy balkon ustrojony był w innym stylu, na osiedla apartamentowców. Co jakiś czas z za zakrętu wyłaniał się kolejny kawałek, miasto było piękne, pomarańczowo-zielone, rozpixselowane

przez mieszanę czerwonego pyłu i spalin przepaloną stojącym wysoko słońcem. Nie potrafił policzyć słynnych siedmiu wzgórz, na których niczym Rzym, niczym Jerozolima rozłożona jest Kampala. Czy to wzniesienie po prawej to jedno z nich? Które pokonują właśnie teraz? Nieważne, miasto siedmiu wzgórz dobrze brzmi, bardzo dobrze.

Google Maps pokazywał, że dojazd zajmie im dziesięć minut, dojechali w dwadzieścia pięć. Acacia Mall wyglądało jak wszystkie centra handlowe na świecie, inne było tylko otoczenie, tłum motocyklistów *boda boda*, żebracy, handlarze wszystkim, co da się sprzedać, mnóstwo ochroniarzy. Granica między luksusem centrum handlowego, z eleganckimi sklepami, z przylegającymi doń knajpami i klubami, a pobliskimi slumsami nie mogła być bardziej wyraźna.

Que Pasa, gdzie się umówił, znajdował się po przeciwległej stronie ulicy. Lokal, jak było można się spodziewać, miał meksykański wystrój. Trudno było o wolny stolik. Mimo że godzina była mało barowa, roilo się tu od klientów, szczęśliwych przedstawicieli ugandyjskiej klasy średniej, Wiktor dostrzegł kilku Białych i Hindusów.

– Wiktor, to ty?

Spojrzał na atrakcyjną białą, ciemnowłosą kobietę koło trzydziestki. Sądząc po wyglądzie, pochodziła z południowej Europy i rzeczywiście okazała się Hiszpanką, w dłoni trzymała kieliszek margarity z charakterystyczną otoczką z soli. Wypatrywał fotoreporterki, o której pisał Carsten, spodziewając się, no właśnie kogo? Pewnie żylastej twardzielki w bojówkach i w kamizelce. Tymczasem stała przed nim bardzo kobieca, zgrabna i delikatna dziewczyna w białej, koronkowej sukience.

– Elena. – Gestem wskazała stolik na tarasie, przy którym siedział szczupły rudy mężczyzna koło czterdziestki. – A to Ewan McGregor, mój przyjaciel, dziennikarz.

– Ewan McGregor? – Wiktor się uśmiechnął, bo rudzielec był nawet podobny do słynnego aktora. Mężczyzna przewrócił oczami i westchnął. Wiktorowi zrobiło się trochę głupio.

– McGregor to częste nazwisko w Szkocji, a rodzice nie wiedzieli, że po świecie od kilku lat chodzi gnojek, który kiedyś zostanie gwiazdą, więc też dali mi na imię Ewan. Za *Trainspotting* będę go kochał po wieki wieków, ale na co dzień nienawidzę. – Roześmiali się i szybko ucichli, jakby przypominając sobie, po co się spotkali. Ciszę przerwała Elena.

– Zaprosiłam Ewana, bo lepiej się orientuje w sprawach, które mogą być dla ciebie ważne. Zwłaszcza jeśli chodzi o policję, wojsko i służby. Ale najpierw streść pokrótce sprawę, bo Carsten napisał bardzo ogólnikowo.

Wiktor rozejrzał się niepewnie dookoła, w restauracji było mnóstwo ludzi, siedzieli bardzo blisko siebie. Panował gwar, ale rozmowy toczony przy sąsiednich stolikach można było doskonale usłyszeć. Nie zdążył się odezwać, kiedy Szkot uśmiechnął się lekko, jakby rozumiejąc, co mu chodzi po głowie.

– Spoko, stary, nie masz czego się bać. Tutaj ludzie rozmawiają swobodnie i nie mam tylko na myśli klientów Que Pasa. To nie Etiopia czy Rwanda. Tamci mają na Zachodzie dobry PR, afrykański sukces, te rzeczy, ale ludzie boją się własnego cienia. A Ugandyjczycy non stop gadają o polityce, klną na władze, a życie toczy się dalej. Dopóki nie zagrażasz miłościwie panującemu Museveniemu, to pełen luz. A nie zagrażasz, snując barowe opowieści. Zagrażasz i zasługujesz na areszt, pobicie, a może i tortury, kiedy jak Bobi Wine rzucasz prawdziwe wyzwanie.

– Bobi kto? – zapytał Wiktor. W ostatnich dniach doksztalał się z aktualnej sytuacji w Ugandzie, ale to nazwisko mu umknęło.

– Wine. Muzyk taki, wokalista, który wszedł w politykę. Teraz przed czterdziestką. Chłopak wyrwał się ze slumsów, ale o nich nie zapomniał,

nawet jak się już wykształcił i wzbogacił. Idol biedoty i młodzieży, a przecież Uganda to jedno z najmłodszych społeczeństw na świecie. Na razie nie ma szans z Musevenim, ale ten już dostrzegł w nim przeciwnika, więc jakiś czas temu Bobiego pobili tak, że musieli interweniować Amerykanie. Ściągnęli chłopaka do Stanów, żeby go poskładać. Ale żyje, wrócił i działa. Mówię ci to, żebyś znał kontekst i nie schizował. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Może przyjdzie na to czas, ale wtedy cię ostrzeżę. A teraz dawaj.

Wiktor opowiedział o wszystkim, co ustalił. Zakończył informacją, że następnego dnia, w niedzielę, jest umówiony z oficerem policji, do którego namiary dostał od członka IP-y, międzynarodowego stowarzyszenia policjantów.

– Skąd miałeś kontakt do tego gościa z IP-y? – zapytał Szkot.

– Od przyjaciela ze studiów, Polaka, który wiele lat spędził w służbach, a teraz zajmuje się tak zwanym doradztwem.

– A on zna go osobiście? Z jakiego jest kraju jest ten człowiek?

– Z Kenii. Mój kumpel i on spotkali się lata temu na jakiejś konferencji na temat bezpieczeństwa. Z mejlowej korespondencji z Kenijczykiem wywnioskowałem, że ostro razem popili. Tyle.

– Dobrze, przynajmniej jest jakiś wątek osobisty, to może pomóc. A Kenijczyk z Ugandyjczykiem skąd się znają?

– Chyba ze współpracy wydziałów kryminalnych policji Ugandy i Kenii, ale nie wiem dokładnie. Mój Kenijczyk o tym ugandyjskim oficerze pisał, że to jego dobry przyjaciel, ale z tego co pamiętam, w Afryce każdy nowo poznany człowiek staje się dobrym przyjacielem.

– Mniej więcej. – Szkot się zamyślił. – Na pewno nie zaszkodzi, że do tego Ugandyjczyka dotarłeś po znajomości. To wszędzie pomaga. I nie chcę cię zawczasu straszyć, ale nawet jeśli ten oficer okaże się życzliwy i będzie chciał pomóc, to raczej to nie wystarczy. Policja, nawet kryminalna, niewiele w Ugandzie może. Liczą się służby specjalne,



wojskowe i cywilne, a przede wszystkim te bezpośrednio podległe prezydentowi, którymi kieruje jego syn. Problem polega na tym, że ugandyjskie służby specjalne nienawidzą się między sobą bardziej niż formacje tego rodzaju w innych krajach. Policja to nie ta liga.

– Więc co radzisz?

– Spotkaj się z nim, opowiedz o zniknięciu syna, zobaczymy, co ci poradzi, ale już teraz rozejrzałbym się za fixerem, pośrednikiem, który ma kontakty wśród dużych chłopców ze służb. Pamiętaj, że tutaj jest totalna korupcja, na każdym poziomie, ale z drugiej strony nie odbywa się to aż tak formalnie jak w Kenii. Sprawy da się załatwić. Zadzwoń tu i tam. Tyle że to kosztuje.

– Ile?

– Nie wiem, nie chcę strzelać. Tanio nie będzie, ale wszystko zależy od rodzaju usług, że tak powiem. Bo to może być wszystko, od konsultacji przez rozmowę z tłustymi misiami po nielegalne działania. Potrzebny jest ktoś, kto ma kontakty w policji i w wojsku, ale przede wszystkim w formacjach elitarnych. Tu nie ma prywatnych detektywów, wszystko załatwiają służby. Państwo, mafia i mundurowi są jednością. I tam należy szukać pomocy. Przynajmniej wiem, kto może wiedzieć i kto zna takich ludzi. Jeszcze dzisiaj zadzwonię.

– Wielkie dzięki. – Wiktor intensywnie tarł dłońmi twarz.

– Nie ma za co, chłopie. Przeprowadziła cię Elena, a to moja serdeczna przyjaciółka, uratowała mi dupę w czasie wojny w Południowym Sudanie.

– Oj tam, oj tam – strzeliła oczami dziewczyna – Ewan po prostu niedowidzi, nie ma kondycji i jak uciekaliśmy spod ostrzału, to był tak zasapany, że nie widział min w trawie. Taki los starych ludzi.

Ewan pokręcił głową, udając uśmiech, a Wiktor zaczął się zastanawiać, czy tych dwoje łączy coś więcej niż przyjaźń.

– Jest podła, ale można jej ufać – ciągnął Szkot. – Dałaby sobie rękę uciąć za Carstena, a Carsten za ciebie poręczył, więc sumując, jesteś moim przyjacielem. Witaj w Afryce! – Uśmiechnął się krzywo. – Wiesz, gdzie Martin zatrzymał się w Kampali?

– Tylko że w jakimś hostelu dla backpackersów, mówił, że bardzo fajny, superludzie, zarówno gospodarze, jak i goście. Nie pamiętam nazwy. Wymienił ją przez telefon, ale nie odnotowałem, bo to nie miało żadnego znaczenia. Chyba wspominał, że to rozrywkowa okolica i że w samym hostelu jest fajny bar z imprezami. No i ostatni raz wypłacał pieniądze z bankomatu tu obok w Acacia Mall.

Elena i Ewan spojrzeli po sobie. Tym razem to ona się odezwała.

– Bushpig? Czy ten hostel może się nazywał Bushpig?

Wiktor podrapał się po głowie.

– Naprawdę nie pamiętam, a co?

– To jeden z najpopularniejszych hosteli w Kampali, do tamtejszego baru złązą się setki turystów, Ugandyjczyków, ekspatów. Dosłownie kilometr, na *boda boda* dojedziemy tam w trzy minuty, no a przy okazji znamy właścicieli.

Wiktorowi zaświeciły się oczy. Zapłacił rachunek. Szkot szybko wynegocjował stawkę na pobliskim postoju *boda boda*. Wiktor ze zdziwieniem zauważył, że Ewan ma własny kask.

– Bez niego się nie ruszam. Niektórzy kierowcy mają kaski dla klientów, ale uwierz mi, nie chciałbyś w nie wsadzać głowy. No a bez kasku, sam zaraz zobaczysz.

Kiedy kierowca ruszył, Wiktor o mało nie poleciał plecami na dziurawy asfalt. W panice zastanawiał się, jak się trzymać, nie obejmując desperacko kierowcy. Prawą ręką złapał prawą ręką rurkę za tylnym siedzeniem. Odruchowo zaciskał kolana, bo taksówkarz pędził w dół środkiem ruchliwej ulicy między sunącymi w przeciwnie strony

samochodami. Wiktor był tak przerażony, że wykrzyczał kierowcy do ucha coś, co absolutnie nie było prawdą.

– Spoko, człowieku, nie spiesz mi się! – Chłopak albo nie znał angielskiego, albo miał gdzieś preferencje pasażera. Wiktor patrzył na inne *boda boda* i zastanawiał się, jak Ugandyjczycy to robią, że zachowują równowagę, niczego się nie trzymając, w trakcie jazdy piszą SMS-y, a kobiety – w co nie mógł uwierzyć, chociaż zobaczył na własne oczy – nawet malują paznokcie.

Trasa rzeczywiście była krótka, po chwili się zatrzymali przed bramą hostelu. Na plastikowych krzesłach siedzieli w niej ochroniarze. Nad ich głowami wisiał plakat, informując strzałkami skierowanymi w przeciwną stronę, że na zewnątrz klientów czekają korki, a w środku piwo. Z motocykla obok zeskoczyli Elena i Ewan. Wiktor był pełen podziwu, że udało im się zmieścić w trójkę na jednym motorze, a jego szacunek wzrósł, kiedy zobaczył, że Szkot właśnie kończył prowadzoną w trakcie jazdy rozmowę przez komórkę.

– Gadałem z Willem, właścicielem Bushpiga, zaraz da znać recepcji, żeby z nami porozmawiali.

Wiktorowi piknął sygnał nadchodzącego SMS-a w ugandyjskiej komórce. Ten numer mieli tylko Agata, Darek i Wojtek. Pisał Darek: „Sorry, że nękam, wiem, jaką masz sytuację, ale nie pójdziemy dalej z aquaparkiem bez kontaktu z dozorcą. Zadziałasz? PS Coś nowego w sprawie Marcina?”. Wiktor przeprosił na chwilę Elenę i Ewana. „Z aquaparkiem już działałam, w sprawie Marcina na razie nic” – wysłał wiadomość do zastępcy i wyjął polską komórkę. Przez chwilę się zastanawiał, po czym włączył Telegrama i napisał na numer dozorczy: „Bardzo Pana przepraszam, ale z ważnych i nieprzewidzianych powodów rodzinnych musiałem nagle wyjechać za granicę i nie jestem w stanie w tej chwili powiedzieć, kiedy wrócę. Czy byłaby możliwość, żebyśmy porozmawiali tą drogą? Albo żeby spotkał się Pan w Polsce z moim

zaufanym człowiekiem? Będę bardzo wdzięczny”. Przez chwilę się wahał, w końcu nacisnął niebieską strzałkę. Bał się odpowiedzi.

Rozejrzał się po hostelu i mimo wszystko uśmiechnął się w duchu. Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz mieszkał w podobnym miejscu, a przecież uwielbiał takie klimaty. Z głośników sączyła się nie za głośno muzyka, reggae zastąpił kongijski żywiołowy pop, przy stolikach, na kanapach i pufach siedzieli przeważnie młodzi ludzie różnych języków i ras. Tu rozprawiano nad mapą, tam przeliczano dolary i ugandyjskie szylingi. Grupka Koreańczyków zawzięcie dyskutowała przy tablicy ogłoszeniowej, a przez ocieniony palmami dziedziniec przechodziła obowiązkowa w takich okolicznościach przyrody para Białych ubranych w afrykańskie luźne kolorowe ciuchy. On w pumpach i koszykarskiej koszulce, ona owinięta wzorzystym materiałem. Na głowach mieli nieodzowne warkoczyki okraszone setkami koralików. Kiedyś takie bardziej afrykańskie niż Matka Afryka białasy bardzo go bawiły i stanowiły okazję do kpin, teraz wzbudzały w nim pewną tkliwość.

Ściany pokrywały ogłoszenia i tabliczki informacyjne. Nad barem: „W whisky mądrość, w wodzie bakterie”. Przy telewizorze i kopczyku starych DVD: „Jeśli macie ochotę na najnowsze hity, przyjaciel powiedział nam, że na Crane Plaza w Kisimenti jest miejscówka zwana Funz Video, gdzie można kupić pirackie DVD. Oczywiście nie wiemy, czy to prawda”. Przy recepcji: „Uprasza się o nieparadowanie w dormitoriach bez gatek. Respektujemy prawo innych do bezstresowego wysypiania się”. „Zakaz gotowania w pokojach. Jeśli was przyłapiemy, zapłacicie w cholere i niczego nie zjecie”. „Jeśli przydzielono wam łóżko, śpijcie na nim. Nie musicie testować każdego. Wszystkie materace pochodzą z tej samej fabryki”. „Kasujemy fałszywe banknoty dolarowe. Przy okazji kasujemy również ich właścicieli”.

– Był tu dwa razy. – Recepcjonistka przeglądała księgę. – Za drugim razem pięć dni. A nie, chwileczkę... Mam wpisane, że miał być pięć dni,

ale zameldował się w poniedziałek szóstego stycznia, a wyjechał dziewiątego, w czwartek, dwa dni wcześniej. Chyba zmienił plany.

Dzień po tym, jak ostatni raz rozmawiali, pomyślał Wiktor, dziewięć dni temu. Kurwa, już dziewięć dni. Nagle ciężko mu było wciągnąć powietrze.

– A wie pani, dokąd jechał? Z kim?

– Właśnie się nad tym z Jonasem zastanawialiśmy. – Spojrzała na stojącego obok chłopaka. – Pamiętamy go, często ucinaliśmy sobie pogawędki. Był bardzo towarzyski, ciągle kręcili się wokół niego jacyś ludzie. Spotykali się tu wieczorami, a potem szli w miasto. Skład grupy się oczywiście zmieniał, bo backpackersi przyjeżdżali i wyjeżdżali, ale byli wśród nich też Ugandyjczycy i ekspaci. Niektórych znamy z widzenia, bo często tu wpadają. Dzisiaj jest sobota, więc koło ósmej część z tej ekipy na pewno wpadnie tu coś zjeść i wypić przed pójściem do klubów. Powinni wiedzieć więcej.

Wiktor poczuł się nieprzyjemnie rozczarowany i spięty. W zasadzie niczego się nie dowiedział, ale wciąż mógł mieć nadzieję, że za trzy, cztery godziny się to zmieni. Konieczność czekania doprowadzała go do furii. Był wykończony, nie spał od trzydziestu sześciu godzin, miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Oczywiście nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie się zdrzemnąć. Ale nie chciał. Zapytał Elenę i Ewana, czy mają ochotę się napić. Dziewczyna zamówiła kawę, Szkot małe piwo. Wiktor też miał ochotę uspokoić się piwem, ale stwierdził, że tylko go zmuli, zamówił więc gin z tonikiem. Skoro zacząłem brać leki na malarię w ostatniej chwili, to tak się wspomogę – pomyślał. – Brytyjczycy dawnymi czasy byli przekonani o dobroczynnym działaniu ginu.

Piknął SMS. Odpowiedź od dozorczy. „Wykluczone. Tylko z Panem osobiście”.

– Kurwa.

– Co? – zapytali jednocześnie jego towarzysze. Zastanawiał się, jak po angielsku będzie „partykuła wzmacniająca”, kiedy przyszedł następny SMS: „Tydzień. Dłużej nie mogę czekać”. Wiktor schował głowę w dłoniach. Za dużo, kurwa, za dużo tego. Hiszpanka i Szkot przyglądali mu się w milczeniu.

– Wiktor, wszystko w porządku? – zapytała Elena.

Chciał rzucić, że nic nie jest, kurwa, w porządku, ale powiedział, że wszystko okej, po prostu kłopoty w robocie, ludzie wariują. Uspokój się, uspokój – powtarzał sobie, dozorca ważny, ale Marcin ważniejszy, wszystko jest pod kontrolą, będzie dobrze, skup się, woda, oddech, idź się wysikać.

– Lepiej? – zapytał Ewan, kiedy Wiktor wrócił do stolika. Kiwnął głową. Szkot miał minę, jakby chciał o coś zapytać, ale po chwili wahania postanowił przejść do konkretów.

– Zadzwoń na szybko do mojego kontaktu w sprawie fixera. Jutro powinien wrócić z odpowiedzią.

– Wielkie dzięki. – Wiktor zastanawiał się, jak sformułować pytanie, które chodziło mu po głowie od jakiegoś czasu. Żeby odwlec tę chwilę, przeprosił i napisał SMS-a do swojego zastępcy: „Pracuję nad tym, jestem w kontakcie. W poniedziałek będę coś wiedział”. Trzy małe półprawdy układały się w jedno sporych rozmiarów kłamstwo. Postanowił nie zamartwiać się tym do jutra, coś wymyśli, coś się urodzi, po nocy wstaje dzień, te rzeczy. Odłożył telefon.

– Tak się zastanawiam – zaczął – super, jeśli wyjdzie z tym fixerem, nie mogę doczekać się jutra...

– Ale?

– Miałem tu kiedyś znajomą, która chyba jest dzisiaj wpływową... – Urwał. – Ale to było dawno, w dziewięćdziesiątym szóstym. I teoretycznie mógłbym się do niej zwrócić, ale nie wiem, jak by to wyglądało po tych

wszystkich latach, nie mieliśmy kontaktu, nie wiem, czy byłby jakikolwiek odzew, może bym sobie zaszkodził? Może nawet Marcinowi?

– Kto to?

– Znacie Florence Kategayę? – zapytał.

Zapadła cisza. Wiktor zastanawiał się, jakiego przymiotnika użyć, by ją opisać. Złowroga? Znamienna? Złowrózbną? Opieprzył się w myślach za niepotrzebny dramatyzm.

– Wiceminister spraw wewnętrznych? – uniósł brwi Szkot. Wiktor przytaknął.

– Żelazną damę? Żartujesz?

– Poznaliśmy się w dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy tu mieszkałem. Spędziliśmy razem trochę czasu ... – Urwał, widząc zdumione miny Eleny i Ewana. – No co? Była wolontariuszką w „Children of the World”, ja pisałem reportaż o wojnie na północy...

Milczenie przerwał Ewan.

– Poznaliście się w dziewięćdziesiątym szóstym? Spędziliście razem, trochę czasem? Ona z NGO, ty reporter? – Szkot cedził zdania, oddzielając je teatralnymi pauzami i przesadnie gestykulując. – Ile ona miała wtedy lat?

– Dwadzieścia jeden.

– A ty?

– Dwadzieścia osiem.

– I ile tego „trochę czasu” spędziliście?

– Pół roku?

– No pięknie, pół roku. I co dalej?

– Nic, wróciłem do Polski. Kontakt się urwał. Nie było Facebooka. – Aż się skrzywił, wypowiadając ostatnie zdanie.

– Wróciłeś do Polski... Kontakt się urwał... Nie było Facebooka...

– Ewan, przestań – zaśmiał się nerwowo.

– Pamiętasz, co ci mówiłem w Que Pasa? Żebyś przedwcześnie i bez powodu nie schizował. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Może przyjdzie na to czas i wtedy cię ostrzegę. No to cię ostrzegam. Ona nie bierze jeńców. A jej mąż, generał Mutesi, to bardzo poważny zawodnik w służbach specjalnych, ma bezpośredni dostęp do prezydenta. Nie wiem i wolę nie wiedzieć, co cię łączyło z Kategayą, ale jeżeli wasze relacje zakończyły się źle, to uważaj.



## Marzec 1996

Pojazdy kierujące się z Kampali na północ zatrzymywały się przed mostem na Nilu, koło wodospadów Karuma, gdzie czekały na ochronę wojska. Dalej zaczynała się drogowa ruletka w konwojach. Ten, w którym jechał Wiktor, składał się z kilkunastu furgonetek i autobusów wypakowanych ludźmi oraz zwierzętami. Wśród pasażerów dominowały drób i jednostki obwieszane dwudziestolitrowymi kanistrami z bimbrem. Ochronę stanowiły cztery ciężarówki kompletnie pijanego wojska. Po godzinie jazdy po wertepach rozległ się strzał i konwój stanął. Okazało się, że jeden z żołnierzy przez przypadek zastrzelił kolegę.

Czekali w autobusie. Siedząca obok nich kobieta akurat wyjmowała z rany na nodze długiego, białego, glistowatego robaka, kiedy do środka weszła dodatkowa „ochrona”. Nastoletni żołnierze ledwo trzymali się na nogach, odbijali się od siedzeń i przewracali na pasażerów, co byłoby nawet śmieszne, gdyby nie fakt, że w rękach trzymali granatniki przeciwpancerne. Spacyfikowało ich dwóch starszych mężczyzn, układając w przejściu na podłodze. Chłopcy zasnęli. Wokół autobusów kłębił się tłum sprzedawców, oferowali głównie żywność i napoje. Dostojne matrony z pączkami *mandazi* przepychały się z chudymi dzieciaczkami próbującymi wetknąć przez otwarte okna szaszłyki z żyłastych kurczaków.

– Chcesz ananasa? – zapytała siedząca przy oknie Florence. Pochodząca z południa kraju dziewczyna odznaczała się na tle pasażerów jaśniejszym, bardziej brązowym odcieniem skóry. Wypełniający autobus Aczoli byli zupełnie czarni. Przyglądali się nieufnie ich dziwnej trójce: Aczoli, Biały i dziewczyna z południa.

Wiktor zadzwonił do niej zaraz po powrocie z Ssese, obawiając się, że propozycja wyjazdu na północ była kurtuazyjna i wynikała bardziej

z potrzeby chwili wzmocnionej kilkoma piwami. Florence bardzo poważnie odpowiedziała, że musi spytać swoich szefów. Obstawiał, że to unik, ale dwa dni później oddzwoniła z informacją, że się zgodzili i może do niej dołączyć. Mieli jechać z etatowym pracownikiem organizacji, trzydziestoparoletnim Aczolim o imieniu Sisto, który teraz siedział po lewej stronie Wiktora i bardzo był ciekaw, po co ludzie jeżdżą na nartach.

Florence akurat kończyła transakcję, kiedy autobusem szarpnęło. Trzymała w dłoni ćwiartki ananasa nadziane na patyki, ale nie zdążyła za nie zapłacić. Rzuciła więc pieniądze w tłum. Wiedziała, że trafią do właściwej sprzedawczynie. Z plecaczka wyciągnęła książkę. Wiktor z przyzwyczajenia zajrzał jej przez ramię. Robił to na przystankach, w pociągach i samolotach. I mocno się zdziwił, ujrawszy, że Florence trzyma w rękach angielskie tłumaczenie wydanych w jednym tomie *Cesarza i Szachinszacha* Kapuścińskiego.

– Zbieg okoliczności czy postanowiłaś sprawdzić, jak piszą Polacy?

– Margaret mi pożyczyła, kiedy jej powiedziałam, że jedziemy razem.

– I jak się podoba?

– Jeszcze nie wiem. Na razie świetnie się czyta, ten Kapiu, Kapuszsza...

– Kapuściński, nie przejmuj się, nikt poza Polakami nie jest w stanie wymówić jego nazwiska.

– No więc ten gość super pisze, genialnie, zaczęłam od *Cesarza*. Margaret, która studiowała etiopistykę, mówi, że to trochę baśń. Piękna, ale baśń. To z jej powodu wybrała właśnie ten kierunek.

– U nas mówili, że to tak naprawdę opowieść o komunistycznej Polsce lat siedemdziesiątych.

– To po co pisał o Etiopii?

– Bo wtedy w Polsce nie można było normalnie pisać o Polsce. Nie w ten sposób. Była cenzura, podziemie wydawnicze.

– Taki samizdat jak w ZSRR? Uczyłam się o tym na studiach.

– Dokładnie taki, tylko na dużo większą skalę.

– Chwalipięta.

– Studiowałem historię, sorry, panienko. I poznałem Kapuścińskiego.

– Naprawdę? Opowiadaj.

– Jak przeczytasz.

– Ej, nie bądź taki! – Dźgnęła go w żebra, ale zaraz spoważniała, widząc, że Wiktor i Sisto wyglądają przez okno. Pobocze zawałone było spalonymi wrakami samochodów. Efekt ataku rebeliantów sprzed kilku dni.

– W tym tygodniu napadną gdzie indziej – zaczął ich uspokajać Sisto. – Nie lubią się powtarzać. Tutejsi ludzie wiedzą, gdzie się przenieśli. Nie ma się czym przejmować.

– A kto w takim razie – miał ochotę zapytać Wiktor – ginie od miesiąca jak nie „tutejsi ludzie”?

Sisto pochylił się na Biblię, którą czytał, mrużąc pod nosem, Florence oparła głowę o szybę i wpadała w półsen, Wiktor wyjął książkę o współczesnej Ugandzie i zaczął czytać o wojnie Ducha Świętego.

„Duch Święty objawił się dwudziestosiedmioletniej Alicji Aumie w maju 1985 roku. Pochodząca z małej wioski kobieta miała już za sobą dwa nieudane małżeństwa, gdyż jej mężom – jak to się często określa w Afryce – nie udało się »wydobyć dziecka« z Alicji. I wtedy Duch, zwany w języku aczoli »Lakwena« (co oznacza również »posłańca«), nakazał Alicji leczyć ludzi.

Na inicjację udała się do Parku Narodowego Kabalega. Towarzyszył jej ojciec, Severino Okoya Kibero, który już wcześniej rozmawiał z Duchem Świętym. Jego dusza udała się wtedy do nieba, gdzie spotkała Chrystusa, który trzymał w dłoniach wielką księgę. Jezus wymienił imiona wszystkich ludzi na ziemi, a następnie zaprowadził go do Boga, który siedział na dużym okrągłym stołku. Panu towarzyszyli Abraham, Elias, Dawid i Mojżesz. Abraham poprosił Dawida, by ustąpił miejsca Severinowi. Wtedy trzy duchy napełniły jego serca, a Bóg powiedział, że

Lakwena wybierze jedno z jego piętnaściorga dzieci. Severino spędził w niebie osiem godzin, a kiedy powrócił na ziemię, znajdował się w szpitalu w Gulu, głównym mieście Aczoli. Pan dotrzymał obietnicy i pół roku później Alicję wypełnił Duch Święty. Severino opowiadał, że w czasie inicjacji dzikie zwierzęta ustawiały się w szeregu, oddając honory jego córce i skarżąc się na okrucieństwo ludzi.

Przez ponad rok Alicja Auma, zwana od tej pory także Lakweną, przemierzała Aczoliland, uzdrawiając ludzi. W sierpniu 1986 roku Lakwena wydał jej nowe polecenia: od tej pory miała walczyć, by ocalić od zagłady Aczoli i oczyścić ze Zła całą Ugandę”.

– O! Lakwena! – wykrzyknął Sisto, zajrzawszy do książki Wiktora.

– Tak. A co?

– Święta kobieta.

– Ty tak serio? – zapytał zdziwiony Wiktor.

– On tak serio – odezwała się Florence, oderwawszy twarz od szyby – pamiętaj, to Aczoli.

Sisto machnął ręką.

– Śmiecie się, śmiecie. – Wyjrzał przez okno, udając obrażonego, ale po chwili znów zwrócił się do Wiktora. – Pamiętaj, Wiktor, że kiedy Alicja święciła tryumfy na północy, do Kampali weszli zwycięscy partyzanci Narodowej Armii Oporu Yoweriego Museveniego, który rządzi w Ugandzie do dziś. Ich tryumf oznaczał koniec trwających od ogłoszenia niepodległości w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku rządów polityków z północy kraju.

– Co radykalnie zmieniło sytuację – zauważył Wiktor.

– Tak – zapalił się Sisto. – Bo wiesz, Ugandę zamieszkuje ponad pięćdziesiąt plemion, ale stosując kryteria językowe, można je w uproszczeniu podzielić na południowe: Bantu, i północne: nilotyckie. Umowna granica przebiega na Nilu.

– Wiem, odrobiłem lekcję – odpowiedział Wiktor. Autobusem szarpnęło.

– Problem tkwi w przeszłości – ciągnął Sisto, niezrażony. A Wiktor wiedział, że czeka go wykład o niegodziwościach kolonizacji. Skądinąd słuszny.

– Kiedy Brytyjczycy przybyli tu pod koniec dziewiętnastego wieku, na południu były zorganizowane królestwa z własnymi parlamentami i historią sięgającą setek lat wstecz. A u nas na północy ludzie żyli w wioskach. Anglicy, kurwa ich mać, wspomagali rozwój gospodarczy południa, ale nabór do wojska prowadzili wyłącznie na północy, głównie wśród mojego ludu. Nazwali tę swoją armię King's African Rifles, Królewskimi Karabinami Afrykańskimi, ale tłumaczyli, że tę nazwę należy czytać jako: King of Africa is the Rifle, czyli: Królem Afryki jest Karabin.

– No i już w niepodległej Ugandzie – odezwał się Wiktor – dwaj wsparci na tej armii dyktatorzy z północy, Milton Obote i Idi Amin, wymordowali dzięki pomocy swych żołnierzy milion ludzi, przede wszystkim z południa. A potem przyszedł pochodzący z południa Museveni i zakończył władzę ludzi z północy, co dla większości Ugandy było początkiem końca koszmaru.

– Może. Ale dla nas na północy koszmar właśnie się zaczął. – Sisto był bardzo pobudzony. – Aczoli, zawsze biedniejsi niż południowcy...

– Prześladowani przez nich południowcy – wtrącił Wiktor.

– Oj, weź się uspokój – wkurzył się Sisto – tu jest Afryka, tu zawsze ktoś kogoś prześladowuje. Dobra, przyjmijmy, że przed Musevenim rządzą ludzie z północy. Museveni wchodzi do stolicy, bierze władzę. I okej, masz rację, ludzie z północy, w tym Aczoli, tracą coś, co było sensem ich egzystencji w państwie: dominującą rolę w armii. Czterdzieści tysięcy wojskowych uciekło na północ. Część powróciła do swych wiosek w niesławie, nawet krewni z nich szydzili, część nawiała do Sudanu, niektórzy chowali się w buszu, czekając na rozwój sytuacji. Z Kampali

napływały wieści, że nasi ludzie byli wyrzucani z rządowych mieszkań, pozbawiani samochodów.

– No dobra – odezwał się Wiktor – ale żeby od razu wywoływać wojnę domową? Poza tym, wybaczyć, ale Museveni chyba jednak był lepszy od tych twoich chłopaków z północy.

– Nie przesadzaj. – Widać było, że Sisto poczuł się do głębi obrażony. – Chłopcy Museveniego naprawdę chcieli wymordować wszystkich Aczoli. A jeszcze to, jak zachowywały się pierwsze oddziały nowej armii, które dotarły na północ... żołnierze kradli, mordowali i gwałcili. Aczoliland zaczęła ogarniać rebelia. – Sisto spojrzał Wiktorowi w oczy.

– Tak się zaczynają wojny. – Wiktor kiwnął głową.

– Ale wtedy pojawiła się Alicja – ciągnął opowieść Sisto – i rozpoczął się „największy wojskowy żart w historii nowoczesnej ludzkości”, jak to określił jeden z ugandyjskich dziennikarzy. Alicja mówiła, że Bóg nakazał jej oczyszczenie Ugandy ze Zła i utworzyła Ruch Ducha Świętego, czyli HSM. Przepowiadała, że po zdobyciu Kampali nastąpią powódź, burza oraz trzęsienie ziemi, a potem dwieście lat niebiańskiego pokoju. Opowieści o nadprzyrodzonych mocach sprawiły, że zaraz pod jej rozkazami zebrało się piętnaście tysięcy ludzi. Nawet wykształceni opowiadali, że Lakwena potrafiła przemierzać setki kilometrów w dwadzieścia minut. Księża katolicy, zastrzegając oczywiście, że wyznają jedyną i prawdziwą wiarę, sami mówili, że miała tajemne moce. Wyznawcy wierzyli, że kamienie pobłogosławione i spryskane świętą wodą z wodospadu Murchisona będą wybuchać jak granaty. W hierarchii HSM istniało nawet stanowisko „komendanta kamiennych granatów”, który był odpowiedzialny za zbieranie odpowiednich kamieni. Wojownicy Ducha Świętego wierzyli też, że jeżeli zostaną namaszczeni specjalnym olejkiem przyrządzonym przez Alicję, karabinowe kule nie wyrządzą im żadnej krzywdy. Że w locie zamienią się w papier.

– No i co było dalej? – zapytał automatycznie Wiktor, ale jego uwaga skupiła się na Florence znowu opierającej głowę o szybę. Przysypiała. Jak czarny anioł Botticellego.

– A dalej było to – ciągnął Sisto – że Alicja ogłosiła specjalny zbiór instrukcji: wojownicy mieli walczyć na stojąco; nikomu nie wolno było się kryć ani unikać ognia w czasie bitwy, przed rozpoczęciem walki wszyscy żołnierze mieli przez piętnaście minut śpiewać katolickie pieśni kościelne, nie przerywając nawet w przypadku ataku przeciwnika; zabronione było uprawianie seksu i spożywanie miodu, bo pszczoły miały wspomagać walkę HSM i nie wolno ich było grabić. Nieprzestrzeganie którejś z reguł groziło śmiercią, pomniejsze uchybienie zranieniem. Ale po zdobyciu Kampali wszyscy polegli i tak mieli powstać z martwych. W styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku siły Alicji zmasakrowały duży oddział wojsk rządowych. A to, jak się pewnie domyślasz, przyciągnęło kolejne zastępy ochotników. Szefostwo nad jej szpitalem polowym objęła absolwentka nauk politycznych na Uniwersytecie Makerere, najlepszej uczelni w kraju, szanowanej również za granicą. Wyobrażasz sobie? Świetnie wykształcona osoba.

– Serio? – Wiktor wybałuszył oczy.

– To jeszcze nic – dopowiedziała ze swojego półsnu Florence. – Potem do Alicji dołączył były minister edukacji, Isaac Newton Ojok. Profesor, który uwierzył w jej nadprzyrodzone moce. Jeden z polityków określił ją nawet mianem „Joanny d’Arc Aczoli”. Większość jej ludzi chciała zasłużyć sobie na miejsce w niebie, część po prostu wrócić do Kampali, niektórzy pewnie mieli nadzieję na jedno i drugie. Sama Alicja zapowiadała, że po zwycięstwie w Ugandzie wyzwoli Republikę Południowej Afryki.

– No ale jak? Przecież wtedy do Kampali wchodzili partyzanci Museveniego, nowy świat, nowy początek...

– Museveni i dowódcy NRA też nie mogli w to uwierzyć – kontynuował Sisto. – Zaczynali zdawać sobie sprawę, że żart przestał być żartem. W czasie kolejnych bitew NRA zabijała ludzi Lakweny setkami, zazwyczaj w czasie obowiązkowych śpiewów poprzedzających walkę albo masakrując wojowników rzucających kamienne granaty przeciw zupełnie niekamiennym karabinom maszynowym. Wiesz, oni naprawdę byli przekonani, że sprawiedliwych kule się nie mają. Mieszkańcy miasteczek, w pobliżu których operowały siły HSM, z powodu regularności ichniejszych ataków określali je mianem „dyskotek”. Odbywały się tylko w środy i piątki. Ostatecznie Alicję pokonano w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, gdy jej wojska dzieliło od stolicy ledwie kilkadziesiąt kilometrów. Uciekła do Kenii, a armia poszła w rozsypkę. Rząd ogłosił zwycięstwo nad „lunatyczną prostytutką przeobrażoną w czarownicę”.

Florence odkleiła się od szyby i spojrzała na Wiktora, a ten się zmieszał. Sam nie wiedział dlaczego.

– A co ty o tym sądzisz? – zapytał w końcu.

Ponownie spojrzała w dal przez szybę.

– Nic nie sądzę. – Przez chwilę wszyscy milczeli. – Sądzę, że zbyt długo giną niewinni ludzie. Tyle sądzę. Mądrzejsi ode mnie opisali to zdecydowanie lepiej, niż ja będę w stanie opowiedzieć.

Wiktor spojrzał jeszcze raz na dziewczynę i wrócił do pliku kartek maszynopisu odbitych na ksero, które dała mu, gdy zapytał o jakieś sensowne źródła dotyczące Wojny Ducha Świętego. Znajomy dziennikarz, sfrustrowany problemami ze znalezieniem wydawcy, przekazał jej rękopis do oceny. W ręce Wiktora wpadała niepublikowana perełka. Perełka, która wydawcom zdawała się odbezpieczonym granatem. Nikt nie chciał ryzykować.

Przerzucił kilka stron i wrócił do lektury: „W czasie gdy Alicja przedzierała się przez busz w kierunku granicy, Bóg przemówił do jej



dwudziestojednoletniego kuzyna, Josepha Kony'ego. Pan powiedział, że Lakwena nie wypełniła do końca jego poleceń, więc moce, które pozwolą ustanowić Królestwo Niebieskie na Ziemi, zostały jej odebrane i poprzez Ducha Świętego przekazane Josephowi. Wkrótce były ministrant, parający się dotychczas znachorstwem, zebrał siedmiuset wyznawców. Nazwał ich Ruchem Ducha Świętego 2 (HSM 2). Siłom przewodził Ołtarz Kontrolny z Jego Świątobliwością Josephem Konym na czele. Kony kilkakrotnie zmieniał nazwę swego wojska: Zjednoczona Święta Armia Zbawienia, Zjednoczona Demokratyczna Armia Chrześcijańska, a wreszcie od 1993 roku Armia Oporu Pańskiego (LRA).

Kony'ego wspierał cały zastęp duchów. Najważniejszy pozostał oczywiście Lakwena, El Wel Best planował operacje wojskowe, żeński duch Major Bianca odpowiadał za wywiad, a King Bruce sprawował pieczę nad kamiennymi granatami. Odstępców karał srogi duch Who Are You, a Shinaska dbał o leki. Przed walką namaszczano wojowników i poddawano ceremonii zwanej ładowaniem aniołów, które miały ich strzec na polu bitwy. Duchy kontaktowały się z Konym codziennie o dziesiątej rano i czwartej po południu, radząc mu, jak doprowadzić do tego, by Uganda stała się krajem rządzonym według Dziesięciorga Przykazań, co stanowiło oficjalny cel LRA.

W ciągu kilku pierwszych miesięcy Kony skupił wokół siebie tysiące ludzi, ale po licznych porażkach armia skurczyła się do kilkuset osób. Aczoli byli wyczerpani przedłużającymi się walkami, a wojska rządowe okazały się znośniejsze, niż zapowiadały to jeremiady uciekinierów z Kampali. Władze uzbroiły wieśniaków w maczety i karabiny, by mogli się bronić przed rebeliantami. Wtedy, w 1991 roku, Kony zmienił taktykę, jego oddziały zaczęły w odwecie atakować cywili. Obcinać im ręce, uszy, nosy i usta.

– Chłop jest chłopem, nie żołnierzem, więc dlaczego wymierzył broń przeciwko nam? Za karę obcieliśmy mu rękę. A jeśli chłop, który nie jest

przecież oficerem wywiadu, donosi na nas żołnierzom, to obcinamy mu wargi – tłumaczył komendant polowy LRA George Omona. – W Biblii napisano: »Jeśli prawa twoja ręka jest powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła« (Mt 5,30). Dlatego robimy te rzeczy. Nie zabijamy wszystkich, którzy są przeciwko nam, bo wyludnilibyśmy w ten sposób Aczoliland. Karzemy dla przykładu.

Kony cytował ustęp z Księgi Ezechiela: »Skieruję przeciwko tobie moją zapalcząwość, tak że srogo będą się z tobą obchodzili; odetną ci nos i uszy, a to, co po tobie zostanie, upadnie pod mieczem. Zabiorą ci synów i córki, a resztę ogień strawi« (Ez 23,25). Tak powiedział Bóg w Biblii, będziecie cierpieć. Kiedy obcinaliśmy ludziom wargi, niektórzy podnosili wrzawę, że Duch Święty nie usprawiedliwia okaleczania ludzi. Mam nadzieję, iż jesteście świadomi, że to nie ja napisałem ten werset Biblii?

– Niektórzy – dodał Omona – zwłaszcza przywódcy religijni, ciągle zadają nierozumne pytania w rodzaju: dlaczego, jeśli rzeczywiście kieruje nami Duch Święty, zabijamy ludzi? Pytają o to ci, którzy twierdzą, że lepiej niż inni znają Biblię! My również znamy Biblię”.

Po kilku godzinach bez większych problemów dotarli do miasteczka Kitgum w pobliżu granicy z Sudanem, gdzie Sisto i Florence mieli odebrać z chronionych przez wojsko magazynów Children of the World żywność, którą należało dostarczyć uchodźcom wewnętrznym. Tu też czekała należąca do organizacji ciężarówka, którą mieli się przemieszczać. Z Kitgum do Gulu – głównego miasta Aczolilandu, ostatecznego celu ich podróży, gdzie znajdował się główny ośrodek dla dzieci prowadzony przez Children of the World, było ledwie ponad sto kilometrów, ale jechali tam objazdami, przez zagubione w buszu wioski, by dostarczyć potrzebną mąkę.

Sobota, 18 stycznia 2020

Dzień ustąpił nocy, bar Bushpig zaczął wypełniać się młodymi ludźmi. Wiktor wpatrywał się w dwójkę recepcjonistów, niecierpliwie czekając na moment, gdy wskażą mu kogoś, kto jeszcze niedawno spędzał czas z Marcinem. Elena musiała pojechać na wernisaż młodych ugandyjskich fotografów. Wiktor pomyślał, że w normalnych okolicznościach chętnie by się z nią wybrał. Ewan został, tłumacząc, że ma tak dosyć dziennikarstwa, że ledwo jest w stanie czytać własne teksty, a co dopiero oglądać cudze zdjęcia, za które – co gorsza – ktoś dostał nagrody i wyróżnienia, a tym kimś nie był on, Ewan McGregor, dumny syn Szkocji. Wiktor zdążył go poznać na tyle, żeby się domyślić, że rudzielec chce po prostu pomóc. I był mu za to wdzięczny. Nie musiał tego wyrażać. Wiedział, że tamten wie, że on wie. Wystarczy.

Dochodziła dziesiąta, Wiktor powoli tracił nadzieję na pojawienie się kogoś, kto mógłby mieć informacje o Marcinie. I właśnie wtedy recepcjonista wskazał im parę trzydziestolatków. Chłopak był blondynem, dziewczyna wyglądała na Hinduskę, Ugandyjczyk zamachał do nich, przywołując ich do stołu Wiktora i Ewana. Przebili się przez ludzką cizbę. Wyger i Sarina byli Holendrami, pracowali dla Lekarzy bez Granic. Kiedy Lucas wyjaśnił, że Wiktor jest ojcem Marcina, a ten nie kontaktował się z rodziną od wielu dni, autentycznie się zaniepokoił. Recepcjonista zapytał, czy mogą cokolwiek podpowiedzieć. Młodzi zaczęli naradzać się po holendersku. Wiktor zastanawiał się, czy tylko żywo dyskutują, czy jednak trochę się kłócą. I dlaczego, do cholery, nie mówią po angielsku?! Okej, nie nakręcaj się, normalna rzecz dla dwujęzycznych, w nerwowej sytuacji przechodzą na rodzimy język, a dyskutują, żeby przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów. W końcu odezwała się dziewczyna.

– Nie wiemy, kiedy i dokąd pojechał Martin, ale z tego, co mówisz, wynika, że widzieliśmy go na dzień lub dwa przed tym, jak zniknął. Spotkaliśmy się tutaj sporą grupą i poszliśmy do Bubbles O’Learys. Dosłownie kilkaset metrów stąd.

– To pub?

– Bardziej klub. Kilka barów, didżeje, można potańczyć na dworze i w środku, to popularne miejsce wśród ekspatów i Ugandyjczyków. Na luzie, bez zadęcia. Często się tam bawimy. – Urwała. Wiktor wyczuł, że się waha.

– Proszę, mów dalej. Nawet jeżeli wydaje ci się, że to coś nieistotnego.

– Byliśmy grupą, ale Martin trzymał się z Masiką. To nasza kumpela, miejscowa dziennikarka, dorabia u nas w organizacji przy PR-ze i robi jeszcze pięćset rzeczy na mieście, jak wszyscy tutaj. Ona chyba spędzała z nim najwięcej czasu. – Widząc pytające spojrzenie Wiktora, szybko dodała: – Nie, nie byli parą.

– No, tak do końca to nie wiesz – rzucił Wyger – spotykali się przecież bez nas.

– Rozmawiałam z Masiką. Poza tym takie rzeczy się czuje.

– A może nie chciała ci mówić? Może się kryła, bo przecież ten jej były, Joe czy Jimmy uważał, że się zejda. Może nie chciała go dodatkowo wkurzać?

Wiktor zaczął się niecierpliwić, chciał, żeby doszli do jakiejś konkluzji, powiedzieli, co się wydarzyło albo nie wydarzyło w irlandzkim klubie, żeby nawet stwierdzili, że się tylko upili i pożegnali, ale żeby skończyli tę dyskusję o statusie znajomości jego syna i Masiki. Sarina musiała wyczuć jego irytację.

– Przepraszam, może nie ma znaczenia, co ich dokładnie łączyło, a może jednak ma – spojrzała przeciągle na Wygera – bo w Bubbles się pokłócili.

– Jak to?

– Tak to – odparła z lekka zirytowana. – Byłeś wtedy z resztą ekipy na górze, my tańczyłyśmy na dole, Martin zamawiał coś do picia.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Bo nie sądziłam, że to coś istotnego. Nadal nie wiem.

– O co poszło? – wtrącił się Wiktor.

– O dziewczynę.

– Mówiłaś, że nie byli parą.

– Bo tak uważam. Tańczyłyśmy z Masiką, opędzałyśmy się od namolnych facetów i wypatrywałyśmy Martina, bo chciałyśmy, żeby zamówił nam coś do picia. Wtedy zobaczyłyśmy, że rozmawia przy barze z jakąś Białą. Nie wiem, kto to był, nie widziałam jej wcześniej, przynajmniej tak mi się wydaje, nosiła bejsbolówkę i duże okulary à la lata osiemdziesiąte i to na nie zwróciłam uwagę. Myślałyśmy, że zaraz skończą, ale chyba nie mieli takiego zamiaru. Więc zaczęłyśmy robić miny i wygłupiać się za plecami tej laski. Martin udawał, że nas nie widzi, i to chyba zirytowało Masikę. Dziewczyna gdzieś odeszła, podeszłyśmy do Martina, zgrywając się na laski z sekskamerek, no wiecie, pocierałyśmy piersi, wydymałyśmy usta. – Sarina przewróciła oczami. – Niby się śmiał, ale patrzył gdzieś za nas. Obróciłam się i zobaczyłam okularnicę przy stoliku w rogu, który chyba właśnie się zwolnił. Więc odpuściłam, dołączyłam do reszty ekipy na górze, Masika została z Martinem.

– I co? – zapytał Wiktor.

– Kiedy chwilę później przyszła, zapytałam, gdzie jest Martin, a ona odpowiedziała, że „ten polski kretyn poleciał na młodszego klona Melanii Trump” i coś o tym, że wszyscy faceci myślą kutasami.

– Nadal uważasz, że między nimi nic nie było? – zdziwił się Wyger.

– Uważam, że ona traktowała Martina jak przyjaciela i poczuła się rozczarowana, że wybrał flirt z jakąś lafiryndą zamiast zabawy z nią,

z nami. Znasz Masikę, ona się szybko zakochuje, ale inaczej. Mnie kocha, ciebie kocha i traktuje to poważnie. Myślę, że Martin ją wtedy zranił.

– Widzieliście go jeszcze tego wieczoru? – zapytał Wiktor.

– Wydaje mi się, że się z nim żegnałem – odparł Holender. – Ale głowy nie dam. Był totalny chaos, wszyscy pili, tańczyli.

– Ja też nie jestem pewna.

– Czy Masika tu dzisiaj będzie?

– Nie wiem, ale mogę do niej zadzwonić.

– Proszę.

– Mogę jej powiedzieć, że tu jesteś?

Wiktor skinął głową. Sarina wyszła do ogrodu. Wróciła po trzech minutach.

– Jest w drodze, będzie za kwadrans.

Przyjechała po trzech. Cały czas siedzieli w Bushpigu. Holendrzy uznali, że poczekają. Wyglądali na przejętych zniknięciem Marcina. Wiedzieli od niego, że Wiktor jest w Polsce znanym dziennikarzem. Nawet w takich okolicznościach sprawiło mu przyjemność, że syn się nim chwalił. Wypytywali o sytuację w Polsce, o to, jak bardzo przechlapane mają niezależne media. Wiktor odpowiadał, czując się jak szafa grająca. Byle zabić czas w oczekiwaniu na Masikę, bo jej pojawienie się niesło obietnicę odnalezienia Marcina. No i nieraz już tłumaczył cudzoziemcom bagno, w którym znalazł się jego kraj, i doskonale wiedział, że to, co powie, nie ma żadnego znaczenia. Ci młodzi przynajmniej powzdychają w miarę szczerze, przejęci losem budzącego niegdyś sympatię kraju, ale już wpływowi ludzie z Europy Zachodniej mieli to kompletnie w dupie. Nie mówili tego wprost, lecz komunikat między słowami był jasny: tym razem nikt was nie okupuje, sami sobie to gówno sprowadziliście na głowę. I Wiktor był świadom tego, że trudno odmówić im racji.

Usiadł przy stoliku tak, by widzieć wchodzących przez bramę. Kiedy zjawiała się Masika, od razu ją poznał. Skąd? Tego akurat nie wiedział. Był

ojcem swego syna, Marcin lubił Masikę. Skoro dziedziczy się po rodzicach, to może działa to też w drugą stronę, może nie tylko dzieci odnajdują w sobie cechy swoich starych. Więc kiedy Masika, ubrana w trampki, džinsy, prosty biały tizert, z krótko ostrzyżonymi włosami, zadziornym, pewnym siebie spojrzeniem i inteligentną twarzą przekroczyła bramę, Wiktor wiedział, że to ona. A jej wystarczył rzut oka, by zorientować się, kim jest on.

Potwierdziła wersję Holenderki. Zezłościła się na Marcina za jego zachowanie. Próbował ją udobruchać, co rozeźliło ją jeszcze bardziej. Była wstawiona, powiedziała mu kilka przykrych słów i sobie poszła. Wydawało jej się, że widziała, jak Marcin wychodzi z klubu z nieznajomą, ale nie była pewna. Następnego dnia czuła się trochę głupio, więc wysłała mu pojednawczego SMS-a. Odpisał, że znika z Kampali na parę dni i odezwie się po powrocie. To był ich ostatni kontakt.

– Pisał, dokąd jedzie, z kim, kiedy wraca?

– Zaraz po telefonie Sariny sprawdziłam SMS-y, ale nic nie ma.

– Rozpoznałabyś tę dziewczynę?

– Nie wiem, niby się jej przyglądałam, ale było ciemno, migające światła. Poza tym nie widziałam jej z bliska. No i ta bejsbolówka, i okulary na pół twarzy. Ciężko powiedzieć.

– Przepraszam, jeśli to pytanie jest nie okej, ale czy ty i Marcin... – Nie dokończył.

– Czy coś między nami było? Nie, nie w tym sensie – odparła dopiero po chwili. – Zaprzyjaźniliśmy się, lubiliśmy spędzać ze sobą czas. Raz u mnie nocował, ale na kanapie. Wiktor zastanawiał się, czy dziewczyna mówi prawdę i czy ma to znaczenie. Na pewno najlepiej ze wszystkich widziała nieznajomą, z którą rozmawiał Marcin. Z którą mógł zniknąć.

– Przeszłabyś się ze mną do Bubbles? – zapytał. – Może ona tam będzie i jednak uda ci się ją rozpoznać?

Kiwnęła głową. Sarina i Wyger zaoferowali, że pójdą z nimi, bo i tak umówili się tam ze znajomymi o północy, a Sarina też, choć słabiej niż Masika, widziała kobietę.

– To ja cię zostawię – odezwał się Ewan. – Nie widziałem tej kobiety, za to mam rano robotę. Jesteś w dobrych rękach. I widzimy się jutro. – Dostrzegł niezrozumienie w oczach Wiktora, więc dodał: – Fixer. Pośrednik. Ustawiam ci spotkanie. Uuuu! – Pomachał mu rękami przed twarzą. – Wiktor się otrząsnął.

– Oczywiście! Przepraszam. Zawieszam się z braku snu. Do jutra. I dzięki za wszystko.

Bubbles O’Learys faktycznie znajdowało się niedaleko Bushpiga. Szli gęsiego dziurawym poboczem. Wiktor musiał się bardzo starać, żeby nie wpaść do brudnego rowu, nie połamać sobie nóg na dziurach i przy okazji nie dać się stuknąć mijającym ich samochodom i *boda boda*. Zbliżała się północ, a Acacia Avenue była niemal zakorkowana. O tej porze zabawa w Kampali dopiero się rozkręcała. Dźwięk klaksonów mieszał się ze śmiechami, okrzykami i muzyką dobiegającą z knajp, domów i klubów.

Przed wejściem do Bubbles czekała spora kolejka. Szyld informował, że „członkowie społeczności irlandzkiej” wchodzi za darmo. Ciekawe, jak to sprawdzają, zastanawiał się Wiktor, może trzeba zaśpiewać *The Fields of Athenry* albo *Whiskey in a Jar*? Pakistańscy szefowie czujnie obserwowali wejście zza pleców czarnoskórych bramkarzy, a zwłaszcza to, czy zgadza się kasa.

Klub był duży i Wiktor nie mógłby powiedzieć, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna. Ze schodów, po których zeszli z poziomu ulicy, widać było położony w dole spory parkiet na świeżym powietrzu otoczony barami, stolikami i palmami. Nie potrafił odróżnić, które drzewa rosły w klubie, a które już za ogrodzeniem, co w ogóle jest pubem, a co terenem sąsiadów, czy płoty z afrykańskiej trawy są ogrodzeniem, czy wewnętrznymi przegrodami. Wszędzie kłębili się rozochoceni ludzie. Po



lewej dostrzegł schody prowadzące na kolejny dancefloor, tyle że w zamkniętym pomieszczeniu. Dominowali Czarni, ale Białych i Azjatów też było stosunkowo dużo. Takiego irish pubu jeszcze nie widział.

Trzymał się Masiki, Holendrzy gdzieś zniknęli. Przyglądał się intensywnie każdej ładniejszej Białej. Czy dziewczyny mówiły, że tamta była ładna, czy mu się zdawało? Wspominały coś o młodszym klonie Melanii Trump. No tak, polityczne preferencje na bok, skupił się na ładniejszych. Gdy napotkał nieprzyjazne spojrzenie mężczyzny stojącego obok jednej z lustrowanych kobiet, zreflektował się, że musi wyglądać jak dziad na łowach. No dobrze, pan w średnim wieku. Jak zwał, tak zwał, znacznie zawyżał średnią, powinien być trochę dyskretniejszy, bo inaczej szybko zbierze po mordzie. Przecież to nie on, a Masika miała rozpoznać tę dziewczynę w tłumie. Jeśli. On sam namierzył już przynajmniej kilka wariantów Melanii. Od twardzielek w bojówkach i spranych tiszertach po wypindrzone niunie, jakby wyjęte ze znanych mu pretensjonalnych warszawskich knajp. Kilka razy łapał za rękę Masikę, wskazując kolejny typ, ale ona za każdym razem kręciła przecząco głową. Gdyby miała wåtpliwości, raczej by to zauważył – pomyślał.

Nagle zdał sobie sprawę z jeszcze jednej trudności. Kiedy mieszkał w Afryce, regularnie mylono go z innymi Białymi, mimo że za cholere nie byli do niego podobni. Czasem myślał, że ludzie sobie z niego żartują. Szybko się jednak zreflektował, że to przecież działa w obie strony. Gdy on mówił, że jacyś Czarni są do siebie podobni, jego afrykańscy znajomi padali ze śmiechu, zastanawiając się, czy jest ślepy. Owszem, jeśli ktoś miał dobrą pamięć do twarzy, radził sobie lepiej, ale to na pewno nie był jego przypadek. Pytanie, jak się sprawy miały w przypadku Masiki? Tyle że to chyba nie był najlepszy moment na zadawanie takich pytań. No i co, jeśli ta dziewczyna jest tu dzisiaj, ale nie nosi okularów i ma rozpuszczone włosy, a oni nawet nie wiedzą, jakiego są koloru i długości.

Tak naprawdę nic, kurwa, nie wiedzą. Równie dobrze mogliby chodzić z rysunkiem kobiety z mangi.

Po godzinie przeczesywania klubu poddali się. Stali w milczeniu, on, Masika i Holendrzy, czekając, aż ktoś się odezwie. Wiktor chwycił się ostatniej deski ratunku, przeprosił ich na chwilę i poszedł na górę do bramki. Począł na moment, kiedy kolejka zmniejszy się choć odrobinę, i zaczepił jednego z selekcyonerów. Pokazał mu w komórce zdjęcie Marcina, zapytał, czy go może pamięta. Bramkarz odburknął i odwrócił się do niego plecami. Wiktor stał, zastanawiając się, czy próbować jeszcze raz, kiedy podszedł do niego trzymający się wcześniej z tyłu Hindus, zapytał, w czym problem. Wiktor wyjaśnił pokrótce. Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, po czym wskazał na kipiący w dole klub.

– Widzisz, co tam się dzieje? Tam i tu. – Wskazał palcem na ludzi czekających przed wejściem. – Chciałbym ci pomóc, ale nawet gdyby tydzień temu odwiedził nas Hulk, mógłbym mieć problem z zapamiętaniem go. Nie, nie kojarzę twojego chłopaka i dzisiaj nikogo nie spytam, jeśli chcesz, wpadnij jutro po południu, popytasz barmanów. Ale na twoim miejscu bym się nie łudził.

– Dzięki, wróć. Jeśli przychodził tu wcześniej, może ktoś go skojarzy. Lubi zagadywać ludzi, szybko nawiązuje kontakty, może któryś z pracowników go jednak zapamiętał.

– Może. – Hindus nie wyglądał na przekonanego.

O dziewczynę nie było co pytać. W czapce z daszkiem i w okularach, wyszła z tym gościem, który nie jest Hulkiem. Bez sensu.

Wiktor starał się nie załamywać, przyleciał dopiero kilkanaście godzin temu, jutro wiele się zdarzy, na pewno, musi, poza tym przecież są jeszcze inne kluby, gdzie mogłaby pójść. Zanim zapytał o to czekającą na niego trójkę, Masika sama zaproponowała, żeby sprawdzili jeszcze kilka miejsc.

– Nie przeszukamy całej Kampali, ale ta okolica to jedno z głównych centrów nocnego życia miasta, przynajmniej dla Białych. Jeśli dziewczyna zachodzi do Bubbles, może tu dzisiaj gdzieś być.

Holendrzy uznali, że pójda z nimi.

Wrócili pod Que Pasa. Wiktor został na zewnątrz, obserwując z ulicy niewielki lokal i jego taras. Dziewczyny weszły do środka i udając, że szukają wolnego miejsca, przyglądały się kobietom. Operację powtórzyli za rogiem w barze Arena. Był większy i znajdował się na piętrze, więc wszedł do środka z Masiką i Sariną, ale szybko zawrócili, w tłumie wypatrzyli tylko dwóch białych facetów.

Przestał rejestrować nazwy kolejnych barów. Wchodzili i wychodzili, on zaczynał odpływać. Kiedy ostatnio spał? Nie potrafił sobie przypomnieć. Myliły mu się dni i noce, te w Warszawie, w samolocie i w Kampali. Przestawał rozumieć, co do niego mówią, otoczenie na przemian cichło i eksplodowało ostrymi dźwiękami. Kampala nadal się bawiła, złapał się na tym, że ciągle się zastanawia, czy to miasto kiedykolwiek zasypia. Miał wrażenie, że jest postacią poruszającą się w zwolnionym tempie, a rzeczywistość dookoła to zacina się, to przyspiesza, gubią się klatki i całe sceny. Przed chwilą przechodził przez bramki bezpieczeństwa w Acacia Mall, wyciągał komórkę i portfel, prześwietlali go, teraz był na dachu. Silny wiatr sprawił, że się ocknął. Znow stali w kolejce.

Klub się nazywał Illusion, walił w twarz arktyczną klimą i ostentacyjnym bogactwem wystroju i klientów. Widać było, że czują się ważni. Ten świat nie miał nic wspólnego z wesołą anarchią Bubbles. Białych było mało, większość z nich stanowili mężczyźni, którzy ewidentnie polowali na szybkie numerki, płatne albo i nie. Masika i Sarina, odróżniające się ubiorem od większości kobiet, rozglądały się po klubie, same przyciągając spojrzenia zgłodniałych samców. Wiktor

wykorzystał chwilę i wlał w siebie kieliszek wódki, który popił red bullem. Trochę pomogło. Ale Melanii nie było.

Pożegnali się na dole, Holendrzy złapali *boda boda*, kiedy Wiktorowi coś jeszcze przyszło do głowy.

Moglibyśmy wrócić do Bushpiga i spytać recepcjonistów, czy mają zapisy z kamer? – Masika spojrzała na zegarek, minęła trzecia. Wzruszyła ramionami.

– W końcu to sobotnia noc. Nie śpią.

Kilka minut później zeskakiwali z motocykli pod hostelem.

W Bushpigu zapisy z kamer przechowywali przez trzy tygodnie. Chwilę zajęło im znalezienie właściwej nocy. Wiktor w napięciu wpatrywał się w ekran komputera, obserwując kolejnych ludzi przesuających się na przyspieszonych obrotach. I nagle go zobaczył. Zamarł. Poczł uderzenie gorąca. Chłodu. Wszystkie stany emocjonalne opadły go jak hieny. Widział syna. Nie słyszał go, ale to, co widział, wystarczyło, by dostrzec, że jest szczęśliwy. Zatrzymał się przy kontuarze, rozmawiał z recepcjonistami, gestykulował, śmiał się. Kiedy chłopak zniknął za kratą do części mieszkalnej, Wiktor przewinął obraz i wybrał kadr, na którym najlepiej było widać jego twarz. Nie mógł oderwać oczu. Dotknął dłonią ekranu.

– Wrócił sam. Bez dziewczyny. I to w miarę wcześnie – przyjrzał się cyferkom na ekranie – jeszcze nie było wpół do drugiej. Nie rozumiem. Wyrywa laskę w klubie...

– Albo laska wyrywa jego – wtrąciła Masika – dla mnie to bardziej tak wyglądało.

– Albo ona jego... – powtórzył Wiktor z wahaniem, jakby zakładając, że Masika nakręciła się na Melanię i chciała zrzucić na nią odpowiedzialność za odciążenie Marcina od ich grupy. – Tak czy siak, jest na tyle podekscytowany, że olewa znajomych. Najprawdopodobniej

wychodzi z nią z klubu. Sądząc po waszych opisach, musiała być wtedy przynajmniej pierwsza.

– Na pewno – zapewniła Masika.

– Czyli poznają się w klubie, rozmawiają, piją, jest napięcie, wychodzą razem i co? I nic? Ani on do niej, ani ona do niego? On od razu wraca do Bushpiga. Sam. Przecież to się kupy nie trzyma.

– Chyba że – odezwała się Masika – umówili się na następny, a w zasadzie ten sam dzień i był podniecony tym, co miało się wydarzyć.

– Na przykład wspólnym wyjazdem – dokończył Wiktor.

## Marzec 1996

Kitgum umierało. W samym centrum miasteczka, tuż przed wejściem do jedyne go funkcjonującego hoteliku, był śmietnik, na którym ucztę urządziły sobie sępy. Z domów sypał się tynk, powoli znikał ostatni kawałek asfaltu, na który wjeżdżały dwa samochody dziennie. Mieszkańcy, jeśli tylko mieli pieniądze lub krewnych w stolicy, uciekali do Kampali albo wracali na wieś. Tam wprawdzie groził im atak rebeliantów, ale przynajmniej mogli liczyć na wyżywienie ze strony rodziny.

Postanowili nie zostawać na noc. Do zmierzchu mieli jeszcze kilka godzin. Sisto oznajmił, że szefowie zdecydowali, iż lepiej będzie rozwozić żywność bez ochrony wojska. Rebelianci najwyżej okradną ich i porwą. Gdyby zobaczyli ich z żołnierzami, zabiliby wszystkich. Widząc niepewne spojrzenie Wiktora, Florence zaśmiała się i rzuciła lekko:

– Bóg będzie nad nami czuwał, Wiktorze z Polski! – Palcami uniosła do uśmiechu kąciki ust. Wiktor był zdrowo przestraszony, ale udawana niefrasobliwość dziewczyny sprawiła, że parsknął nerwowym śmiechem i odrobinę się rozluźnił. Sisto poprosił jednak komendanta tutejszego posterunku wojska, by przydzielił im asystę.

Funkcję koszar pełniły gliniane chatki przykryte trawą. Pomiedzy nimi truchtały ubłocone warchlaki. Komendant wezwał adiutanta, który przybiegł w basenowych klapkach, co samo w sobie może nie było nawet niczym zabawnym. Aż do momentu gdy ten, salutując, próbował strzelić obcasami.

Dostali piętnastu żołnierzy, którzy szybko wskoczyli na budę ciężarówki. Sisto zasiadł za kierownicą, Florence i Wiktor umościli się obok niego w szoferce.

Aczoli dowcipkował, Florence nuciała pod nosem, Wiktora skręcało w trzewiach z niepokoju. Jechali czerwoną gruntową drogą przez porośniętą wysokimi trawami sawannę, tu i ówdzie rosły baobaby i akacje. Sawanna gdzieniegdzie ustępowała miejsca buszowi, który potrafił zmienić się w gęsty las tropikalny. W zaroślach zupełnie niewidoczni mogli się czaić rebelianci Kony'ego. Ciężarówka wypełniona żołnierzami faktycznie aż prosiła się o pocisk z ręcznej wyrzutni. Może jednak trzeba było jechać bez asysty? Wiktor świdrował wzrokiem pobocze w poszukiwaniu charakterystycznego błysku.

Wiele by dał, by móc zaszyć się teraz w bezpiecznym miejscu i zgłuszyć strach alkoholem. Nagle ich oczom ukazała się na wpół spalona osada. Rebelianci musieli zaatakować ją niedawno, bo czuć było jeszcze smród spalenizny. W pierwszej chwili pomyśleli, że wioska jest opuszczona, ale gdy się zatrzymali i zeskoczyli z ciężarówki, z ocalałych chat zaczęli wyłaniać się milczący ludzie. Postapokaliptyczny widok. Rebelianci dotarli tu dwa dni wcześniej. Zaatakowali mimo tego, że osada była chroniona przez wojsko, zamordowali kilkanaście osób, porwali kilkadziesiąt, głównie chłopców. Żołnierze, którzy mieli bronić osady, uciekli. Sisto przez chwilę naradzał się z Florence, zdecydowali, że zostawią ocalałym dwa worki mąki.

Ruszyli dalej. W jednej z większych wiosek zatrzymali się, by na rozciągniętym wzdłuż drogi nędznym targu kupić trochę bananów. Biała skóra Wiktora wywołała ekscytację wśród handlujących dzieci, każde chciało mu coś sprzedać. Florence, śmiejąc się, próbowała uratować go przed stratowaniem. W rezultacie kupili zdecydowanie zbyt dużo owoców. Widząc to, towarzyszący im żołnierze zażądali obiadu. Florence półgłosem skomentowała, że armia chyba im płaci, ale Wiktor stwierdził, że skoro ich życie ma zależeć od dobrego samopoczucia wojaków, to lepiej nie skąpić, i wysupłał równowartość dziesięciu dolarów. Kupił po trzy gotowane jajka i dwa *mandazi* na głowę. Bez dalszych przygód

dojechali do miasteczka Padjule, gdzie postanowili zostać na noc. Z trzech powodów.

Po pierwsze, zapadał zmierzch, a nocna jazda nieuczęszczaną drogą do Gulu byłaby czystym szaleństwem. Po drugie, w Padjule znajdowały się duże koszary. Wiktor zdążył się już przekonać, jakiej jakości to wojsko, ale zakładał, że bezpieczniej będzie w miasteczku z jakimkolwiek licznym wojskiem i jego oficerami niż gdzieś w lesie z własną wyobraźnią i tymi kilkunastoma obwiesiami, którzy rzekomo mieli ich chronić. A po trzecie, w Padjule przebywali włoscy misjonarze, co Wiktorowi, jako typowemu polskiemu ateście, wydało się namiastką boskiej opieki, ba, opieki rzymskokatolickiej. Myślał, że przenocują w koszarach, lecz Sisto się zaśmiał:

– Chłopcy są mili, ale jak się napiją, nie ma z nimi zabawy. A wieczorem napiją się na pewno. Nawet jeśli nam nic by się nie stało, zaręczam ci, że ciężarówka rano byłaby pusta.

O nocleg i przechowanie auta poprosili więc włoskich misjonarzy. Ci zgodzili się bez problemu.

W Padjule mieszkał kuzyn Sisto, który zaprosił ich na kolację. Zasiedli na macie przed chatą, żona gospodarza podała rybę i zbożowy placek. Ryba mogłaby służyć za kamizelkę kuloodporną, ale Wiktor żuł cierpliwie, chwając jej smak. Żona gospodarza przyniosła następne danie.

– Proszę, skosztuj – zachęcił Sisto – to nasz narodowy specjał.

Wiktor zdjął pokrywkę garnka i zobaczył kupę długich na co najmniej centymetr robali. Nie wiedział, co robić, zwłaszcza w obliczu wygłoszonych wcześniej komplementów. Każdy ma jakieś granice. Swoje odkrył właśnie w tym garnku. Gospodarze patrzyli wyczekująco.

– Fruwające termity. Mówią na nie białe mrówki. Bardzo dobre – zachęcali.

Poczuł na sobie spojrzenie Florence. Musiała dostrzec przerażenie w jego oczach, naprężyła się, po ruchu ciała poznał, że chce go ratować.



Ale w tym momencie doznał olśnienia.

– Wiecie, że Żydom nie wolno jeść wieprzowiny? – Pokiwali głową. – A Hindusom wołowiny? – Potwierdzili. Zaczerpnął głęboko powietrza. – Mnie polski wariant katolicyzmu nie pozwala na jedzenie robaków.

Religia to w Afryce śmiertelnie poważna rzecz. Zrozumieli, choć nie kryli rozczarowania. Florence ścisnęła lekko jego dłoń, dusiła się ze śmiechu.

Skończyli kolację zwyczajowym beknięciem, Sisto zaproponował, by spotkali się przy telefonie z kolejnym kuzynem.

– Gdzie? – spytał zdumiony Wiktor. Nawet w stolicy dystryktu, Kitgum, nie było telefonu, a co dopiero w tej dziurze zabitej dechami. Sisto się zaśmiał, „zobaczysz” – powiedział, a twarz Florence pozostała niewzruszona. „Telefon” okazał się rodzajem amfory wypełnionej gęstym płynem, który zebrani wokół mężczyźni pociągali przez półtorametrowe słomki – może ich długość skojarzyła się komuś z kablem od słuchawki, stąd angielskie określenie napoju, zwanego *marua*. Był to rodzaj pędzonego lokalnie piwa, które od innych różni się zawieszistą konsystencją. Picie maruy to także rytuał, popularny zwłaszcza na północy Ugandy. Codziennie wieczorem grupka przyjaciół, wyłącznie mężczyzn, schodzi się na sesję maruy, by godzinami rozmawiać o wszystkim i o niczym; taki rodzaj klubu towarzyskiego.

Zgromadzeni zaprosili Sisto i Wiktora, pojawienie się Florence wzbudziło pewną konsternację. Nie należała do żadnego tradycyjnego zbioru. Pewnie gdyby była biała, wzięliby w nawias jej płeć i włączyli do kręgu, choćby z czystej ciekawości. Ale była Ugandyjką, czyli teoretycznie była swoja, powinna pójść do kuchni. Jednocześnie nie pochodziła z północy, a jej wielkemiejsko-zachodni szyk peszył, wywoływał wrażenie obcości. Dało się zauważyć, że nie mają pojęcia, co z nią począć. Sisto kontemplował wygląd swoich sandałów, Wiktor spojrzeniem i gestem zachęcił ją, by do nich dołączyła, ale Florence uśmiechnęła się do niego

łobuzersko i zawołała coś do kobiet w kuchni, po czym zniknęła w chacie. Zostali w męskim towarzystwie.

Zaczęli rozmawiać o wojnie.

– O co chodzi Kony’emu? – rzucił Wiktor. – Jeśli walczy z rządem, to dlaczego morduje cywilów? – Odpowiedział mu trudny do zinterpretowania śmiech i odgłos energicznie zasysanych słomek. Po chwili jednak ktoś się odezwał. Dla Kony’ego zabijanie ludności jest najprostszą metodą, żeby dopieć rządowi. Museveni chce pokoju w całym kraju, Kony chce przejąć władzę na północy, ale jest za słaby na walkę z regularną armią. A cywile, jak to cywile na każdej wojnie, a domowej szczególnie, są między młotem i kowadłem. Licząc na ochronę, informują armię o ruchach rebeliantów, tyle że armia ociąga się z reakcją. LRA ma dość czasu zarówno na ucieczkę, jak i na to, by uprzednio zamordować donosiciela. Rebelianci mają swoich ludzi w niemal każdej wiosce. Tu w Padjule też. Może to ktoś, kto właśnie przechodzi przez ulicę. A może ktoś w tym kręgu, przemknęło Wiktorowi przez głowę. Poza tym zdarza się – kontynuowali biesiadnicy – że rządowi żołnierze przebierają się za rebeliantów, kradną, gwałcą i mordują. Prości ludzie są skołowani i przerażeni, nie wiedzą, kto jest kim, boją się wszystkich.

Pozornie słaba marua działała zaskakująco skutecznie, więc Wiktor zasugerował Sisto, by się wycofali; nie chciał wracać do misji zygakiem. Szli w trójkę przez miasteczko, alkohol przyjemnie szumiał Wiktorowi w głowie, była ciepła afrykańska noc, owady dawały wieczorny koncert, skądś dobiegała muzyka, miał absurdalne poczucie, że jest na wakacjach.

Niedziela, 19 stycznia 2020

Droga przez ponad dwa kilometry schodziła prosto w dół, niemal bez zakrętów. W dali migotała tafla jeziora. Koła rowerów ślizgały się na kocich łbach. Wiktor regularnie zaciskał lekko hamulec, żeby za bardzo się nie rozpędzić i nie stracić panowania nad rowerem. I tak jechał na tyle szybko, że łzawiły mu oczy. Marcin najwyraźniej w ogóle nie używał hamulców, odskoczył na dobre sto metrów. I wtedy Wiktor zauważył, bo nie usłyszał, uszy miał wypełnione wiatrem, nadlatujący od strony jeziora helikopter.

Wojskowy. Szturmowy. Co on tu robi? Zobaczył ogniki salw z pokładowych działek. Krzyczał z całych sił do Marcina, żeby się krył, ale ten był za daleko. I zanim zdążył zaczerpnąć ponownie powietrza, z przerażeniem zobaczył, jak plecy Marcina wybuchają czerwonym obłokiem, a bezwładne ciało spada do tyłu na bruk. Wyjąc z rozpacz, puścił kierownicę, stracił panowanie nad rowerem, który uderzył w wystający kamień. Poleciał do przodu, waląc głową w ziemię, i ogarnęła go ciemność. Ale nadal przeraźliwie krzyczał. I wtedy zdał sobie sprawę, że siedzi na łóżku. Dygotał. Był mokry ze strachu. Z oczu ciekły mu łzy. Upłynęła dłuższa chwila, nim zorientował się, gdzie jest. Spojrzał na zegarek, siódma rano, ale zasunięta roleta w maleńkim okienku sprawiała, że było kompletnie ciemno. Położył się ledwie trzy godziny wcześniej, teraz koszmar odegnał sen na dobre. Kwadrans poprzewracał się w łóżku, próbując ponownie zasnąć. Potrzebował sił, nie mówiąc już o regeneracji po ostatnich kilkudziesięciu godzinach, ale im bardziej myślał o tym, jak bardzo potrzebuje snu, tym bardziej nie mógł zasnąć. Zaklął i poszedł pod prysznic. Pomylił krany, na plecach poczuł wrzątek. Szarpnął się i uderzył głową o ścianę. Przez jakiś czas patrzył tępo w swoje odbicie w lustrze. Potem sięgnął do właściwego kranu

i odkręcił zimną wodę. Stał pod nią kilka minut, ale jak był otępiały, taki pozostał.

Miał trzy godziny do spotkania z policjantem. Było za wcześnie, żeby do kogokolwiek dzwonić, Ewan powiedział, że sam się odezwie, o telefonie do Polski mógł zapomnieć. W Warszawie były dwie godziny wcześniej, wpół do szóstej rano. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Zaczął szukać w internecie informacji o zaginięciach, porwaniach i niewyjaśnionych przestępstwach w Ugandzie. Jego uwagę przykuła historia młodej Holenderki.

Dwudziestojednoletnia studentka medycyny Sophia Koetsier latem 2015 roku przyleciała do Ugandy na ośmiotygodniowy staż w stołecznym szpitalu Lubaga w ramach specjalizacji w medycynie tropikalnej. Po zakończeniu praktyk, a przed powrotem do domu wybrała się w dwutygodniową podróż po kraju. Dwudziestego ósmego października po południu dotarła wraz z dwiema koleżankami i przewodnikiem-kierowcą do siedziby Parku Narodowego Wodospadów Murchisona w północnej Ugandzie. Miały spać w studenckim centrum edukacyjnym. I zniknęła. Tak po prostu. Dziwnym zbiegiem okoliczności niewiele wcześniej zepsuła się jej komórka. Zostawiła ją w plecaku razem z paszportem i innymi rzeczami osobistymi.

Dzień po zaginięciu Sophii na brzegu pobliskiego Nilu znaleziono jakąś jej rzecz – Wiktor nie mógł doczytać, co to dokładnie było. Kolejnego ranka w tym samym miejscu pojawiły się zawieszane wysoko na gałęzi majtki, a nieopodal jeden but, drogie okulary i fragment spodni. Dlaczego te przedmioty znajdowały się dzień po dniu? Miejscowi policjanci tłumaczyli ten fakt ulewami i przekonywali, że znaleziska drugiego dnia zostały wyrzucone przez wezbrany Nil. Holenderscy śledczy wspomagający później rodzinę uważali, że to nie trzyma się kupy, a studiując zdjęcia znalezisk, dostrzegli teatralną inscenizację. Psy policyjne pojawiły się na miejscu dopiero po kolejnych trzech dniach,

kiedy wszystkie potencjalne ślady zostały zatarte, a i tak nie było wiadomo, co miałyby wyśledzić, bo ich opiekunowie ani szefowie opiekunów nie poprosili o próbki zapachowe Sophii. Nie wiadomo, kto przebywał tego wieczoru w siedzibie parku, kto przyjechał ani kto wyjechał.

Lokalne władze zakończyły śledztwo po tygodniu, tyle samo trwało zainteresowanie mediów, które z hukiem ogłaszały wzajemnie wykluczające się wersje: nieszczęśliwy wypadek, problemy psychiczne, atak dzikiego zwierzęcia ze szczególnym wskazaniem na krokodyla, samobójstwo, utonięcie. Matka Sophii, Marije Slijkerman, dziesięć razy przylatywała do Ugandy, próbując wyjaśnić tajemnicę. Wydeptywała ścieżki do policjantów, polityków i dziennikarzy. Udzielała wywiadów, sama pisała teksty do ugandyjskich gazet, błagała wpływowych ludzi o wznowienie śledztwa. W każdą rocznicę zaginięcia i urodzin Sophii przypominała sprawę córki. Całkiem niedawno, ewidentnie za sprawą matki, którą wspierała ambasada i holenderskie władze, prokuratura postanowiła wznowić śledztwo. Jezu, co za koszmar – pomyślał Wiktor – cztery lata dygotu, rozpacz, desperacji i niepewności. Błagam, niech mnie to nie spotka. Nie, mnie to nie spotka, bo Marcin za chwilę wynurzy się skądś, zdziwiony, o co to całe zamieszanie, i będę się musiał tłumaczyć Agacie, dlaczego dałem się ponieść histerii. Tak właśnie będzie. Dokładnie. Ale na myśl o mamie Sophii aż go zatykało. Cisnął komórkę na łóżko. Nie wytrzymał i napisał do Ewana: „Daj znać, jak będziesz coś wiedział z fixerem”. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Szkot na pewno odezwie się, kiedy tylko będzie coś wiedział, i nie trzeba go poganiać, ale nie był w stanie czekać dłużej beczynn timer. Zszedł na śniadanie serwowane w ogrodzie, ale nie mógł niczego przełknąć. Wypił dwie szklanki soku ananasowego i dwie filiżanki kawy, po czym przypomniał sobie, że nie wziął lekarstw na nadciśnienie. Zaklął i podniósł się od stołu zbyt gwałtownie, strącając dzbanek z kawą, który

rozbił się na ziemi. Pochylił się, żeby pozbierać skorupy, ale natychmiast doskoczyła do niego kelnerka, która zdecydowanym gestem pokazała mu, żeby się odsunął. Nie protestował, przeprosił i poszedł do pokoju. Tymczasem kilka razy sprawdził komórkę. Już chciał wysłać Ewanowi znak zapytania, ale w porę się opamiętał. Nie szalej. Nie szalej – powtarzał pod nosem.

Wyszukał za to numer telefonu dyżurnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Ugandy. Zastanawiał się, czy ktoś odbierze w niedzielę rano, choć na stronie resortu widniała informacja, że numer jest całodobowy. Kiedy po drugim sygnale po drugiej stronie odezwał się czyjś głos, tak bardzo się zdziwił, że w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć. Szybko się opanował.

– Nazywam się Wiktor Tilszer, jestem polskim obywatelem i znajomym pani minister Florence Kategai.

– Co? – Oficer dyżurny najwyraźniej go nie zrozumiał. Wiktor powtórzył i szybko dodał: – Nie mam prywatnego telefonu pani minister, bo nie widzieliśmy się wiele lat, a ja wczoraj przyleciałem do Ugandy. Chcę zostawić prośbę o kontakt pani minister. – Cisza. – Okej? – Cisza. Cholera, facet pewnie zgłupiał, zastanawia się, czy to nie jest jakiś niebezpieczny żart i co ma zrobić. Wiktor brnął więc dalej: – Mieszkam w hotelu Speke, zostawię numery telefonów do siebie, zapisze pan? – Cisza. – Zapisze?

– Okej.

Wolno i wyraźnie wyrecytował obydwa numery. Nie wiedział, czy jego rozmówca cokolwiek zapisał, a jeśli tak, czy przekaże prośbę. Szybko podjął decyzję. Wyszedł na ulicę, przez chwilę wahał się między taksówką a *boda boda*, ale uznał, że w niedzielę rano miasto będzie pustawe, więc wsiadł do jednego z czekających samochodów. Miał rację. Ustalanie ceny kursu zajęło mu mniej więcej tyle czasu, ile sama jazda. Po kilku minutach samochód zatrzymał się pod jakimś budynkiem Ministerstwa

Spraw Wewnętrznych. Wiktor dość szybko znalazł dyżurkę. Kiedy powtarzał swoją prośbę, zastanawiał się, czy mówi do funkcjonariusza, z którym kwadrans wcześniej rozmawiał przez telefon, ale ten nic nie dał po sobie poznać. Tylko kiedy padło nazwisko Kategaya, spojrzął przenikliwie na dziwnego gościa. Na pytanie Wiktora, czy przekaże informację, szarpnął głową i westchnął, zasysając powietrze, co mogło oznaczać wszystko. Tym razem przynajmniej Wiktor był pewien, bo widział na własne oczy, że mężczyzna zapisał jego numery. Do hotelu wrócił na piechotę. Zawsze mu się lepiej myślało, gdy chodził, a miał o czym myśleć.

Wrócił do hotelu, usiadł w ogrodzie restauracji. Kwadrans pozostały do spotkania z policjantem zabijał, przeglądając nieczytane mejle w prywatnej skrzynce na Outlooku. Otworzył folder ze spamem, kasował po kolei oferty handlowe i newslettery, gdy zelektryzowało go nazwisko Anny Majewskiej wśród nadawców. Pisała poprzedniego dnia z prywatnego mejla: „Panie Wiktorze, przypominam, że odzywam się nieoficjalnie. Ostatnie logowanie nastąpiło 17 stycznia o 15:47. Gulu Main Market, Gulu, Gulu District, Northern Region, Uganda. Logowania z poprzednich dni też w Gulu District. Mam nadzieję, że to pomoże. Trzymam kciuki! Anna”.

Wiktor wpatrywał się osłupiały w ekran telefonu. Nic nie rozumiał. Przedwczoraj w Gulu? Ale jak? Przecież to nie miało sensu. Szybko odpisał: „A czy może mi Pani podesłać daty i godziny logowań z poprzednich dni? Po 8 stycznia?”.

Nie zdążył na dobre przetrwać tej informacji, zastanowić się, co w zasadzie oznacza, kiedy usłyszał nad sobą ciche: „Mister Tilszer?”. Przywitali się. Alan Olingo był olbrzymem, Wiktora, który ze swoimi stu osiemdziesięcioma pięcioma centymetrami ułomkiem nie był, przerastał prawie o głowę. No i miał masę, ale nie gruszkę zamiast brzucha i schaby na plecach, tylko bardzo dużo nabitego ciała. Czarny Hulk, którego nie

przeoczyliby nawet w Bubbles. Wiktor nie potrafił określić jego wieku, gdzieś między trzydzieści pięć a pięćdziesiąt pięć lat.

– Poleciał pana dobry znajomy, więc poszperałem trochę w sprawie. – Olingo mówił zadziwiająco miękko jak na swoje gabaryty – I nie ma nic. Żadnego zgłoszenia na policję...

– Właśnie dostałem potwierdzoną informację, że ostatni raz telefon mojego syna logował się w Gulu – wszedł mu w słowo Wiktor. – Przedwczoraj po południu – zajrzał do komórki – dokładnie o piętnastej czterdzieści siedem, na głównym targowisku. I w poprzednich dniach też w dystrykcie Gulu. Nic z tego nie rozumiem. – Oszołomiony patrzył w oczy policjantowi.

– Przedwczoraj? – Olingo rozłożył ręce w geście niezrozumienia. – Pisał pan w mejlu, że chłopak mógł udać się do Gulu, więc zadzwoniłem do kolegów na północy. Mówią, że nic nie ma. Zapewnili, że popytali ludzi, obdzwonili hotele, ale nie dam głowy, czy wszystkie. I nikt go w Gulu nie widział. Sprawdziłem informacje o zdarzeniach z udziałem Białych w ostatnich dniach, nic, co mogłoby się wiązać z pana synem. Nawet granice sprawdziłem, legalnie nie opuścił Ugandy. To nie ma sensu. Kradzież telefonu odpada, bo przecież by się do pana odezwał. A jeżeli, bo nad tym też oczywiście się zastanawiałem, został porwany, to dlaczego nie ma żądania okupu? Porywacze już dawno powinni się zgłosić. A gdyby, odpukać, wpakował się w jakieś kłopoty i ktoś by mu zrobił krzywdę, to w pierwszej kolejności sprawca pozbyłby się telefonu. To nie ma sensu.

Wiktor tylko kiwał głową, bo te same myśli kłębiły mu się w głowie.

– Pojadę jutro do Gulu. Pomoże mi pan z kontaktami?

– Oczywiście. Podzwonię jeszcze i odezwę się do pana wieczorem.

Policjant wyszedł, a on siedział i zastanawiał się, co zrobić. Zadzwonić do Moniki? Obiecał, że będzie ją o wszystkim informował. Do tej pory co kilka godzin wysyłał SMS-y z krótkimi raportami o sytuacji. Ale co teraz?



Nie był w stanie wytłumaczyć jej sensu otrzymanej informacji, nie wiedział też, jak mogła na nią zareagować. Paniką? Nadzieją? Oczekiwaniem czegoś, czego nie mógł spełnić? Dżizas... Postanowił się wstrzymać, parę godzin nie zrobi wielkiej różnicy. Najpierw porozmawia z fixerem. Cholera, zdał sobie sprawę, że pokłada w nieznanym facecie wszystkie swoje nadzieje. À propos, zajrzał do komórki, uff, był SMS od Ewana. „Spotkanie potwierdzone. O 14:00 w restauracji Khana Kazana na Acacia Avenue. Między Bushpigiem i Acacia Mall. Będę czekał na miejscu”.

W kółko obracał w myślach informację o logowaniu. Frustrował się brakiem dodatkowych danych do analizy. W końcu postanowił odpuścić. Będzie mądrzejszy po spotkaniu z fixerem. Kiedy Olingo podeśle namiary na policjantów w Gulu. Kiedy znajdzie się w Gulu.

Zadzwoił do dozorczy, ten nie odbierał. Wysłał SMS-a z prośbą o kontakt. Napisał do Agaty. Dodał dużo emotek i filmik z wygłupami dla Lilki. Zadzwoił do Darka, zastępca odebrał po pierwszym sygnale.

– Miałem do ciebie właśnie dzwonić...

– Wiesz, że to najpopularniejsze kłamstwo na świecie?

– He, he. Ale tym razem naprawdę miałem, tylko się zastanawiałem, czy cię tym niepokoić. Błazej, wiesz, ten nowy od sądówek i kryminałków usłyszał od jakiegoś swojego gangusa, że ktoś mówił na mieście, że jacyś dziennikarze wkurwili jakichś poważnych ludzi. I gangusowi wydawało się, że to chodzi o nas. Ale nie był w stanie niczego konkretnie powiedzieć, bo jak to słyszał, albo wydawało mu się, że słyszał, to był naspawany amfą, najebany wódą i jeszcze coś chyba zarzucił i tak naprawdę jak pomyśli, to już sam nie wie, czy słyszał, czy mu się wydawało. Więc Błazej nie wiedział, czy przychodzić z tym do mnie, a ja nie wiedziałem, czy zawracać ci głowę. Ale przyszedł, to ja zawracam.

– I bardzo dobrze. Poproś Wojtka, żeby podzwonił po swoich gliniarzach, czy czegoś nie słyszeli. Ale delikatnie. Uczul ekipę

z Narbutta, żeby mieli oczy dookoła głowy, i poproś pana Mariusza, żeby nam jeszcze raz sprawdził lokal i popatrzył po ulicach dookoła, czy tam się nic dziwnego nie dzieje.

Pan Mariusz do 2016 roku był wysokim oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, odszedł po zmianie władzy. Od tego czasu zabezpieczał prywatne firmy. Współwłaściciel jednej z nich, cenionej kancelarii prawnej, kolega Wiktora jeszcze ze studiów, polecił mu usługi byłego funkcjonariusza. Kiedy z obawy przed inwigilacją służb państwowych zdecydowali z Darkiem i prezesami wydawnictwa, że wyprowadzą zespół śledczy z redakcji „Reflektora” w warszawskim Mordorze i umieszczą go gdzieś na mieście, pan Mariusz zajął się organizacją i zabezpieczeniem sekretnej placówki. Korzystali tylko z komputerów i telefonów sprawdzonych przez niego, porozumiewali się wewnętrznym komunikatorem stworzonym przez jego firmę specjalnie dla nich, nazwali go – choć nie pamiętali nawet dlaczego – Bigosem.

– Już się z nim umówiłem na jutro. – Wiktor pracował z Darkiem od lat, „Reflektor” nie był ich pierwszą wspólną robotą i był przyzwyczajony, że zastępca w trzech na cztery przypadki wyprzedzał jego myśli.

– A gangus nie wspominał, o co chodzi? Co kogoś wkurwiło?

– Nie. Tylko że pismaki wpierdalają się w nie swoje sprawy. Ten poziom ogólności.

– No dobra, przynajmniej poćwiczymy czujność i procedury. A w naszej sprawie pracuję nad dozorcą. Dosłownie przed chwilą do niego pisałem.

Zrobiło się naprawdę gorąco, więc porzucił pierwotny plan, żeby na spotkanie z fixerem udać się na piechotę. Pół godziny w tym żarze, i to jeszcze sporo pod górę, dotarłby mokry. Odszedł więc kawałek od hotelu i gdy zobaczył grupkę siedzących na *boda boda* chłopaczków, podniósł rękę. Jeden natychmiast podjechał. Wyglądał na piętnaście lat. Wiktor

powiedział, że nie muszą się spieszyć, ale równie dobrze mógł go poprosić o włączenie klimatyzacji. Chłopak starał się wycisnąć, ile fabryka dała. Wiktor już trochę lepiej radził sobie z balansowaniem i utrzymywaniem równowagi, ale stracha miał jak za pierwszym razem. Chłopak wyprzedzał na styk, niespodziewanie skręcał, gwałtownie przechylając motocykl.

Wiktor miał napięty każdy mięsień, w myślach kłął na czym świat stoi. Nigdy, kurwa, więcej, nie chcę ginąć w tak durny sposób. Ta myśl zamieniła przerażenie w rozbawienie, jeśli wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej się właśnie znajdował na rozprutym siedzeniu zdezelowanego hinduskiego motocykla. Właśnie skręcali w prawo pod górę w Acacia Avenue, mijając eleganckie zielone pola klubu golfowego, tak różne od brudnego chaosu ulicy. Małoletni kierowca wyskoczył na prawy skraj drogi, niemal ocierając się o pędzące z naprzeciwka motocykle i samochody. Wiktor nagle poczuł gwałtowne uderzenie w lewy bok, wyrwało go z siedzenia, ręce nie utrzymały uchwytów. Przód furgonetki był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał.

## Marzec 1996

Księża pokazali im pokoje gościnne. Proste i czyste. W każdym z nich na stoliku leżała Biblia po angielsku, na łóżku pod moskitierą niewielki szorstki ręcznik, a na stołku metalowa miska, dzbanek, lusterko i kostka szarego mydła. Prysznic, czyli zasłonięty ścianką z grubej sudańskiej trawy splechetek ziemi pod zawieszoną na drewnianym rusztowaniu beczką, znajdował się w oddalonym kącie ogrodu.

Wiktor najchętniej wyciągnąłby się na łóżku w ubraniu, ale cały był w czerwonym pyłe, zielone spodnie nabrały rudawego odcienia, czarny tizert zrobił się pomarańczowordzawy. Twarz, mimo, że przemył ją przy okazji maruy, pokrywała skorupa brudu. Oszczędzał wodę, myśląc o kimś, kto musiał wlewać ją do zawieszanej wysoko beczki, balansując z wiadrami na szczeblach drabiny. Potrafił się umyć jedną litrową butelką, więc taka oszczędność nie stanowiła dla niego wielkiego problemu. Praktyka czyni mistrza. Zawiesił czołówkę na rurze od prysznic. Noc gwałtownie się ochładzała, rozgrzana słońcem dnia woda dawała przyjemne ciepło. W świetle latarki też sprawiała wrażenie czerwonawej. Na pewno robiła się taka, spływając wraz z brudem z jego ciała i wsiąkając w czerwoną ziemię. Jak krew.

Florence siedziała na schodach wąskiej werandy przed ich pokojami i przy świetle słabej żarówki, wokół której szalały owady, czytała Kapuścińskiego. Bojówki zamieniła na wzorzystą chustę, którą owinęła wokół bioder, koszulę z licznymi kieszeniami na białą bluzkę. No i rozpuściła włosy, które wyglądały teraz jak najlepsze nowojorskie afro z lat siedemdziesiątych. Zanim Wiktor zreflektował się, że znowu za długo jej się przygląda, Florence strzeliła oczami i wyciągnęła prawą dłoń wnętrzem do góry, jakby spodziewała się, że coś na niej położy.

– I gdzie moja historia o Kapumanie?

– Kapu co? A! Kapuściński! Okej, już, już. To było kilka miesięcy temu, zbierałem się do kolejnego wyjazdu do Afryki. Któregoś ranka obudził mnie telefon, odbieram: „Dzień dobry panu, mówi Ryszard Kapuściński, czy rozmawiam z panem Tilszerem?”. Byłem nieprzytomny, nie wiedziałem, co się dzieje, ale pierwsze, co mi przyszło do głowy, to to, że moi przygłupi kumple robią sobie ze mnie jaja. Bo Kapuściński w moim kraju ma status półboga. I do mnie miałby dzwonić półbóg? Kto jest twoim idolem?

– Nelson Mandela? Chinua Achebe? Fela Kuti? Moja mama?

– Okej, Chinua Achebe, pasuje. No to wyobraź sobie, że śpisz sobie słodko w Kampali, dzwoni telefon, a w słuchawce słyszysz: „Dzień dobry pani, tu Chinua Achebe, czy mogę rozmawiać z panną Katagayą?”.

Florence zaczęła się śmiać jak dziecko, klepiąc się po kolanach.

– Uwierzyłybyś? Dobrze, że mu nie powiedziałem, żeby spierdalał, chyba byłem na to zbyt nieprzytomny. Okazało się, że to naprawdę był twój Kapuman. – Znowu zaczęła chichotać. – Powiedział, że czytał moje reportaże, podobały mu się, słyszał, że znów wybieram się do Afryki, więc jeśli mam ochotę, to zaprasza do siebie do domu na kawę. Co byś zrobiła, gdyby Achebe zaprosił cię do domu na kawę? Powiedziałybyś, żeby spieprzał? – Florence ocierała łzy z oczu. – Spędziłem u niego kilka godzin, słuchałem rad i opowieści, dał mi swoje afrykańskie kontakty, w tym w Kampali, a kiedy wychodziłem, wręczył mi kopertę. Pytam, co to, a on, że to małe stypendium na soft drinki. Otwieram, w środku trzysta dolarów. Kupa forsy. Osłupiałem, mówię, że nie mogę przyjąć, a on się uśmiecha i mówi, żebym się nie wygłupiał, jemu też ktoś kiedyś pomógł, ja w przyszłości pomogę następnemu, jest tego pewien. No i taka to historia.

– Piękna. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego Achebe do mnie nie dzwoni! – parsknęli śmiechem.

– Co sprawiło, że zgłosiłaś się jako wolontariuszka do pracy na północy? To chyba nietypowe dla dziewczyny z południa?

– Południe to mało powiedziane. Moja rodzina pochodzi z regionu Kigezi na granicy z Rwandą. Jak prezydent Museveni. Często mówią, że w ogóle nie jestem Ugandyjką, tylko Tutsi. Jak by ci to wytłumaczyć... Mojej rodzinie jest dobrze. Rodzice mają pieniądze, dwaj bracia skończyli uniwersytety, jeden zaczął robić z ojcem interesy, drugi jest oficerem armii po szkoleniu w USA. Ja studiuje, a zeszłe lato spędziłam w Londynie w szkole językowej. I jak już mówiłam, moim wzorem jest Nelson Mandela. Często z nim rozmawiam wieczorami. – Wiktor uniósł brwi, a ona się zaśmiała.

– Nie tak jak ty z Kapumanem, ale zastanawiam się, co by mi poradził. No i poradził, żebym zrobiła coś dla tych, którym w moim kraju jest ciężko. A nikomu dzisiaj nie jest ciężej niż Aczolim.

– Co na to twoja rodzina?

– Bez entuzjazmu, ale rozumieją, zwłaszcza tata. Problem ma Robert, brat wojskowy, dla niego wszyscy Aczoli to bandyci – westchnęła. – Ale ogólnie mają chyba nadzieję, że to młodzięcza fanaberia, minie mi, pojedę na studia do Anglii albo wyjdę za mąż za porządnego, poważnego młodego człowieka, amen.

Chwilę jeszcze porozmawiali, po czym rozeszli się do swoich pokoi. Dwie godziny później obudził ich dźwięk eksplozji.

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

Najpierw usłyszał dobiegające skądś dźwięki *Jerusalemy*. Kołyszący, hipnotyzujący rytm, ciepły głos wokalistki, zastanawiał się, skąd zna tę piosenkę. Czuł się błogo. Potem otworzył oczy.

Biel. Bardzo jasno, dużo światła. Leżał na plecach. Spróbował się podnieść, ledwie ruszył głową, przeszył go ból w klatce piersiowej. Zabrakło mu tchu. Jakby zacisnęły się wielkie obcęgi. Co cię dzieje? Biel miał też w głowie, patrzył na białą ścianę, nie, na białą kurtynę, za którą coś majaczyło...

Skup się. Kroplówka, wenflon nad lewym nadgarstkiem, szpitalne łóżko, szpitalny pokój. Co się stało? Kurwa. Wiedział, kim jest, ale nic poza tym. Gdzie i dlaczego? *Jerusalema*, skąd zna ten kawałek? Jest lato, słonecznie, za oknem tyle światła, kawałek jakiegoś budynku. Próbował coś powiedzieć, nie mógł dobyć głosu, zachrypiał. Szukał dzwonka, nie widział. Ani swoich telefonów.

Do pokoju weszła korpulentna pielęgniarka w średnim wieku. Czarna. Uśmiechnęła się, odsłaniając wspaniałe zęby.

– Obudziłeś się, aniołku? Już wołam doktora – odezwała się po angielsku i wyszła, kręcąc okazałym tyłkiem, zanim zdążył ją o cokolwiek zapytać.

Marcin, Uganda, jestem w Ugandzie. Ale dlaczego w szpitalu? Próbował się skoncentrować. Zaczęły mu się wyświetlać miejsca i twarze, ale potrafił dopasować nazw i imion. Przypomniał sobie Ewana, potem Bushpig. A potem noc z Masiką i Holendrami, obrazy z wielkiego klubu, do którego schodził po schodach i którego nazwy nie mógł sobie przypomnieć, *Jerusalema* leciała tam kilka razy. Wszedł lekarz w towarzystwie znanej mu już pielęgniarki.

– Musisz mieć dobre układy z Panem Bogiem, przyjacielu! – Mężczyzna zaśmiał się tubalnie. Z plakietki na fartuchu Wiktor wyczytał, że nazywa się Joseph Kafuuma. – Cud, że żyjesz! Te parę złamanych żeber i wstrząs mózgu to naprawdę niska cena. Jak w promocji, ha, ha, ha! Jak się czujesz?

O czym on, do cholery, mówi?

– Panie doktorze, niczego nie pamiętam – wychrypiał z trudem. – Co się ze mną stało?

– Miałeś wypadek na *boda boda*.

Słowa *boda boda* podziałały jak tajemnicze zaklęcie. Wszystko wróciło, poczuł uderzenie, zobaczył przód furgonetki.

– Naprawdę cud, że żyjesz. Z tego co mi opisali, zleciałeś z motocykla pod nadjeżdżającą ciężarówkę, ale nie wpadłeś pod koła, bo teraz zajmowałby się tobą grabarz, a nie ja. Odbiłeś się od maski i poleciałeś na inny motocykl, a potem wszyscy wylądowaliście na ziemi. Dlatego żyjesz. Tamci też żyją, alleluja, chwalmy Pana!

Wiktorowi kręciło się w głowie, gdy przetwarzał te informacje, skup się.

– Kiedy to było? Jak długo tu jestem?

– Przywieźli cię wczoraj około drugiej – odezwała się pielęgniarka – teraz mamy południe. Poniedziałek, dwudziesty stycznia – dodała dla porządku.

Kurwa. Kurwa. Kurwa. Marcin. Stracona doba. Fixer. Agata. Boże, kurwa, musi stąd wyjść.

– Muszę wyjść. Natychmiast.

Lekarz pokręcił głową i żartobliwie pogroził mu palcem.

– Nie ma mowy. Musisz poleżeć kilka dni.

Wiktor chciał zaprotestować, podnieść się, jęknął z bólu. Co to za chujnia w tej klatce piersiowej? A tak, żebra. Nigdy nie miał złamanych żeber. No to ma. Ale nie może tu zostać.



– Mogę poprosić o moje telefony?

– Synu, nie masz telefonów, nie masz portfela, nie masz niczego – powiedział lekarz, kładąc mu dłoń na rękę, a gdy zauważył niezrozumienie w jego oczach, dodał: – To jest Kampala. Zanim przyjechało pogotowie, ukradli ci wszystko.

Wiktor próbował na szybko przetrwać fatalne wieści.

– Buty też – dodała pielęgniarka.

– Co? – Tego już w ogóle nie zrozumiał.

– Ukradli też buty. Przywieźli cię w samych skarpetkach – wyjaśniła pielęgniarka. Tak tu się po prostu dzieje, jak są wypadki. Dobrze, że cię nie zdeptali.

– Dowiadywał się o ciebie twój przyjaciel – odezwał się lekarz.

– Przyjaciel?

– Biały, chudy, rudy.

– Ewan! Skąd się tu wziął? Jak się dowiedział. Przecież...

Doktor Joseph mu przerwał.

– Miałeś w kieszeni wizytówkę hotelu Speke. Zadzwoniliśmy tam, bo nie wiedzieliśmy, kim jesteś. Potwierdzili, że się u nich zatrzymałeś, podali nam twoje dane. A twój rudy przyjaciel zadzwonił do hotelu, bo nie zjawiłeś się na spotkaniu i nie odbierałeś telefonu. Powiedzieli mu, że jesteś u nas. Przyjechał tu. Dobry przyjaciel.

– Ma wrócić o drugiej – dopowiedziała pielęgniarka.

Dwie godziny. Tyle wytrzyma. I tak nie ma jak złapać Ewana. Czekanie to najprostszy sposób kontaktu. Nie wiadomo, ile czasu zeszłoby mu na wyklócaniu się z personelem szpitala, żeby go puścili. Nie ma pieniędzy. Żeby zapłacić taksówkarzowi za kurs do hotelu, musiałby pożyczyć w recepcji. Pożyczyliby? Ile by trzeba tłumaczyć. Potem znaleźć w laptopie albo w chmurze numer do Ewana. Lepiej poczekać w szpitalu. Oby Ewan wrócił.

## Marzec 1996

Pierwsza eksplozja poderwała go z łóżka. Podskoczył tak, że zerwał moskitierę. Przez ułamek sekundy nie wiedział, co się dzieje, po chwili znowu huknęło, oprzytomniał. Zaterkotały pistolety maszynowe. Blisko, ale chyba nie aż tak bardzo. Koszary, pomyślał, kilkaset metrów stąd. Wyjrzał przez małe okienko. Na podwórzu było chyba pusto. Pewności nie miał, księżyc krył się za chmurami. Szybko założył spodnie i koszulkę, które zostawił na krześle przy pryczy. Zza ściany usłyszał, jak Florence cicho woła go po imieniu. Zduszonym głosem odpowiedział, że już idzie. Sisto spał w domu misjonarzy, kilkadziesiąt metrów od nich, za daleko, by do niego krzyczeć. Na pewno nie teraz. Budynek był ciemny. Wiktor starał się wypatrzeć jakiś ruch za oknami, w drzwiach. Nic.

Rozejrzał się po podwórzu. Nikogo. Wykonał szybki wdech i ostrożnie wysunął się ze swojego pokoju. Chwycił gałkę w drzwiach Florence, były zamknięte, zaczął je lekko szarpać, klnąc i cicho wołając dziewczynę. Po chwili otworzyła. Była spanikowana. Wszedł i szybko zamknął drzwi. Florence ciężko dyszała, patrzyła na niego przerażona. Położył palec na ustach. Terkot karabinów nie ustawał, powtarzały się eksplozje, ale Wiktor miał wrażenie, że coś niedobrego dzieje się dużo bliżej. Instynkt, przecucie.

Jeszcze raz wyjrzał na podwórze. Zdawało mu się, że wyczuł ruch. Ludzie? Drzewa? Ludzie wśród drzew? Florence wydała zduszony okrzyk. Już miał zakryć jej usta ręką, kiedy zauważył to, co ona: postaci poruszające się w gęstwinie zarośli za palisadą. Kilka, kilkanaście. Florence przyłgnęła do jego pleców. Czuł szalony rytm jej serca. Drżała. Chciał ją jakoś uspokoić, ale sam był sparaliżowany, jakby patrzył w oczy węża. Postaci zniknęły.

Nie zdążył odetchnąć, bo w tym momencie dostrzegł intruzów w miarę wyraźnie. Pierwszych dwóch pojawiło się na podwórzu. Mieli broń. Chyba kałasznikowy. Zatrzymali się. Pojawiła się kolejna czwórka. Słaby księżyc odbijał się blado w ostrzach maczet. Mózg Wiktora nie akceptował rzeczywistości, obsesyjnie analizował, jak mogli się tu przedostać. Przez dziurę w ogrodzeniu czy była tam jakaś furtka? Przeskoczyli? Przeczolągali się? Jakby w tej chwili miało to jakiegokolwiek znaczenie. Florence wbijała paznokcie w jego ramiona. Tak mocno, że chyba powinno zaboлеć, ale nic nie czuł. Drgnął, bo wydawało mu się, że patrzą w ich stronę. Chociaż stał w kompletnej ciemności, więc tamci nie mogli go dostrzec, odruchowo się cofnął, zaskoczona Florence straciła równowagę. Jakimś nadludzkim wysiłkiem chwycił ją, zanim runęła na ziemię. Zastygli w ekwilibrystycznym półprzysiadzie. Podnosił się bardzo wolno, by nie wydać żadnego dźwięku. Stracił napastników z oczu. Zamarł, wbijając wzrok w ciemność, próbując namierzyć jakikolwiek ruch. Gdzie się podziali? W jakim martwym punkcie się zasadzili? Czy właśnie zbliżają się do ich pokoju? Czy serce może bić jeszcze szybciej? Czekał na kopnięcie w drzwi, gdy nagle zdało mu się, że kątem oka dostrzega ruch przy domu misjonarzy.

Ostrożnie zbliżył się do okienka. Tak, byli tam, czaili się po dwóch stronach drzwi wejściowych. W domu panowała cisza i ciemność. Mieszkańcy musieli się obudzić, to nie ulegało wątpliwości, eksplozje poderwałyby martwych. Którymi za chwilę możemy być – przemknęło mu przez głowę. Czy księża i Sisto widzą napastników? Czy tak samo jak oni stoją przy oknach i czekają na to, co się wydarzy? A może udało im się uciec? Rebelianci wyważyli drzwi.

Wydawało się, że kolejne sekundy rozciągnęły się w nieskończoność. Odległy terkot broni maszynowej pogłębiał wrażenie przytłaczającej ciszy na plebanii. I wtedy ze środka usłyszeli krzyki. Strzał jeden, drugi. Z budynku zaczęli wybiegać ludzie. Poganiani i bici padali na kolana,

przewracali się. Wiktor dostrzegł białe twarze Włochów, nie widział Sisto. Ze środka buchnęły płomienie, w błyskawicznym tempie ogarnęły budynek, oświetlając podwórze. Napastnicy zaczęli strzelać w powietrze na wiwat. Krzyczeli, machali maczetami i karabinami. Cieszyli się. Jeńcy kulili się na ziemi.

Wiktor nie mógł oderwać wzroku od piekielnej sceny. To się nie dzieje – powtarzał sobie, gdy nastoletni chłopcy, prawie dzieci, najpierw gwałcili, a potem zabijali maczetami pierwszą ofiarę, kucharkę misjonarzy. Następny był nieznany mu mężczyzna. Jeden z Włochów zaczął się szarpać, dostał kolbą w głowę, padł, ale widać było, że żyje. Wtedy Wiktor zobaczył Sisto. Kazali mu się wyprostować na kolanach. Wrzeszczeli, wymachując maczetami. Florence wyrwał się zduszony okrzyk, na szczęście znikł w huku pękających belek płonącego budynku. Szarpnęła się, jakby chciała wybiec na dwór. Złapał ją mocno, zaczęła okładać go pięściami, ale przestała się wyrwać.

Wiedzieli, co się zaraz stanie. Wiktor poczuł, że jego umysł odmawia uczestnictwa w tej scenie i odplywa. Jeńcy i kaci migotali w szalonym spektaklu ognia. Co za pojebana choreografia – pomyślał. Przypomniał sobie uwznioślony koncert rockowy w warszawskiej Stodole, na którym był niedługo przed wylotem do Afryki. Pompatyczne dźwięki, wymierzona w widzów kaskada świateł zza pleców muzyków, z przodu sceny wielka płachta białego prześwitującego materiału, na której rozgrywał się pulsujący spektakl.

Maczeta opadła. Florence wbiła twarz w jego pierś, trzęsa się bezgłośnie od płaczu. Nie widziała, jak wielki chudy Sisto, który chciał zrozumieć, po co ludzie jeżdżą na nartach, przewraca się na ziemię, jak dobijają go kolejnymi ciosami. A może już tylko znęcali się nad trupem? Nie widziała już, jak zabijają dwóch pozostałych Ugandyjczyków, a Włochom wiążą ręce za plecami.

Wezmą ich do miasteczka na publiczną egzekucję? Jako zakładników? I czy już wiedzą, że przeoczyli Florence i Wiktora? Nawet jeśli nikt im nie powiedział o jeszcze jednym Białym i dziewczynie z Kampali, to jest to kwestia czasu. Amok pożaru i mordu sprawił, że nie zajrzeli do stojącego z boku baraku. Zaraz naprawią błąd. Przez chwilę, króciutką chwilę Wiktor chciał się schować pod łóżko, zajrzeliby pobieżnie do pokoju, nikogo by nie zobaczyli, poszliby dalej, nikt by nie strzelał, niczego by nie podpalili. Byłby bezpieczny jak kiedyś, kiedy przed mrokami świata chroniła go kołdra. Otrząsnął się.

– Musimy uciekać. Teraz. Za chwilę będzie za późno – powiedział cicho do ucha Florence. Wzdrygnęła się.

– Oszalałeś? Jedyne wyjście to te drzwi na podwórze, oświetlone jak stadion. Albo nas zastrzelą od razu, albo złapią, mnie zgwałcą, a ciebie zaszlachtują.

– A tu wejdą za chwilę, zgwałcą, zaszlachtują albo spalą żywcem. Uciekając, mamy jakąś szansę.

– Jaki masz plan?

Spierdalać w podskokach – chciał krzyknąć – taki mam plan, dziewczyno, jestem zesrany ze strachu jak nigdy w życiu, spanikowany jak ty albo bardziej, za chwilę wszystkiego pożałuję, tego cudownego planu, wyjazdu z tobą, chwili, gdy wsiadłem do samolotu, gdy pierwszy raz spojrzałem w atlasie na mapę Afryki, ale tak, ucieczka to jedyne wyjście, choć za cholere nie wiem, dokąd mamy uciekać, czy w ogóle przedostaniemy się przez ogrodzenie, jeśli w ogóle do niego dobiegniemy, ja pierdołę.

Zostały im już nawet nie minuty, ale sekundy. Kto powinien wyskoczyć pierwszy? Na logikę on, bo przynajmniej ma pomysł, dokąd biec, ale przecież nie zostawi dziewczyny z tyłu. Obok siebie, za rączki, romantycznie jak na filmach, najlepiej w zwolnionym tempie? Przecież

będą jedną wielką tarczą strzelniczą. Florence z przodu? W jej stanie? Nie ma szans. Iść, licząc, że nie zauważą, czy od razu biec? Dlaczego, do kurwy nędzy, nie uciekliśmy wcześniej, kiedy atakowali dom? Było ciemno, mogło się udać. Jakże to ma teraz, baranie, znaczenie? Myśl, myśl, myśl, decyzja!

– Dajesz mi rękę, nie puszczasz. Na trzy wybiegamy w lewo, bijemy rekord na setkę, lecimy w stronę pryszniców. Wydaje mi się, że widziałem tam dziury w ogrodzeniu.

– Wydaje ci się? – Florence wyglądała, jakby miała dostać ataku hysterii, zaraz zacznie krzyczeć i wyskoczy prosto na morderców. Ciężko oddychała.

– Już. Zamknij się. – Pocałował ją w usta. – Spojrzała na niego, przez chwilę bardziej zdziwiona niż przestraszona. Zaczepnął powietrza. – Nie oglądaj się za siebie. Raz, dwa, trzy, ruchy!

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

– Doktorze, czy mogę skorzystać z pana telefonu? Moja żona w Polsce zapewne odchodzi od zmysłów. Zadzwonię przez WhatsAppa, żeby nie nabijać kosztów.

Lekarz machnął ręką. Agata odebrała po drugim dzwonku.

– Wiktor?! To ty?

– Agata...

– Boże! Co się dzieje? Dlaczego się nie odzywałeś? Twoje telefony nie działają...

– Agata, Agata, posłuchaj. Przede wszystkim jest dobrze. Dzwonię ze szpitala, miałem wczoraj wypadek na *boda boda*, na motorze...

– Jakim motorze, Chryste, dlaczego na motorze, przecież ty w życiu nie jeździłeś na motorze...

– Agata, posłuchaj, na litość boską! Dzwonię nie ze swojego telefonu, muszę się streszczać. Jechałem jako pasażer, tutaj motocykle to taksówki. Straciłem przytomność, miałem pecha, ale już okej, siedzi koło mnie lekarz i mówi, że wszystko w porządku, serio. – O połamanych żebrach i wstrząsie mózgu wolał nie wspominać.

– Jedyne problem jest taki, że ukradli mi telefony i portfel. Zablokuj Santander i Millennium, odezwę się potem z nowego ugandyjskiego numeru.

– Jak kupisz telefon, skoro nie masz pieniędzy?

– Pożyczę, załatwię, spoko. Jak będę miał nowy numer, ściągnę Revoluta i problem kasy rozwiązany. Ale na wszelki wypadek poproszę cię, żebyś mi przesłała gotówkę przez Western Union.

– Dobrze. Ale na pewno nic ci nie jest? Na pewno?

– Na pewno. Muszę kończyć. Jeszcze jedna prośba. Zadzwoń do Moniki i Darka. Monice powiedz, że jutro – zawahał się – że jutro jadę do Gulu.

Będzie wiedzieć, o co chodzi. Dam ci znać, jak tylko zdobędę telefon.  
Kocham cię.

– A ja ciebie, głupi młocie. Uważaj, proszę.

– Będę. Uważam. Miałem pecha. Jak nie ja. Znasz mnie, zawsze na cztery łapy. Mogło się zdarzyć w Warszawie, zdarzyło się tutaj. Całuję. Dzwonię. – Oddał telefon doktorowi Josephowi i udał, że się pogodził z decyzją o pozostaniu szpitalu. Medycy wyszli, a on zaczął się zastanawiać, czy wierzy w to, co powiedział Agacie.



Marzec 1996

Czy to był ten rodzaj ciszy między światłem błyskawicy a hukem grzmotu? Czy już do nich strzelali, a do niego jeszcze to nie docierało? Widział tylko światło, nie słyszał żadnego dźwięku. Jak po wybuchu w kosmicznej próżni, który za chwilę rozerwie ich na strzępy. Pędzili w stronę natrysków ile sił w nogach. Jak w sennym koszmarze parł przed siebie, ale nogi poruszały się ociężale, jakby brnął w głębokiej wodzie. Powróciły dźwięki. Strzelali. Strzelali na potęgę. Żeby zabić. Po prostu. Wbrew własnym radom obejrzał się i zobaczył, że zyskali kilka sekund, zabójcy dopiero podrywali się spod budynku plebanii.

Chyba powinni biec zygzakami, ale za późno, nie uprzedził Florence, poza tym jak biec zygzakiem, trzymając się za rękę? Dopadli pryszniców, sklecone z wyschniętej sudańskiej trawy ścianki na sekundę ich zasłoniły, ale przecież nie chroniły przed kulami. Gdzie ta pierdolona dziura? Czy tylko mu się wydawało, że ją widział?

– Tam! – Florence pociągnęła go w stronę ogrodzenia. Co?! Kurwa, pokazywała przejście dla przedszkolaka! Wiktor był szczupły, ale nie da rady wcisnąć się w tę dziurę. Puścił rękę Florence, popchnął dziewczynę do przodu. Ta, niewiele myśląc, rzuciła się szczupakiem i przebiła na drugą stronę. Kula świsnęła mu koło głowy. Zawahał się, nie poszedł w jej ślady. W zasadzie sam nie wiedział, co chciał zrobić, kiedy padł przed płotem na kolana, tłukąc je dotkliwie i wbijając głowę z ramionami w prześwit.

– Szybciej! – krzyczała Florence. Czuł, że ostra trawa rozcina mu skórę na uwieczonych ramionach, wyszarpywał je desperacko, odpychał się nogami, co za kretyńska sytuacja, jak parodia zdjęć z pierwszej wojny światowej, tych pokazujących zwłoki żołnierzy zawieszonych na zasiekach okopów, jeszcze jedno szarpnięcie, ciepło na brzuchu, wszędzie

ból, ciepło, krzyki Florence ciągnącej go za głowę, coraz bliższe wycie rebeliantów, jeszcze jeden straceńczy wysiłek i padł na ziemię po drugiej stronie.

– Biegnij, Wiktor, biegnij! – wrzeszczała uciekająca już Florence. Gnał za nią przez zarośla, gałęzie biły go paląco po twarzy, po ciele, potknął się, upadł na korzenie. Podniósł się, na chwilę stracił Florence z pola widzenia, ale już była przed nim. Nie odwracać się, biec, byle przed siebie, byle szybciej. Kolejna kula uderzyła niepokojąco blisko.

Nagle, zupełnie się tego nie spodziewając, wypadli na gruntową drogę. Po jej drugiej stronie stały chaty. Nad nimi, w oddali, widać było niewielką łunę, najwyraźniej rebelianci podpalili też budynki w centrum Padjule. Po sekundzie wahania Florence ruszyła w stronę zabudowań, ale Wiktor ją złapał za rękę.

– Nie wiemy, co tam się teraz dzieje. – Pociągnął ją z powrotem w stronę lasu, ale nieco dalej od miejsca, z którego dopiero co wyskoczyli. Ledwie zanurzyli się w zarośla, na drogę wybiegli napastnicy. Wiktor brutalnie pchnął Florence na ziemię, padli obok siebie. Byli tak blisko drogi, że mimo gęstwiny, w której leżeli, wyraźnie widzieli sylwetki rebeliantów na tle rozjaśnionego łuną nieba. Tak jak oni chwilę wcześniej, mężczyźni zatrzymali się, dyskutowali nerwowo, wskazując w różne strony. Nagle nadający ton rozmowie, zapewne dowódca, spojrzał w ich kierunku. Wiktor wyczuł, jak Florence gwałtownie tężeje. Chciał ją objąć, przycisnąć, nie wiedział, co dziewczyna może bezwiednie zrobić, ale bał się wykonać jakikolwiek ruch. Bał się, że ścigający usłyszą, jak szaleńczo biją im serca. Powtarzał sobie, że to przecież niemożliwe, ale nie działało. Czuł, że ziemia aż drży od ich uderzeń. Mózg, poddany skrajnemu stresowi, wyłączył się, a Wiktor zaczął rozważać kompletnie absurdalny problem. A mianowicie, czy podwójny rytm ich łomocących serc przypomina perkusję z *Janie Jones* The Clash, czy raczej *Where Eagles Dare* Iron Maiden i że koniecznie musi posłuchać debiutanckiej płyty

Clashów, którą zaniedbał na rzecz *London Calling*. A może te serca to jednak *Smells like teen spirit*? Czy ten koleś patrzy przed siebie i nad czymś się zastanawia, czy właśnie nas zobaczył? Czy w naszych oczach odbija się światło? Zamknąć oczy? Ale wtedy, jeżeli napastnicy się ruszą, nie będzie wiedział, dokąd poszli. Jezu, kurwa, ratuj. Pomógł mu dowódca, który podjął decyzję. Szczeknął ostro do dzieciaków, ruszyli w stronę chałup. Po chwili zaczęły dobiegać stamtąd krzyki, stuknęły sucho strzały. A potem, po kilku minutach albo po trzydziestu, Wiktor nie potrafił określić, zaległa cisza.

Leżeli nieruchomo. Milczeli. Nie wiedział, która jest godzina. Nie wiedział, o której nastąpił atak. Nie wiedział, ile czasu od niego minęło. Nie wiedział, jak długo leżeli. Nie wiedział, na co czekali. Nie wiedział, kiedy się ruszyć. Bał się, że jeśli to zrobią, jak spod ziemi wyskoczą ich prześladowcy. Łapał go coraz bardziej irytujący i bolesny skurcz w nodze. Próbował się ruszyć, trzask krzaków, patyków czy co tam przygniótł, był taki, że Florence szarpnęła się z przestraczem.

– Przepraszam, złapał mnie skurcz. Masz zegarek? – Swój zostawił przy łóżku. Pokręciła głową. Która mogła być? Ile godzin do świtu, który wybucha tu nagle o szóstej rano? Czy lepiej czekać tu, gdzie leżą, czy uciekać ile tchu w płucach, byle dalej od miasteczka? A jeżeli patrol naćpanych dzieciaków od Kony’ego zobaczy ich z drogi? Ale dokąd mieliby uciekać? Nie znali lasu, nie wiedzieli, dokąd iść, niebezpieczeństwo czaiło się ze wszystkich stron.

– Co robimy? – zapytała cicho Florence, podnosząc się na łokcie.

– Co słyszałaś o tych nocnych atakach? Wycofują się przed świtem?

– Zazwyczaj tak, najpóźniej rankiem, wiedzą, że nadciągną wojskowe posiłki. Ktoś w koszarach na pewno wezwał pomoc przez radio, przyjdą z Kitgum albo Gulu.

– Jak to daleko?

– Kitgum półtorej, dwie godziny, w zależności od stanu drogi, Gulu dalej. Nocą nie ruszą z koszar, dopiero rano. Ludzie Kony’ego na pewno dostaną cynk, więc wcześniej uciekną, o ile w ogóle nie wrócą do buszu już w nocy.

Od strony miasteczka dobiegły serie strzałów. Napastnicy nadal tam byli. Może byli też dużo bliżej.

– Zostajemy tutaj – zdecydował Wiktor. – Przynajmniej do świtu. I nie ruszamy się, dopóki nie będziemy pewni, że ich nie ma.

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

Usłyszał hałas za drzwiami. Niemal natychmiast otworzyły się i stanął w nich żołnierz. I drugi. Spojrzeli na niego, jakby był przezroczysty. Dokładnie otaksowali pokój. Zajrzeli pod łóżko, do szafek, wyjrżeli przez okno. Wiktor obserwował ich zdziwiony.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał.

– Ręce do góry – usłyszał w odpowiedzi. Myślał, że się przesłyszał, ale jeden z żołnierzy pokazał mu gestem, że ma podnieść ręce. Nie dyskutował. Ściągnęli z niego prześcieradło, zajrzeli pod poduszkę, musiał się unieść, znowu zapiekły go płuca. Jak w milczeniu weszli, tak wyszli, zamykając drzwi. Pomagając sobie nogami, z trudem naciągnął na siebie prześcieradło. Co za tępy ból. Nie zdążył się zastanowić, o co chodziło w tej scenie, kiedy drzwi się ponownie otwarły.

Stała w nich Florence.

## Marzec 1996

...dusiła go, nie rozumiał dlaczego.

– Przestań krzyczeć, miałeś koszmary, to ja, wszystko w porządku.

Uspokajał się, ciężko dysząc. Florence zdjęła dłoń z jego ust. Było jasno, leżeli w buszu, momentalnie przypomniał sobie, co wydarzyło się w nocy. Przed oczami stanął mu obraz padającego na ziemię Sisto.

– Jezu, jak mogłem zasnąć?

– Ja też zasnęłam. Dopiero twoje krzyki mnie obudziły. I mrówki. – Otrząsała się nerwowo. Też zaczął je strząsać. Ubranie miał upstrzone plamkami zaschniętej krwi, efekt przedzierania się przez ogrodzenie plebanii i biegu przez busz. Florence wyglądała tylko trochę lepiej. Skierował wzrok na słońce. Stało jeszcze nisko. Pewnie siódma, nie później. Gestem pokazał, żeby podeszli do drogi. Zatrzymali się przed ostatnimi zaroślami. Czerwona gruntówka wyglądała na pustą. Nasłuchiwali. Cisza. Żadnych wystrzałów, żadnych krzyków.

Każde rozwiązanie niosło ze sobą ryzyko, jednak postanowili ruszyć w stronę centrum miasteczka. Posuwali się poboczem drogi, która teraz, gdy słońce, z każdą minutą mocniejsze, wysysało z niej wilgoć nocy, pachniała naprawdę obłądnie. Zatrzymywali się co chwilę, nasłuchiwali, gotowi w każdej chwili rzucić się w gęstwinię. Ale nie słyszeli żadnych dźwięków.

Kilkuosobowa grupka wyszła z lasu tak nagle, że nie zdążyli zareagować, zatrzymali się w pół kroku. Gdyby to byli rebelianci, Wiktor i Florence mogliby się już pożegnać z życiem. Ale to byli miejscowi wieśniacy, którzy również przetrwali nocną rzeź. Omiotli ich obojętnym wzrokiem i nie zatrzymując się, pociągnęli w stronę Padjule. Florence i Wiktor ruszyli kilkanaście kroków za nimi. Niespełna kwadrans później weszli do miasteczka, w tłum rozpaczających, otępiiałych ludzi.

Ktoś zaczął już układać zwłoki, leżały równo obok siebie przed arkadami sklepików na rynku. Wiktor odruchowo zaczął liczyć, ale szybko stracił rachubę. Florence trzymała go za rękę, z całej siły wbijając w nią paznokcie. Nie patrzyli na siebie. W szeregu czarnych martwych twarzy dostrzegł białą skórę jednego z Włochów. Twarz przecinała krwawa szrama. Kiedy szukał wzrokiem drugiego misjonarza, podszedł do nich John, którego poznali poprzedniego wieczoru, kuzyn Sisto. W tej chwili, w tej rzeczywistości, na tym rynku wczorajsza biesiada wydawała się wydarzeniem z odległej galaktyki. Wiktor drgnął, przypominając sobie kaźń ich towarzysza. Mężczyzna opowiedział o nocy w miasteczku.

Najlepiej uzbrojeni napastnicy atakowali koszary, pozostali wyciągali z domów wyrwanych ze snu mieszkańców, spędzili ich na rynek. Zebrało się kilkaset osób. Co przytomniejsi starali się uciekać, ale przerażona większość, klęcząc, czekała na swój los. On sam z rodziną schowali się w piwnicy wykopanej za sklepem, który prowadzili. John zbudował ją właśnie z myślą o ewentualnym ataku, w tajemnicy przed sąsiadami, zaklinając dzieci, by nikomu nie wypaplały. Uratowała życie całej rodzinie.

Zaraz po zgromadzeniu ludzi na rynku rebelianci przeprowadzili selekcję. Oddzielili od reszty młodych – zarówno chłopców, jak i dziewczęta – po to, żeby zabrać ich później do buszu; zasilą szeregi morderczej armii.

Zanim ich wyprowadzili, postawili młodych przed wyborem: albo każde z nich zabije na oczach wszystkich własną matkę, ojca, dziadka, babcię, ciotkę, sąsiada albo młodsze rodzeństwo, albo zginie. Napastnicy byli doskonale poinformowani, mieli swoich ludzi w miasteczku, wiedzieli, kto jest z kim spokrewniony. Ten inicjacyjny mord miał zamknąć porywanym drogę powrotu. Miał sprawiać, że nie będą chcieli uciekać. Matki błagały córki, żeby zabiły je, oszczędzając życie młodszych sióstr, o to samo prosili ojcowie synów. Zgromadzonych w koszarach

żołnierzy zmuszano do zabijania dowódców i kolegów. Leżącego na rynku Włocha zaszlachtował osobiście dowódca rebeliantów, uprzednio wzywając wszystkich spędzonych, by opowiedzieli o tym przedstawicielom władz, gdy ci się pojawią. Drugiego misjonarza zabrano do buszu. Rebelianci odeszli niespiesznie, nie niepokoiły ich rządowe wojska. Te zresztą nadal nie dotarły. Chwilowo Padjule było ziemią niczyją.

– Musicie uciekać stąd jak najszybciej – powiedział cicho mężczyzna.

– A nie powinniśmy poczekać na żołnierzy?

– A wiecie, kiedy dotrą? Ja nie. Nie wiem, jak daleko odeszli ludzie Kony’ego. Może czekają pod miastem, kilometr stąd, żeby zaatakować odsiecz. – Rozejrzał się obojętnie po placu. – Na pewno są tu ich ludzie, a ty jesteś jedynym Białym w mieście. – Przeniósł wzrok na Florence. – O tobie i twojej rodzinie w Kampali też za chwilę wszyscy będą wiedzieć. Tutaj sami prosicie się o porwanie albo śmierć. Uciekajcie. Klnę się na Boga, że dobrze wam radzę. Tamten samochód – wskazał na stojącego pod drzewem pikapa – odjeżdża niebawem do Gulu.

Florence odciągnęła Wiktora na bok.

– Co robimy? – zapytała cicho.

Miał wrażenie, że oczy wszystkich zgromadzonych na placu skupiły się na nich.

– Nie wiem – odparł. Pilnował się, żeby rozglądać się na boki. – A jeżeli on kłamie, jeżeli chce nas wydać ludziom Kony’ego? Nie wiemy, kim są ci z pikapa.

– Przecież to kuzyn Sisto.

– No i co z tego? Wszyscy tu mają kuzynów u rebeliantów. A może mu kogoś porwali i chce go na nas wymienić?

Wiktor zaczął bezwiednie pocierać skronie. Błąd, błąd. Wszyscy patrzą. Pohamował się.



– Z drugiej strony nikogo tu nie znamy, ci, których znaleźliśmy, nie żyją, nie ma żadnej władzy, nie wiadomo, kiedy dotrze wojsko. Jeśli nie uciekniemy teraz, za godzinę może być po nas, kurwa, kurwa, kurwa.

Ostatnie słowa odruchowo wyrzucił z siebie po polsku. Milcząc, patrzyli sobie intensywnie w oczy. Wiktor ciężko oddychał, Florence sprawiała wrażenie spokojniejszej, ale wiedział, że to tylko poza. To na pewno nie był czas na takie myśli, ale w tej chwili wydawała mu się obłędnie piękna i seksowna. Najchętniej zerwałby z niej bluzkę. Szybko przywołał się do porządku. Ich sytuacja była gorsza niż w rosyjskiej ruletce, mieli pięćdziesiąt procent szans na przeżycie, może nawet mniej. Decyzja, decyzja.

– Nie podoba mi się – szepnęła Florence.

– Co ci się nie podoba?

– To. Tutaj. – Omiotła spojrzeniem plac. – Czuję, że coś jest nie tak. Spadajmy stąd.

Nie wiedział, czy ma rację, ale nie chciał z nią dyskutować. Poczuli ulgę, że zdecydowała za niego. Wrócili do kuzyna Sisto i powiedzieli, że chcą się zabrać pikapem. Kierowca podał cenę, wskazał pakę szczelnie wypełnioną milczącymi ludźmi. Przepchali się między pasażerami i wcisnęli za kabiną kierowcy, w której oprócz niego zmieściły się jeszcze cztery osoby. Kwadrans później ruszyli. Do Gulu mieli niespełna sto kilometrów. A Gulu oznaczało bezpieczeństwo. Z tego co kuzyn Sisto mówił o stanie gruntowej drogi, powinni dojechać w trzy godziny. O ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

Ale na razie wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Kierowca wzbudzał zaufanie. Jego towarzysze z kabiny nie dawali powodów do niepokoju. Pasażerowie bujali się w rytm drgań pikapa, zatopieni w swoich światach. Wyglądali, jak gdyby właśnie obudzili się po trwającym kilkanaście godzin koszmarze. Wiktorowi udzielił się ten stan. Wystawił twarz do słońca, na ciepły wiatr, czuł ciało opartej o niego

Florence. Wakacje. Kiedy frunął w pięknych przestrzeniach gdzieś między jawą i snem, samochód zahamował, a on przywalił głową wabinę. Nieprzyjemnie zaskoczony, na migi zapytał Florence, co się dzieje.

– Parę osób wysiada. Kilka minut przerwy.

Rozejrzył się. Dostrzegł tylko jedną chatę, pewnie właściwa wieś leżała w głębi buszu. Na poboczu drogi dwie dziewczynki wystawiły na macie kilka drobnych owoców na sprzedaż. Nikt z pasażerów nie był zainteresowany.

Wiktor postanowił wykorzystać przerwę w podróży i udał się w krzaki. Florence zniknęła po drugiej stronie drogi. Wrócił do samochodu pierwszy. Wyginał się leniwie, próbując ulżyć steranym mięśniom, kiedy zobaczył wychodzącą z gęstwiny Florence. Natychmiast zrozumiał, że dzieje się coś złego.

Poniedziałek, 20 stycznia 2020

W drzwiach stała Florence. W bezruchu. Oboje milczeli, przyglądali się sobie. Zastanawiał się, na czym polega różnica, która go uderzyła. Bo przecież niewiele się zmieniła. Nawet mniej, niż wynikało to ze zdjęć, które widział w gazetach. Nie dałby jej czterdziestu pięciu lat. Może czterdzieści, a i tego nie był pewien. Ta sama wiotka, dziewczęca sylwetka, podkreślona dopasowanym kostiumem businesswoman czy raczej polityczki.

To było coś w twarzy. Z tamtej Florence biła radość, otaczała ją jasna aura, nawet kiedy myślała o poważnych sprawach, nawet kiedy płakała. Nie widział tego teraz w kobiecie, która przed nim stała. Czuł za to jej niepokojącą siłę. Stanowiska wpływowej minister nie zdobywa się łagodnością i miłością bliźniego. Pewnie parę osób w Kampali mogło o tym zaświadczyć. Czy miał powód, by się jej bać? Miał? Sam przestraszył się tego pytania. Czy mogła chcieć się zemścić po dwudziestu czterech latach? Rano przekazał jej wiadomość, że jest w Kampali. Kilka godzin później o mało nie zginął. Czy to ona za tym stała? A jeżeli nie ona, to może powiedziała komuś z ich dawnego życia o tym, że on jest w Ugandzie i że szuka z nią kontaktu? Komuś, kto to bardzo źle odebrał? A może to on właśnie wariuje ze stresu. Wtedy się odezwała.

– Wiktor Tilszer, to naprawdę ty.

– Na to wygląda. – Zacisnął usta, jak to miał w zwyczaju, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

Podeszła do łóżka, przysunęła krzesło, usiadła, przyglądała mu się.

– I cóż cię sprowadza do Ugandy, Wiktorze z Polski?

Omam się nie uśmiechnął. Twarz Florence była pozbawiona wyrazu. Zastanawiał się, co się dzieje w jej głowie. To była przedziwna chwila. Minęło prawie ćwierć wieku, a on miał wrażenie, że rozstali się przed

chwilą. Chciał wyciągnąć ręce, objąć ją. A jednocześnie czuł, że siedzi obok niego zupełnie obca osoba. Nieznany człowiek. Opowiedział krótko historię zniknięcia Marcina. Słuchała, nie reagując. Gdy doszedł do logowania w Gulu sprzed trzech dni, zapytała, ile Marcin ma lat.

– We wrześniu skończył dwadzieścia dwa.

Nie skomentowała, analizowała coś w głowie. Zrozumiał, że liczy, kiedy Marcin został poczęty.

– Szybko ci poszło. – Teraz się uśmiechnęła i był to uśmiech, który go zmroził. Nie wytrzymał jej spojrzenia, odwrócił głowę w stronę okna.

– Nie miałem wtedy wyjścia...

– Zawsze jest wyjście, Wiktorze z Polski, ale uwierz mi, że zupełnie nie interesują mnie twoje ówczesne motywy. Może nawet powinnam ci podziękować – chwila ciszy i znowu ten straszny uśmiech – chyba pomogłeś mi dorosnąć w przyspieszonym tempie. Może jestem tu, gdzie jestem, bo ty kiedyś zrobiłeś to, co zrobiłeś.

– Florence...

– Stop! – syknęła w taki sposób, że zamilkł natychmiast. – Nie chcę tego słyszeć, rozumiesz? – Po chwili wahania kiwnął potakująco głową. – To nasze ostatnie spotkanie. Zawiadomię policję w Gulu, wydam stosowne polecenia. – Przez chwilę szperała w torebce, wyjęła z niej wizytówkę. – To numer do mojego asystenta. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował w sprawie swojego chłopaka, możesz do niego dzwonić. Jeżeli będzie trzeba, pomoże ci z mediami, zdjęcie twojego syna, ogłoszenie, cokolwiek. Dostanie odpowiednie dyspozycje. – Podniosła się z krzesła, poprawiła spódnicę. – Żegnaj, Wiktorze z Polski. – I ruszyła do drzwi.

– Florence! – prawie krzyknął. Obróciła się i spojrzała pytająco. Chwilę walczył z samym sobą. – Nic. Już nic.

## Marzec 1996

Gdy zobaczył wychodzącą z lasu Florence, w pierwszej chwili pomyślał, że wygląda na bardzo zdenerwowaną. Mylił się. Była przerażona. Zmusił się do uśmiechu, objął dziewczynę beztrąsko i odciągnął ją od samochodu.

– Co się dzieje?

Kierowca zawołał, żeby wracali na parkę, zaraz ruszają.

– Sikałam, nie widzieli mnie. –Wiktor zdawał sobie sprawę, że Florence jest bliska ataku hysterii. Wewnętrznie już się trzęsła. Nie przestając się uśmiechać, chwycił ją za ramiona, na pozór delikatnie, choć miał nadzieję, że poczuje jego uścisk.

– Kto cię nie widział? Co się stało?

– Kierowca i ci ludzie z kabiny. Boże, stali kilka metrów ode mnie, też sikali, rozmawiali. Po swojemu, ale ja trochę rozumiem.

Wiktor zaśmiał się w głos, starając się nie brzmieć jak wariat z groteski.

– I co?

– Nie jestem pewna, jednak słabo znam aczoli.

Odruchowo ścisnął ją z całych sił. Wzdrygnęła się.

– I co?! – Miał ochotę ryknąć, żeby przestała się asekurować, tylko jak najszybciej powiedziała, co ją tak przeraziło. Wahala się jeszcze przez sekundę. Kierowca wcisnął klakson.

– Wydaje mi się – zaczerpnęła powietrza – że oni chcą nas przekazać ludziom Kony’ego. Tu albo za chwilę na drodze.

– Wydaje ci się? – Uśmiech cały czas na twarzy, coraz bardziej sztuczny. Teraz i jego zaczęła zżerać panika. Klakson. Wołania. Sekundy. Sekundy na podjęcie decyzji. Odwrócił się do pikapa, pomachał, prosząc, by poczekali jeszcze chwilę.

– Tak. Wydaje mi się. Nie jestem pewna.

Ponownie odwrócił się w stronę samochodu i krzyknął:

– Jeszcze chwila! Chyba się zatrzała! – Wskazał na brzuch Florence. – Zaraz wracamy.

Pociągnął dziewczynę w stronę zarośli. Najwyżej uznają ich za histeryków. Kątem oka zarejestrował, że kierowca i jego kompani wysiadają z kabiny samochodu i powoli ruszają za nimi.

– Idą za nami – rzucił cicho. Zza ich pleców dobiegł krótki okrzyk, raczej komenda niż pytanie. I wtedy kilkanaście metrów przed nimi z krzaków wynurzył się może dwunastoletni chłopaczek, z kałasznikowem przewieszonym przez ramię na sparciałym sznurku. Powoli zdjął karabin z ramienia. Nie puszczając ręki Florence, Wiktor delikatnie przyspieszył, wyszczerzył się, jakby zobaczył od dawna nie widzianego przyjaciela. Nie zwalniając, znowu wskazał na Florence.

– Ona chora. – Klepał się po brzuchu. – Ból. – Zrobił cierpiętniczą minę. – Złe jedzenie. – Podniósł rękę do ust, skrzywił się. – Ona musi gównem kaka. – Zaczął pierdzieć ustami jak w podstawówce. Jeszcze tylko kilka metrów. Czy mały właśnie przeładował broń? Kolejne okrzyki. Teraz na pewno do nich. Słowo *mzungu*, czyli Biały, nie pozostawiało wątpliwości. Nie odwracając głowy, *mzungu* Wiktor pomachał prawą ręką na znak, że wszystko okej. Czuł, że Florence wbija w niego wzrok, nie odwzajemniał spojrzenia. Skupiał się na dzieciaku. Zaczął śmiać się jak wariat, klepać się po brzuchu, wykrzywiać, mając nadzieję, że Florence zrozumie, co chce zrobić. Chłopiec zbierał się do wymierzenia w nich z broni, ale było widać, że jest zdezorientowany, wzrokiem szuka potwierdzenia u ludzi za nimi.

– Teraz! – szepnął Wiktor i rzucił się w stronę dzieciaka. Z całej siły huknął go pięścią w twarz. Jezu, biję dziecko, pomyślał, gdy tamten padał na ziemię. Chwycił kałasznikowa. Florence zareagowała tak, jakby uciekali razem całe życie. Rzuciła się do przodu w tym samym momencie, gdy on skoczył na chłopaka. Ponagląjące okrzyki z tyłu zamieniły się we

wściekle wrzaski. Ale nikt nie strzelał, może nie mieli broni, może zostawili ją w pikapie. Zarośla, w które wpadli i które wydawały się początkiem lasu, okazały się dość szerokim, ale jednak tylko pasem bujnej zieleni oddzielającym drogę od sporej wsi.

Widok chat i krzątających się gdzieniegdzie ludzi zaskoczył ich do tego stopnia, że prawie się zatrzymali. Ale ich zdziwienie było niczym wobec zdumienia mieszkańców, których oczom ukazali się najpierw wybiegający z lasu biały człowiek z bronią w ręku, za nim ubrana po miastowemu czarna dziewczyna, a kilkadziesiąt sekund później trzech krajanów Aczoli krzyczących, by zatrzymać uciekającą parę.

Wiktor kątem oka dostrzegł, że z przydomowych poletek po prawej stronie w głębi wsi wyskakują kolejni mężczyźni z maczetami i pędzą w stronę piaszczystej drogi, którą gnali z Florence. Chwile dzieliły ich od momentu, gdy zostaną powaleni na ziemię. Szybkie spojrzenie w lewo nie dawało nadziei: gęsto postawione chatki, pomiędzy nimi jakieś ogrodzenia, gotowy przepis na porażkę.

Wiedział, że robi źle, że to bardzo głupi pomysł. W dodatku nie był pewien, czy uda się go wprowadzić w życie, nie miał przecież pojęcia, czy dzieciak, któremu zabrał kałasznikowa, w ogóle go odbezpieczył, a w tym pędzie sam nie był w stanie tego zrobić. Zresztą nawet gdyby się zatrzymał, nie wiedziałby chyba, który wihajster ruszyć. Wszystkie myśli eksplodowały w ułamku sekundy. Nie było czasu na zastanawianie. Działał jak robot, podniósł broń, wymierzył w niebo nad pogonią i nacisnął spust.

Wtorek, 21 stycznia 2020

Ruszyli o wpół do siódmej rano, chwilę przed świtem. Oficer policji w Gulu wyznaczył spotkanie na trzynastą, Google Maps pokazywał pięć godzin, ale Wiktor chciał mieć zapas bezpieczeństwa. Kierowca uprzedzał, że na drodze, choć w większości nowej, zbudowanej niedawno przez Japończyków, może być różnie. Wiktor sprawdził wcześniej samolot, nie było lotów z Entebbe do Gulu. Koło hotelu kupił dziennik „New Vision”, na szóstej stronie wydrukowano zdjęcie Marcina z prośbą o informacje. Taką samą prośbę redakcja wrzuciła na swoją stronę internetową.

Zastanawiał się, czy będzie coś pamiętać z trasy, którą pokonał w 1996 roku. Ale pamiętał tylko Florence śpiącą przy oknie i jej Kapuścińskiego. Twarz Sisto się zatarła. Był z tego powodu na siebie zły. Ćwierć wieku temu jazda na północ wydawała mu się wielką wyprawą.

Teraz sunęli bez przeszkód nissanem patrolem. Mogli pojechać samochodem osobowym, świeży asfalt był płaski jak stół, ale nie wiedzieli, co zdarzy się później. Woleli się zabezpieczyć, niż szukać w popłochu terenówki. Nigdy nie wiadomo. Nie rozpędzali się. Piesi uważali, że mają prawo wchodzić na asfalt w najmniej spodziewanych miejscach i momentach, dodatkowo trzeba było uważać na wszędobylskie motocykle i skutery. Przejeżdżając przez kolejne miejscowości, gdzie pobocza służyły za małe targowiska, zwalniali do dwudziestu, trzydziestu kilometrów na godzinę.

Każdy głębszy oddech wiązał się dla Wiktora z bólem. Zaklął. Pieprzone zebra. Co za masakra. Miał wrażenie, że boli go bardziej niż w szpitalu. W sumie było to możliwe, przecież powinien leżeć i jak najmniej się ruszać, do czego próbował go przekonać doktor Joseph. Kiedy usłyszał, że Wiktor chce wyjść na własne żądanie, zwyzywał go od



imbecyli i poinformował, że małpy, które zakradają się do jego ogrodu kraść jedzenie, są inteligentniejsze od pacjenta z Polski. A gdy zrozumiał, że nic nie wskóra, dał mu numer swojej komórki, na wypadek gdyby coś się działo. Wiktor serdecznie podziękował i obiecał, że będzie obchodził się ze sobą bardzo delikatnie.

Ze szpitala zabrał go Ewan. Chwilę po wyjściu Florence wetknął swoją rudą głowę w drzwi.

– Czy widziałem to, co widziałem? – Wskazał kciukiem na korytarz. Wiktor przewrócił oczami i zdał oględną relację z wizyty.

– Przyjaźni z tego nie będzie, ale zaproponowała pomoc. – Chciał zabrzmieć dziarsko, wyszło średnio. – Biorę to za dobrą monetę. Chyba lepiej mieć ją po swojej stronie? – zapytał retorycznie, ale odpowiedzią Ewana było tylko enigmatyczne „Hmmm...”.

– Co hmmm? – Wiktor zirytował się, może dlatego, że też czuł nieokreślony niepokój. Szkot wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że masz rację. Ale nie odpuszczalbym fixera. Ona jest mocna, bardzo mocna, sama z siebie i za sprawą męża, ale tam na górze kłębią się konflikty. Jej poparcie, o ile jest prawdziwe i szczere, może ci zaszkodzić u kogoś innego. Lepiej się zabezpieczyć.

Szkot pożyczył mu pieniądze na telefon i wytłumaczył, że nie musi kupować dwóch, Wiktor nigdy nie był mocny w technologiach, co wielokrotnie budziło radość jego podwładnych, kiedy musieli mu tłumaczyć oczywiste dla nich oczywistości. Wiktor zrobił tak, jak poradził mu Ewan: na stronie polskiego operatora wygenerował elektroniczny SIM, który zainstalował na nowym telefonie razem z nową ugandyjską kartą. Miał z powrotem polski numer i dostęp do elektronicznych kart płatniczych, wszystkie dane ściągnął z chmury, przynajmniej jeden problem z głowy.

Pojechał do Bubbles O’Learys, by porozmawiać z barmanami i bramkarzami, ale ci nie pamiętali ani Marcina, ani Melanii. Przyglądali

się zdjęciom chłopaka i bezradnie kręcili głowami. Policjant Olingo zgodnie z obietnicą wysłał mu kontakt do oficera w Gulu, z kolei fixer zgodził się spotkać wieczorem w hinduskiej restauracji, w której spotkać się mieli poprzedniego dnia.

Nie miał za to żadnej wiadomości od dozorca. Wyrzucał sobie, że nie niepokoi się tym wystarczająco, ale też tłumaczył, że ma ważniejsze problemy na głowie. Najważniejsze. Zadzwoń do niego później. Wybrał numer Darka Zawadzkiego, który wiedział już o wypadku od Agaty. Wiktor zbył pytania o całe zdarzenie i zapytał, co z ich śledztwem.

– Astrit potwierdził w dwóch różnych źródłach, że przynajmniej trzykrotnie dochodziło do spotkań. Źródła oczywiście nie może ujawnić, ale w razie czego będzie zeznawać w sądzie.

– Jakie jest ryzyko, że ktoś go wkręca?

– Twierdzi, że zerowe. Znasz go, on się łatwo nie podnieca, sprawdza wszystko po kilka razy.

– Co nie zmienia faktu, że będziemy mieć słowo przeciw słowu. Czyli jeżeli nie dostaniemy wiadomego filmu, to nawet jak nas nie pozwą, mogą nie zareagować albo nas wyśmiać, że złapaliśmy się na plotki.

– No może tak być.

– Dałeś Zenkowi roboczą wersję tekstu?

Zenon Puławski był ich redakcyjnym prawnikiem.

– Dałem.

– I?

Darek westchnął.

– No Zenek jak to Zenek. Jest za, a nawet przeciw. Że z jednej strony staranność zachowana, a z drugiej dymiącego pistoletu brak. Mówi, że powinniśmy poprosić o komentarz zainteresowanego.

– Jasne, żeby godzinę później na którymś z prorządowych portali rozkręcili wielką wyprzedzającą obronę tego złamasa. Wyślemy pytania w ostatniej chwili, żeby nie zdążyli nas odstrzelić. I daję znać, jak tylko

odezwie się cholerny dozorca. Wkurwia mnie w opór, pogrywa z nami,  
ale bez niego ani rusz.

## Marzec 1996

Kałach szarpnął, uderzył Wiktora w bark. Krew huczała mu w głowie tak głośno, że ledwie usłyszał suchy stukot wystrzeliwanych pocisków. A więc jednak dzieciak zdążył go odbezpieczyć. Ich prześladowcy padli na ziemię, więc Wiktor i Florence zyskali kilka sekund przewagi. Byle dobiec do gęstniejących zarośli przechodzących w las za wioską. Kilkaset metrów. Nie wiedział, ile nabojów jest jeszcze w magazynku, ale ponownie nacisnął spust. Zaczynało mu brakować powietrza, miał problem z dotrzymaniem kroku Florence, która zdawała się w ogóle nie dotykać ziemi. On o ziemię walił. Każdym krokiem. Jak jebany słoń – pomyślał. Stukot strzałów. Potknął się, przekonany, że pociągnął za spust przez pomyłkę. Z trudem zapanował nad lecącym w przód ciałem.

– Strzelają do nas! – krzyknęła Florence.

A więc to nie jemu omsknął się palec. Ścigający jednak mieli broń. Wioska się kończyła, do zbawiennych zarośli pozostało jakieś sto metrów. Znowu rozległy się strzały. Mężczyźni za nimi wyskoczyli już na drogę, próbowali nadrobić stracony wcześniej dystans. Wiktor już nie mierzył w niebo, puścił serię wprost za siebie. Kątem oka złapał, że jeden z napastników chwycił się za nogę i przekoziółkował. Wiktor wpadł w zarośla sekundę po Florence i od razu uderzył ramieniem w jakiś konar z taką mocą, że aż go zamroczyło. Zwalił się na ziemię i przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Florence nadludzkim wysiłkiem podniosła go na nogi i pociągnęła w głąb zielonej gęstwiny. Kilka kul uderzyło w drzewa tuż nad ich głowami. Strzelił w stronę, z której nadleciały. Biegli. Ramię i bark rwały go tak, że zastanawiał się, czy czegoś nie złamał.

Wypadli na polanę, przez którą przepływał rwący potok. Nie zastanawiając się długo, wskoczyli do wody, Wiktora natychmiast zważyło z nóg... Nie spodziewał się, że rzeczka będzie aż tak głęboka, a prąd taki

silny. Krztusząc się, z pomocą Florence zebrał się z dna... Bardziej wyczołgał się, niż wyszedł na brzeg. Do ściany zarośli po przeciwległej stronie polany doskoczyli w momencie, gdy z lasu na drugim brzegu wypadła pogoń. Wiktor złapał Florence za rękę, ściągnął ją na ziemię. Wzrokiem zapytała, co się dzieje, zrozumiała, gdy złożył się do strzału. Wiedział, że powinien celować w ludzi, ale nie potrafił. Skierował lufę w ziemię pod ich stopami. Jeden strzał. Drugi. Trzeci. Jakby kopnął ich prądem. Cofnęli się w gęstwinię. Poprawił dwoma strzałami, żeby wiedzieli, że ma ich na widelcu. Odczekał chwilę, posłał kolejne dwie kule, złapał Florence i szepnął:

– Spierdalamy! – Florence się nie ruszyła. Przyglądała mu się zdziwiona. – No co jest? Spadamy stąd.

– Jesteś ranny. – Patrzyła na jego ramię. Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc. Ranny? Jak to ranny? Podążył za jej wzrokiem.

Bark. Plama krwi na tiszercie. Dziura jak po kuli. Po kuli? Ból nagle włączył turbodoładowanie. Wiktor zajrzał pod koszulkę. Rana wlotowa jak na filmie. I cieknąca krew. Powoli, ale jednak. Wystarczająco wartko, żeby się w końcu wykrwawił. Był w szoku. Poczucie nierzeczywistości, które towarzyszyło mu od kilkunastu godzin, tylko się wzmoгло. Miał wrażenie, że wszystko to przydarza się komuś innemu. Dopiero co siedział z Florence i Margaret w rajskich okolicznościach przyrody na wyspach Ssesse, gdzie owszem – rozmawiali o wojnie, o której chciał nawet pisać – ale chyba wydawało mu się, że obejrzy ją tak, jak ogląda się reportaże w telewizji. Tego, co działo się teraz, nie było w programie wycieczki.

Musiał się jakoś opatrzeć, ale napastnicy znowu zaczęli wynurzać się z zarośli po drugiej stronie potoku. Wymierzył i kilka razy nacisnął spust. Znow się wycofali. Ale przecież w końcu przekroczą rzeczkę, tyle że w innym miejscu. A jemu skończy się amunicja.

– Chyba przeszła na wylot – powiedziała Florence, patrząc na jego plecy. Zajrzała pod tiszert – jest dziura.

– To nawet dobrze. – Zdjął koszulkę, ból uderzył ze wzmożoną siłą. – Przewiąż mi to jakoś i pryskamy. – Gdy wiązała supeł, miał wrażenie, że przypalała go rozpalonym żelazem. Dziwił się, że nie wyje. Z czoła lał mu się pot, oczy zaszyły łzami. – Polećmy wzdłuż rzeki. Żeby mieć jakiś kierunek. Przynajmniej nie będziemy kręcić się w kółko.

– A jeśli oni też poszli w dół rzeki, żeby przejść w miejscu, gdzie ich nie zobaczymy? – zapytała.

– Módlmy się, żeby tak się nie stało. Albo żebyśmy zobaczyli ich na czas.

Ruszyli przed siebie. Nie widzieli pościgu. Miał nadzieję, że tamci po przekroczeniu rzeki popędzą w głąb lasu, oddalając się od wody. Starali się biec, ale bujna roślinność nie ułatwiała zadania. Wiktor był coraz słabszy. Zawiązany przez Florence opatrunek przeciekał. Ból stawał się coraz bardziej tępy, mącił percepcję, coraz bardziej utrudniał poruszanie prawą ręką. W dodatku kolczaste gałęzie smagały go po pozbawionym osłony ciele, co na dłuższą metę stawało się nie do zniesienia. Wiktor wyglądał, jakby wybatożono go cienkimi różgami. Mieniło mu się w oczach. Nie wiedział, czy to przebłyski słońca wpadającego przez gęsty dach lasu, czy też zaczyna odlatywać. Wiedział, że długo tak nie pociągnie. Zdawał sobie sprawę, że powinien się bać, ale opadał z sił i cały wysiłek umysłu kierował na wykonywanie kolejnych kroków. Wtedy zobaczyli most.

Wdrapali się na niezbyt wysoki nasyp, który najprawdopodobniej był częścią drogi do Gulu, tej samej, którą wcześniej jechali. Wdrapali się ostrożnie. Droga była pusta. Położyli się w trawie i czekali. Nie wiedział, czy urywał mu się film, czy przysypiał, zresztą nie miało to teraz żadnego znaczenia. Florence starała się poprawić „opatrunek”. Nie wiedział, czy

pomogło. Po jakimś czasie usłyszeli warkot silnika. Florence wystawiła głowę.

– Pikap. Pełen ludzi – zakomunikowała.

Pokręcił głową.

– Za duże ryzyko. ONZ, NGO albo od biedy, sam nie wiem, armia. Ale nie cywile.

Nie skomentowała, położyła się obok niego. Gdy pikap ich minął, oczywiście zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Ile czasu zostało do zmierzchu? Czy jest w stanie dotrzeć do rana? Cholera, może trzeba było zaryzykować. Świetny moment na refleksję, rewelacyjne wyczucie czasu – sklął się w duchu. Odpląnął.

Z nieświadomości wyrwało go delikatne szarpanie Florence. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje i gdzie się znajduje.

– Jedzie coś – szepnęła mu do ucha.

Teraz on wystawił głowę. Biała zamknięta terenówka. Chorągiewka. Biała i czerwona. Biało-czerwona – zaśmiał się raczej kwaśno w duchu. Samochód był coraz bliżej.

– Lekarze bez Granic? – zapytał Florence, bo obraz mu się rozjeżdżał.

Kiwnęła niepewnie głową. Podniósł się i zachwiał. Złapała go pod ramię. Rzucił broń w trawę. Wyszli na drogę. Kierowca zaczął gwałtownie hamować. Otworzyły się drzwi szoferki. Florence puściła na chwilę Wiktora, ten poleciał przed siebie.

W ciemność.

Wtorek, 21 stycznia 2020

Mimo spokojnej jazdy mieli dobry czas. Nie było jeszcze jedenastej, a zbliżali się do mostu na Nilu przy wodospadach Karuma. Stamtąd już tylko godzinka do Gulu. Zdąży coś zjeść przed spotkaniem z policjantem. Miał czas na myślenie, jego kierowca, Moses, nie był zbyt rozmowny, ale przecież nie za elokwencję mu płacił, nawet nie za prowadzenie samochodu. Czterdziestolatek, były komandos, delegowany przez fixera, pełnił funkcję kierowcy, ochroniarza, detektywa i załatwacza w jednym.

Kiedy poprzedniego wieczoru fixer napisał na kartce stawkę, jaką policzy sobie za szukanie Marcina, Wiktor mało nie udławił się skądinąd znakomitymi rybnymi kotlecikami. Odczekał, aż fixer się oddali, i pokazał cenę Ewanowi. Ten zrobił wielkie oczy, ale rozłożył ręce.

– Trudno mi porównać, pierwszy raz mam do czynienia z takim przypadkiem, że to nienegocjowalne. Kasuje za markę i skuteczność. Jedno wynika z drugiego. Przykro mi.

Wcześniej Wiktor zapytał Ewana, czy mówić fixerowi o Florence. Szkot wahał się, rozważając za i przeciw. Wiktor zdecydował i sam nie wiedział, dlaczego tak, że na razie pominie ten wątek.

Ewan chciał zniknąć z restauracji, kiedy tylko przedstawił nawzajem obu mężczyzn, ale Wiktor poprosił go, żeby został. Najpierw upewnił się, czy fixer nie ma nic przeciwko. Ten wzruszył ramionami i odparł, że to nie problem, jeżeli dżentelmeni sobie ufają. Był koło sześćdziesiątki, ubrany w czarne garniturowe spodnie i wypuszczoną na nie białą koszulę z krótkimi rękawami. Złoty zegarek, sygnet i gruba bransoletka. Ważył pewnie ze trzydzieści kilo za dużo, ale wyglądał na zwinną bestię. Brakuje mu tylko cygara – pomyślał Wiktor.

Fixer wyjął je przed deserem.



– Jeżeli zdecyduje się pan skorzystać z moich usług, zaraz po herbacie zabieram się do roboty, a już teraz dzwonię do mojego najlepszego człowieka, żeby od razu się panem zajął.

Wiktor szybko przeleciał w pamięci stan kont. Musi porozmawiać z Agatą. Ruszy żelazną rezerwę na spłatę frankowego kredytu mieszkaniowego. Gdyby operacja miała się przeciągać i wygenerować niespodziewane dodatkowe koszty, będzie musiał pożyczyć pieniądze. Godzinę później dołączył do nich Moses.

Kierowca właśnie odebrał telefon na głośnomówiącym. Dzwonił fixer.

– Mamy coś. Sprawdziliśmy nagrania z kamer przemysłowych między Bushpigiem i Gulu z dziewiątego stycznia. I mamy twojego chłopaka. Znaczący mamy go na nagraniu. Stacja benzynowa w Minakulu, to dziura w połowie drogi między mostem Karuma i Gulu.

– Właśnie dojeżdżamy do Karumy – poinformował Moses

– No to możecie zatrzymać się w Minakulu i rozpytać.

– Ale co dokładnie widać na tym filmie? Z kim jest? Czym jedzie? – Wiktor nie potrafił powstrzymać podniecenia.

– I tu mamy problem. Wchodzi do sklepu na stacji sam. Kupuje wodę i jakieś drobiazgi, tyle. Przy dystrybutorach stoi minivan toyoty z opuszczoną zasłoną przeciwsłoneczną, nie widać kierowcy. To chyba kobieta, ale naprawdę ciężko powiedzieć. Wyślę wam zaraz film na WhatsAppa.

– A tablice rejestracyjne? – przerwał mu Wiktor.

– Tu jest kolejny problem. Sprawdziliśmy tablice, są kradzione, a ta toyota to wish w białym kolorze, jeden z najpopularniejszych samochodów w Ugandzie. Więc coś mamy i równocześnie nie mamy. Dzwonię, żebyś wiedział, że działamy. Szukamy na nagraniach już nie tylko chłopaka, ale też samochodu. Od rana rozmawiam z poważnymi ludźmi w różnych miejscach. W kontakcie.

Względna radość z tego, że mają jakiś ślad, ustąpiła strachowi. Kradzione tablice. Nie brzmiało to dobrze. Za dużo jak na zbieg dziwnych okoliczności. Dlaczego Marcin? Kim była ta cholerna Melania? Czy to ona siedziała w toyocie? W co on się wplątał? Wiktor klął bezgłośnie. Chwilę później w komórce piknął sygnał nadchodzącej wiadomości. Otworzył filmik. Kiepska jakość, ale to był Marcin. Obejrzał te trzydzieści sekund trzy razy. Powiększał rozpixselowaną twarz syna.

Potem otworzył ujęcie toyoty. Faktycznie, nie sposób było powiedzieć, kto siedzi za kierownicą. Wybrał folder z filmami, przeszkroił wstecz. Kajaki, leje deszcz, Marcin próbuje wyjść na brzegu na powalone drzewo, ślizga się, leci na twarz w błotnistą maź. Wybuch śmiechem, turla się w tym błocie, Wiktor słyszy swoje rzenie zza kamery. Spływ Drawą. Już pierwszego dnia po opuszczeniu Czaplinka rozwalili kajak. Wpływali pod jakiś most, rzeka się zwężyła, nurt przyspieszył, nagle kajakiem szarpnęło, usłyszeli chrobot pod dziobem. Marcin poderwał się gwałtownie, bo między jego kolanami wbiła się rura. Pruła dno pchanego siłą rzeki kajaka, zbliżając się do krocza chłopaka jak cholerny laser w *Goldfingerze*. Marcin, wyjąc ze śmiechu, krzychał: „You expect me to talk?”, Wiktor, też się krztusząc, odpowiadał: „No, Mr Tilszer, I expect you to die”. Worki żeglarskie uratowali, kajak zatonął, właściciel wypożyczalni kręcił głową, słuchając ich opowieści, ale dał im nowy kajak i nie policzył dodatkowych kosztów.

Przez te pięć dni lało non stop. Wszystko było mokre, spali w wilgotnym namiocie. Któregoś ranka obudziło ich drżenie ziemi. Wyskakiwali z namiotu prosto pod kopyta gnających ze wzgórza krów. Poprzedniego wieczoru rozbili się po ciemku dokładnie w miejscu wodopoju. Siedzieli w majtkach na trawie i płakali ze śmiechu, patrząc, jak krowy tratują namiot.

- Masz więcej dzieci? – zapytał milczący dotąd Moses.
- Trzyletnią córkę i chłopaka w drodze. Żona jest w ciąży.

– To bardzo długa przerwa po Martinie – zdziwił się Moses. – U mnie dziecko co dwa, trzy lata. Mam szóstkę. – Nie skrywał dumy.

– Bo to inna matka. Z mamą Marcina rozstaliśmy się, kiedy był małym dzieckiem.

– Wy, Europejczycy, lubicie się rozwodzić, co? – W głosie Mosesa zabrzmiała przygana, ale na twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Nie wiem jak inni, ja chyba byłem za młody, kiedy urodził się Marcin.

– Ile miałeś lat?

– Dwadzieścia dziewięć.

Moses roześmiał się w głos.

– Dwadzieścia dziewięć? Za młody? Ha, ha, ha! Za młody! Wy, Europejczycy, jesteście czasem tacy śmieszni. Miałem dwadzieścia trzy, kiedy urodził mi się pierwszy syn. A mój brat niecałe dwadzieścia. Za młody, no nie mogę.

– Cieszę się, że sprawiłem ci tyle radości. – Wiktorowi na chwilę udzielił się dobry nastrój byłego komandosa. Sam sobie wydał się zabawny.

– Dzieci to największe bogactwo mężczyzny, mój przyjacielu. – Swoje przesłanie Moses podkreślił, unosząc palec wskazujący lewej dłoni. – Dosłownie i w przenośni. Kto zadba o mnie i o moją żonę na starość? Moje dzieci! – Palec znowu poszybował w górę. – Z tobą też nie jest tak źle. Trójka to całkiem dobrze.

– Masz swoje ulubione dziecko? – zapytał Wiktor.

– Wszystkie kocham tak samo, mój przyjacielu! – Cmoknął. – Wszystkie kocham tak samo, ale najmłodsza córeczka jest taka słodka! Ma dwa lata, nazywa się Dembe, co znaczy „pokój”. Moja księżniczka. Ma takie śliczne oczy, mógłbym w nie patrzeć i patrzeć, zaraz pokażę ci zdjęcie. Starsze są trochę zazdrosne.

Wiktora ten twardziel topniejący jak masło na słońcu na wspomnienie córki trochę rozbawił, trochę wzruszył. Pomyślał o Lilce i Agacie.

– Wodospady Karuma. – Moses wskazał na prawo i zwolnił. Wiktor z podziwem spoglądał na rozszalały w dole Nil Wiktorii. Jakby patrzył na drapieżnika. Zbliżali się powoli do mostu.

– Dawniej miejscowi nazywali ten most *lamony jo*, to w języku Luo znaczy „pożeracz życia”. Żołnierze Idiogo Amina zabili tu tysiące ludzi z plemion Langi i Aczoli, które on uważał za swoich wrogów. Większość po prostu wrzucali do wody. Tutejsi nie potrafią pływać, nawet rybacy. Woda służy do mycia, nie do zabawy. Nie mieli szans. Tonęli, rozbijali się o skały. Zresztą, tu najlepszy pływak miałby problemy. Ale to nie wszystko. Amin uważał, że kaleki przynoszą wstyd Ugandzie. Ogłosił, że stworzy dla nich specjalny ośrodek rehabilitacyjny niedaleko stąd. Zorganizowano kampanię promocyjną, ludzie się zgłaszali. Myśleli, że jadą do raj. A trafiali na ten nieszczęsny most.

Wiktora, który nie mógł oderwać wzroku od topieli, przeszedł dreszcz.

– Co jakiś czas dochodzi tu do wypadków. Zbyt duża prędkość, zepsute hamulce, ktoś zjeżdża z góry, zwłaszcza od strony Gulu i leci przez barierkę prosto do rzeki. I znika na amen. Zresztą nie tylko ludzie znikają, samochody też.

– Jak to?

– Spójrz, co tam się dzieje. Ta woda porwie ciężarówkę jak zabawkę. Roztrzaska o skały, poniesie parę kilometrów. Było i nie ma.

Wiktor wpatrywał się we wspartą na dwóch potężnych filarach przeprawę. Zawieszona kilka, kilkanaście metrów nad spienioną, gnającą kilkadziesiąt kilometrów na godzinę wodą, wydawała się wręcz niestosownie niepozorna. Kładka nad żywiołem. Wzdrygnął się, gdy wjechali na most.

– A ten co, do diabła, wyprawia? – Moses spojrział w lusterko. Wiktor odwrócił się, by zobaczyć, co zaniepokoiło szofera. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zdążył jeszcze pomyśleć, że kierowca ciężarówki musi mieć nierówno pod sufitem, skoro wyprzedza na tak wąskim moście, gdy ciężarówka nagle szarpnęła w lewo, uderzając w ich samochód. Pas bezpieczeństwa wbił się w połamane żebra, Wiktor krzyknął z bólu. I ze strachu, bo podcięty krawężnikiem samochód wystrzelił w powietrze, przechylił się w lewo, ściął barierkę i poleciał prosto w otchłań kipiącego Nilu.

## Marzec 1996

Nie wiedział, jak się tu znalazł. Wpatrywał się w wylot lufy skierowanej w jego twarz. Klęczał, ręce trzymał za głową, a wściekły żołnierz mierzył do niego z broni.

– Myślałeś, *mzungu*, że ci wszystko wolno, że ci się upiecze? Z twoją dziwką już się zabawiliśmy, teraz czas na ciebie.

Typ wyszczerzył zęby. Wiktor chciał coś powiedzieć, ale nie znajdował żadnych słów, nie mógł otworzyć ust, jakby mu je zasznurowali. Facet pociągnął za spust, Wiktoorem szarpnęło, usłyszał potworny huk, z jego ust nagle wydobył się opętańczy wrzask.

– Już dobrze, wszystko dobrze, to tylko sen.

Siedział na łóżku, ciężko dysząc. Florence gładziła go po ręce, do której miał podłączoną kroplówkę. Rozejrzał się nieprzytomnie. Mała izdebka, wąskie zakratowane okno, za nim zieleń i słońce. Śmiechy i zapachy jedzenia. Czy to sen? Ale co? Od kiedy? Obok niego siedzi Florence. A jeśli to sen w śnie?

Nie, uspokój się, Florence jest prawdziwa, znasz ją, trzyma cię za rękę. Jechali na północ z Sisto. Sisto, co z nim? Spojrzał na zabandażowane ramię. A więc masakra na plebanii też nie była sennym koszmarem. To się naprawdę stało. Boże, Sisto... Przypomniawszy sobie ucieczkę wzdłuż rzeki. Potem mgła.

– Gdzie jesteście?

– W obozie Children of the World pod Gulu. To organizacja, dla której pracuję, pamiętasz? – dodała, widząc, że ma problem z kojarzeniem.

– Jak tu trafiliśmy?

– Pamiętasz, jak cię postrzelili?

Wiktor odruchowo dotknął klatki piersiowej i ramion. Wszystko wracało.

– Tak... – odpowiedział niepewnie – uciekaliśmy wzdłuż rzeki. Potem nie pamiętam.

– Doszliśmy do mostu na drodze do Gulu. Bałeś się zatrzymać pikapa z cywilami, a potem nadjechał samochód Lekarzy bez Granic. – Teraz sobie przypominał. – Zrobili na tobie takie wrażenie, że zemdłałeś. Widowskowo. – Uśmiechnęła się.

Przewrócił oczami.

– Okazało się, że byliśmy raptem czterdzieści minut od Gulu. Przywieźli nas tutaj, zdezynfekowali ci ranę, opatrzyli, powiedzieli, że w sumie miałeś szczęście, dali ci jakieś fajne narkotyki, po których przespałeś – spojrzęła na zegarek – siedemnaście godzin. Gratulacje, Wiktorze z Polski. Za chwilę obiad.

Jak na dźwięk zaklęcia poczuł wilczy głód. Zdjął nogę z łóżka.

– Powoli, kolego! – przytrzymała go Florence. – Chyba dostaniesz jedzenie do łóżka. Zawołam lekarkę.

Próbował protestować, ale usadziła go nauczycielskim spojrzeniem. Poza tym, do czego nie miał zamiaru się przyznawać, zakręciło mu się nieprzyjemnie w głowie, a gwałtowny ból rozchodzący się od barku ogarnął całe ciało. W sumie nigdzie nie musiał iść, mógł poleżeć. Florence wróciła po kilku minutach w towarzystwie trzydziestoparoletniej czarnej kobiety.

– Jak tam nasz bohater wojenny? – zapytała na wejściu, a on nie wiedział, czy przywitała go z sympatią, czy z przekąsem. Obstawiał to drugie. Ma tu morze problemów z rehabilitowanymi dziećmi odbitymi z rebelianckiej armii Kony’ego, a musi się zajmować białasem, któremu zebrało się na poszukiwanie dziennikarskich przygód.

– W porządku – odpowiedział. – Ogromne dzięki za pomoc. Już mnie tu nie ma. – Lekarka spojrzęła na niego ciężko.

– A mówiłaś, że inteligentny – zwróciła się do stojącej obok Florence. – Gdzie ty chcesz iść? – To już było do niego. – Do bramy byś nie doszedł,

bohaterze. Poleżysz tu jeszcze, nabierzesz sił, jutro sprawdzimy ranę.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, otworzył usta, ale zanim się odezwał, lekarka dokończyła przemowę:

– Już nie rób takich min. Wszyscy tu jesteśmy ci wdzięczni za uratowanie naszej małej Flo. – Potargała włosy dziewczyny. – A ja najbardziej. – Nie patrzyła na niego, a on nagle zrozumiał, że to, co wziął za sarkazm, jednak było wzruszeniem. – Ja jestem Harriett, a ty zaraz dostaniesz lekki obiad – dodała szybko i wyszła. Zapadło krępujące milczenie.

– Coś ty im naopowiadała?

Florence patrzyła na swoje stopy.

– Prawdę. – Spojrzała mu w oczy. – Przecież w najlepszym razie by mnie zabili, w najgorszym... – urwała – sam wiesz. Wszyscy wiedzą. – Usiadła na krześle koło jego łóżka. Podniósł się niezdarnie. – Co robisz? – zapytała, a on delikatnie ujął jej głowę i wolno pocałował w usta. Oddała pocałunek, jakby z wahaniem i niepewnie, żeby po chwili gwałtownie się do niego przytulić. Stęknął z bólu.

– O Jezu, przepraszam! – Oderwała się od niego. – Zapomniałam. Znaczący nie zapomniałam... – Oboje parsknęli śmiechem. W tym momencie weszła nastolatka z talerzem bliżej niezidentyfikowanej brei.

Dwa dni później wzmocnił się na tyle, że mógł wyjść na dwór i pokręcić się po obozie. Czuł, jak słońce dodaje mu sił. Przyglądał się dzieciakom bawiącym się między drewnianymi barakami. Spytał Florence, czy będzie mógł z nimi porozmawiać. Zgodziła się.

– Tylko pamiętaj, żeby chłopców nie pytać o zabijanie, a dziewcząt o gwałty.

Obiecał. Ale już pierwsza dziewczyna, trzynastoletnia Christianne, opowiedziała mu, jak rebelianci zgwałcili ją na oczach rodziny. Wbijała nieobecny wzrok w ścianę, podawała szokujące szczegóły, wspominała, jak ginęli po kolei jej rodzice i dziadkowie, co zrobiono z jej młodszym



rodzeństwem. Wiktor notował, starając się wyłączyć myślenie, nie krzyczeć. Spojrzał na Florence, miała łzy w oczach, twarz ściętą bólem. Kiedy dziewczyna skończyła opowieść, nie wiedział, jak się zachować. Siedział nieruchomo, patrząc w notes, a Florence podeszła do niej, przytuliła ją i szepnęła jej coś do ucha. Christianne kiwnęła głową, podniosła się i nie patrząc na Wiktora, odeszła.

Następny był drobny, niewyglądający na swoje jedenaście lat John. Wiktor dałby mu osiem, może dziewięć. Wesoły, dowcipny, zabawnie zalecał się do Florence. Gdy posyłała mu zalotne spojrzenia, łapał się za serce i padał na ziemię. Potem Florence powiedziała Wiktorowi na boku, że John zyskał w buszu przydomek „zabójca kobiet”. Porwali go z rodzinnej wioski rok wcześniej. Był tak drobny, że nie nadawał się nawet do noszenia broni. Przydzielono mu więc zadanie, które jego dowódcom wydało się całkiem zabawne. Kiedy któraś z uprowadzonych dziewcząt była za słaba, żeby nadążyć za kluczącą po bagnach kolumną rebeliantów, lub wielokrotnie zgwałcona znudziła się oprawcom, John dostawał maczetę albo nóż i na oczach grupy podrzynał jej gardło.

– Armia wzięła jego oddział do niewoli dwa miesiące temu – powiedziała Florence, gdy John grał w piłkę z kolegami. Siedzieli na ławeczce w cieniu rozłożystego drzewa. Zewsząd dobiegał radosny gwar dziecięcych zabaw. Jak na koloniach, mógłby ktoś pomyśleć. – Żołnierze, którzy jak się domyślasz, po latach walki w buszu nie należeli do istot szczególnie wrażliwych, byli przerażeni opowieściami naszego Johna. A on był dumny ze swoich osiągnięć. Relacjonował je zupełnie otwarcie i z technicznymi detalami. Stracił wszelkie poczucie wartości życia. Wojskowi nie wiedzieli, co z nim zrobić, więc przysłali go tutaj. Teraz staramy się naprawić jego głowę i duszę. Niech cię nie zwiedzie to, co przed chwilą zobaczyłeś. Pierwsze tygodnie przesiedział na pryczy, nie chciał wyjść z baraku, w ogóle się nie odzywał. Czeka go jeszcze wiele pracy.

Wiktor wskazał na mniej więcej piętnastoletnią dziewczynę, która samotnie siedziała pod sąsiednim barakiem, nucąc pod nosem. Florence westchnęła i pokręciła głową.

– To Lucy. Po półtora roku udało jej się uciec z niewoli, wróciła do rodzinnej wioski. Rodzina oczywiście nie posiadała się ze szczęścia. Krewni zebrali się w ogrodzie, by przygotować powitalną ucztę. Widząc, jak matka tnie maczetą korzenie manioku, dziewczyna zaczęła opowiadać, że w buszu odcinała ręce i nogi porwanym wieśniakom albo dzieciom, które próbowały uciec. Przysłuchujący się krewni myśleli, że Lucy bajdurzy, że chce w ten makabryczny sposób zaimponować starszym.

Florence zamilkła. Wiktor spojrzał na dziewczynę. Nadal nuciła pod nosem. Nie zwracała uwagi na przelatujące przed nią i drące się wniebogłosy młodsze dzieci. Bał się tego, co zaraz usłyszy.

– Krewni nie wiedzieli, co przeżyła – Florence wznowiła opowieść – i jak ją to zmieniło, więc się jej nie obawiali. W końcu matce sprzykrzył się monolog córki, zaproponowała, że skoro Lucy tak świetnie włada maczetą, niech pokaże, jak powinno się ciąć maniok. Wręczyła jej narzędzie, ale Lucy nie odcięła rośliny, tylko rękę matki.

– Jezu.

– Jezusa niestety tam nie było. Dla Lucy maczeta służyła do odrąbywania ludzkich kończyn. Tak miała zakodowane w głowie. I właśnie po to jest nasz ośrodek, jest dla tych dzieci służą przed powrotem do rodzin, do wiosek, ma choć częściowo przywrócić im hierarchię wartości.

Po piątym dzieciaku, po kolejnej opowieści o zabijaniu, okrucieństwie i rozpaczony Wiktor poczuł, że jest u kresu wytrzymałości, że już nie da rady, nie jest w stanie wysłuchać kolejnej historii. Notował wszystko, jak najprecyzyjniej, nie dopytywał Florence, żeby nie wytrącać z rytmu ani dzieci, ani jej. Skupiał uwagę na szczegółach: jak dziecko macha nogami,

siedząc na krześle, jak się buja, jakby zdawało w szkole sprawę z wakacyjnych przygód. Florence musiała dostrzec, co się z nim dzieje, bo nie zawołała już nikogo. W milczeniu oparła się delikatnie o jego plecy, głowę położyła na zdrowym ramieniu. Siedzieli w ciszy. A potem Florence zaczęła cicho nucić pieśni swego dzieciństwa, których nauczyły ją babcia i mama.

Wtorek, 21 stycznia 2020

Nie przeleciało mu przed oczami całe życie. Krzyk zamarł w gardle i jedyne, co czuł, spadając dziesięć metrów, to brak tchu. Żadnych myśli. Czysty, paralizujący strach. Przerazenie. Żadnych obrazów pod powiekami, gdy na ułamek sekundy zamknął oczy. Niebo. Most. Fruwające plastikowe torebki. Wodny pył. Rzeka. Błękit. Biel. Przewracające się wnętrzności i siła uderzenia samochodu w wodę. Obezwładniający ból w klatce piersiowej, wymioty. Nienaturalnie zwisająca głowa Mosesa. Jak u zepsutej lalki. Jego szóstka dzieci. Pożar w płucach. Panika. Siła nurtu pchająca auto. Jak zabawkę. Tak mówił Moses. Bezradność.

Wydostać się. Byle szybciej. Jak go uczyli na szkoleniu samochodowym na Mazurach? Przecież to było sto lat temu!

Szybciej, myśl, myśl, koncentracja. Nie tracimy siły na drzwi, trzeba otworzyć okno, póki nie jest zalane. Elektronika padła, trzeba wybić. Odpiąć pasy. Jak te ręce drżą. Tylko żeby nie zwalić się na Mosesa. Lewą ręką za uchwyt nad oknem, prawą wypiąć pasy. Udało się. Teraz z kopa w okno. Nic. Kurwa. To faktycznie trudniejsze, niż się wydaje. Jeszcze raz. Znowu nic. Obezwładniająca panika. Hiperwentylacja. Spokój, spokój. Coś ciężkiego, metal, mówili, że co, że co? Gaśnica! Pod siedzeniem? Nie ma. Nie ma. Jest! I z całej siły w okno. Pęka, wszędzie szkło. Wybić pozostałości.

Woda wlewa się do środka, ale samochód jeszcze utrzymuje się na powierzchni. Spokój. Spokój. Okno jeszcze nad wodą. Jeszcze przez sekundy. Potem kaplica. Chryste, ale ten Nil zapierdala. Trzech sekund nie wytrzyma w tej wodzie. Utonie. Roztrzaska się o skały. Spokój! No dawaj. Wyskakuj. Jezu, zginę. W tej trumnie na pewno zginiesz. No już. Ostatnie spojrzenie ma Mosesa.

Szóstka dzieci.

Prawą stopą znaleźć punkt odbicia. Szarpnęło. Wyrwał uchwyt, poleciał w dół na Moseśa. Odepchnął się od niego, byle do góry, do okna. Przez które nagle zaczęła wlewać się woda. Co teraz, co teraz? Znowu szarpnęło, okno czyste. Ostatnia szansa! Oparł się stopami o skrzynię biegów, złapał lewą ręką za krawędź dachu, obrócił się, podciągnął, siadł nieporadnie na drzwiach, odepchnął się z całych sił i waląc plecami o karoserię, poleciał w spienioną toń.

Natychmiast przekotłowało go tak, że stracił orientację. Gdzie góra, gdzie jest dół? Był pod wodą. Odruchowo próbował zaczerpnąć tchu. Opił się wody, krztusił się, dusił. Czuł potworny ból w płucach, a jednocześnie miał wrażenie, że na szyi zaciska mu się pętla. Wstrzymał oddech. Byle się nie zachłysnąć. Ile tak wytrzyma? Zupełnie nie panował nad tym, co się z nim dzieje. Żadnej kontroli nad ciałem. Próbował machać rękami. Otworzył oczy, licząc, że dostrzeże niebo, ale wszystko było taką samą migotliwą szarością. W każdej sekundzie spodziewał się uderzenia o skałę. Co przyjdzie pierwsze? To czy śmierć przez utonięcie? Znowu opił się wody. Wyrzucił ją z siebie wraz z wymiotami. Paliły go płuca i gardło.

I wtedy wściekły nurt wypchnął go na powierzchnię. Unosił się na plecach, głową w dół rzeki, widział niebo. Dwie myśli zbiegły się w tej samej chwili: ta, że nigdy nie widział tak pięknego nieba, i ta, że zaraz roztrzaska sobie głowę.

Obrócić się, żeby nogi były z przodu. Ale tak jest kompletnie niesterownie. Kurwa. Który brzeg bliżej? Gwałtowny spadek, próg chyba, znowu kotłowanina i uderzenia pod wodą, udo, plecy, ramię. Złamał, nie złamał? Woda jeszcze raz w płuca, ale po chwili wypycha go znów na powierzchnię. Na brzuchu, głową do przodu. Po samochodzie ani śladu. Gdzie ten brzeg? Nie wytrzyma już długo, jest jednym wielkim bólem, nie

ma sił się opierać, a co dopiero spróbować dopłynąć do brzegu. Jest zabawką niesioną prądem.

A gdyby tak zamknąć oczy? Wszystko zniknie, odejdzie cały ból. Uwolnić się od umęczonego ciała, nie dusić się, nie krztusić, nie czuć temperatury, jest tak cudownie wszystko jedno, zostaje tylko spokój. *Jebem na to*, cygański gangsta rap, który usłyszał kiedyś na Słowacji miesza się z *Perfect day* Lou Reeda w niebiańskim mashupie. Nie ma już tej strasznej rzeki, zniknął strach. *Jebem na to*. Unosi się jak mały balonik pchany delikatnymi podmuchami wiatru. Jest pięknie. Nirwana. Niech tak zostanie.

I wtedy poczuł uderzenie i przeszywający ból, szokująco inny od doskonałej harmonii, od błogostanu, który przed chwilą go otaczał. Znowu był w agonii, w tej rzece z piekła rodem, krztusił się i charczał, dusił i tonął, ale zdarzyło się coś, czego w pierwszej chwili jego rozregulowane zmysły nie ogarnęły. Wściekła woda wbijała go w koronę zwalonego do rzeki drzewa. U samego szczytu, siedem, osiem metrów od brzegu, co – jak podpowiedział mu obudzony już na dobre umysł – oznaczało, że jeszcze chwila, a potężny nurt przepchnie go przez giętkie pędy. I to będzie koniec.

Więc sięgnął lewą ręką, złapał cienką gałązkę i zaczął ciągnąć. Dziesięć centymetrów, dwadzieścia, trzydzieści. Prawą ręką spróbował pochwycić drugą gałąź i o sekundę za późno zorientował się, że wytrąca ciało z płynnej równowagi. Poczuł, jak nogi się unoszą, woda ściąga je na prawo, tułów podąża za nimi, zaraz go znowu zassie. Desperacko zamachał nogami, ale to nic nie dało. Mocniej zacisnął dłonie na cienkich gałęziach i podciągnął się z całych sił. Przesunął się o pół metra.

Krzyczał do zdarcia gardła, ale tym razem nie ze strachu. Miał przed oczami wszystkie filmy, w których jego ulubieni bohaterowie walczyli o życie. Widział Marcina, Lilkę, Agatę i – co tchnęło absurdem – rozświetlony słońcem warszawski plac Zamkowy. Opętańczym wrzaskiem

doдаwał sobie wiary, że oto wszystko jest dosłownie i w przenośni w jego zakrwawionych rękach, że jeszcze trochę, jeszcze sześć czy ile tam metrów i będzie żył, znajdzie Marcina i wróć szczęśliwie do domu.

Gałąź w jego lewej dłoni pękła. Natychmiast podbiła go fala, zamachał rozpaczliwie wolną ręką, zaciskając z całych sił prawą. Kiedy już myślał, że woda przewróci go na plecy, a on znów straci panowanie nad sytuacją, nurt na sekundę jakby się zapadł, Wiktor mlasnął w niego i złapał inną gałąź lewą ręką.

Trzydzieści centymetrów do przodu, pół metra, jeszcze kawałek. Nie wiedział, czy minęło pięć minut, czy pół godziny, kiedy znalazł się jakieś dwa i pół metra od brzegu. Tak blisko i tak daleko. Miał dwie fatalne opcje do wyboru. Przy brzegu drzewo wisiało mniej więcej półtora metra nad wodą. U dołu, do trzeciego, czwartego metra pnia było pozbawione gałęzi. Mógł albo przepłynąć dwa i pół metra do brzegu w spokojniejszej niż wcześniej, ale jednak wzburzonej rzece, albo wspiąć się po śliskim pniu. I najprawdopodobniej spaść do tej jebanej rzeki. Cudownie.

Nie miał sił na żaden z wariantów, ale z dwojga złego wybrał wspinaczkę. Próbował się podciągnąć i przerzucić prawą nogę przez pień drzewa, ale był za słaby, osunął się do wody. Jak wtedy, gdy uczył się jeździć konno. Agata wskoczyła na konia lekko i elegancko, jakby całe życie siedziała w siodle, a jemu noga zaplątała się w strzemię, najpierw prawie poleciał na plecy, a po chwili, gdy desperacko wczołgał się na zwierzę, o mało nie spadł na twarz. Pracownicy stadniny mieli niezły ubaw. Agata też. Ale teraz będzie lepiej. Musi być. No to jeszcze raz. Objął drzewo i dostał spazmatycznego ataku śmiechu, bo jego spaczona wyobraźnia podsunęła mu wizję nafaszerowanych halucynogennymi grzybami podstarzałych hipisów przytulających drzewa i Matkę Ziemię. Szukam, szukania mi trzeba, festiwal piosenki turystycznej, drzewo moim przyjacielem, era Wodnika. Śmiał się, płakał i miał wrażenie, że sam

przyjął wszystkie psychodeliki świata. Pomogło. Poczł nagły przypłył energii, wystrzelił prawą nogą do góry i zaczepił stopą o drzewo.

Dobrze, bardzo dobrze. Teraz podciągnąć się tak, żeby położyć się brzuchem na pniu. Centymetr po centymetrze, dygot w prawym ramieniu, ale idzie, nie puścić, jeszcze trochę, krzycz, krzycz i tak nikt cię nie usłyszy, ale to pomaga, i jeszcze trochę w górę, i jeszcze. Dobra, jest. Teraz tylko te trzy metry, może ciut więcej. „Tylko”. Ha, ha, ha, jakie to jest nieprawdopodobnie śmieszne. Do przodu, trzymać się drzewa butami, podciągać powoli ku górze, do przodu, do ziemi obiecanej. Kolejnych parę centymetrów po drzewie, jeszcze parę, kurczę, to się naprawdę może udać.

Być może sprawiła to sekunda dekoncentracji, w której zobaczył się już na brzegu. Albo pień w tym miejscu był szczególnie śliski. A może opadł z tych resztek sił, które jeszcze miał dzięki wyrzutowi adrenaliny. Poczł, że się ześlizguje.



## Marzec 1996

Tylne wyjście z baru prowadziło na wąski podłużny dziedziniec, nad którym dyndało rozwieszone pranie. Z dziedzińca wchodziło się do pokoi zamkniętych na kłódkę. Jego pokój mógł mieć w porywach półtora na dwa i pół metra. Więzienne okienko pod sufitem było tak wąskie, że nawet nie trzeba było go kratować. Nadal uważał, że za te pieniądze to świetna okazja. Docenił nazwę hoteliku, która – jak mu wytłumaczył recepcjonista – była przysłowiem Aczoli i w wolnym tłumaczeniu znaczyła „Biedni ludzie nie śpią”. Nie śpią, bo w przeciwieństwie do leniuchów pracują. Spojrzał na łóżko i zgodził się, że dłużej niż do świtu i tak się na nim nie da się pospać.

Nie miał żadnych bagaży, wszystko stracił w ataku pod Padjule, nie miał niczego, poza kupionymi przed chwilą w sklepie po drugiej stronie ulicy szczoteczką do zębów, pastą i majtkami na zmianę. Usiadł na wąskim łóżku, zaskrzypiały sprężyny, obok uśmieciała się Florence. Z kieszeni wyjął dwie torebki, w które zaopatrzył się w barze. Wyglądały jak próbki szamponu, ale zawierały po pięćdziesiąt gramów jakiegoś ginopodobnego alkoholu z piekła rodem. Jedną poczęstował Florence.

– Za nową rezydencję! – Naderwał torebkę i uniósł ją jak kieliszek. Florence poszła w jego ślady, wypili do dna. A potem patrzyli na siebie przez chwilę, całkiem długą chwilę. Dotknął jej twarzy, przeciągnął palcami po policzku, zadrżała.

– Będą gadać – powiedziała.

– Kto? – zapytał.

– Wszyscy. Widzieli, że tu wchodzimy. Niby miasto, a jednak wieś.

– No to spadajmy stąd. Masz samochód. Ucieknijmy. – I pocałował ją gwałtownie, przyciągnął do siebie. Westchnęła głęboko, wtuliła się niego,

poczuł ją całym sobą, całowała go zapamiętale. Wsunął rękę pod jej bluzkę delikatnie pieścił piersi, zjechał w stronę majtek, podciągnął gumkę, poczuł, jaka jest wilgotna. Był bliski szaleństwa. Chwyliła go za spodnie, jakby dla zabawy. Chciał się z nią kochać tu i teraz, ale resztki rozumu podpowiadały mu, że to nie jest najlepszy pomysł.

– Chodźmy stąd.

Złapał ją za rękę. Wyszli na ulicę pełną rozkrzyczanych straganiarzy. Wskoczyli do samochodu i Florence ruszyła z impetem, rozganiając bawiące się na ulicy dzieciaki. Wyjechała z Gulu i chwilę za miastem skręciła w mangowe zagajniki.

Wtorek, 21 stycznia 2020

Poczuł, że się ześlizguje. Z całych sił chwycił drzewo, ale było za późno, kilka sekund daremnej walki i zawisł uczepiony pnia jak koala. Jak na harcerskim torze przeszkód w podstawówce. Wtedy ręce nie wytrzymały, spadł w błoto, najadł się wstydu i nie zdobył sprawności. Teraz sprawnością było jego życie. Nie wciągnie się na drzewo, nie ma szans. Póki wisi, musi próbować dotrzeć do brzegu. Jak najszybciej, ale nie nerwowo. Stopy, jedna na drugiej, nie pozwolić im opaść, bo to mogła, nie, nawet mogły nie będzie, nigdy nie znajdą jego truchła, posilą się nim krokodyle w dole rzeki. Stopy razem, z całych sił. I ręce, to trzęsą się jak galareta, to sztywnieją.

Odchylił głowę, żeby zobaczyć, ile do brzegu. Ku jego zdziwieniu stały na nim trzy osoby, choć jeszcze chwilę temu ich tam nie było. Trzej mali chłopcy. Jeszcze raz się wygiął, oby ręce wytrzymały. Czy mogli mu pomóc? Nie. A ta wiedza nie pomogła jemu. Podobnie jak świadomość, że najpewniej uznali go za zwariowanego *mzungu* uprawiającego dziwny rodzaj turystyki. Zginać teraz to byłby naprawdę słaby żart. Więc dłoń za dłonią, do przodu, a raczej do tyłu i jeszcze kawałek, raz, dwa, trzy, cztery, maszerują oficery, gdzie ten brzeg?

I wtedy go poczuł. Wyciągnął rękę, żeby złapać pień, a uderzył w krawędź urwiska schodzącego do wody. Boże, tak blisko! Ale jak wyjść? Pień przylega do ziemi, nie przecisnąć się pod nim. Jeśli puści nogi, ręce mogą nie wytrzymać i spadnie, stoczy się po stromej skarpie do wzburzonej rzeki. Ta go porwie, a że jest skrajnie wyczerpany, to już po nim. Nie wydostanie się. Jeżeli ręce wytrzymają, to zawisnie plecami do skarpy. Jak niby ma wtedy się wspinać? Może jest, a może nie ma. Może wystaje jakiś kamień, na którym stanie i który w tym momencie okaże się obluzowany. Co robić?

– Ej, chłopaki! – krzyknął, a raczej wydawało mu się, że krzyknął. Charczał. Jeszcze raz. Równie słabo. Za czwartym razem poszło lepiej. To już był krzyk. Musieli usłyszeć, bo po chwili zobaczył ich twarze nad sobą.

– Pomóżcie! – Zero reakcji. Ani słowa, o mimice wiele nie potrafił powiedzieć. Miał nad sobą czarne twarze na tle błękitu nieba. Pewnie nie mówią po angielsku, ale chyba każdy na świecie zna akurat te cztery litery, więc tym razem naprawdę ryknął: „Help!!!”.

Zadziałało, wyciągnęli ręce. Co teraz? Jak to najlepiej rozegrać? Jeżeli poda im jedną rękę, złapią go i wtedy puści nogi, szarpnięcie, gdy polecą w dół, może być tak silne, że spadnie do rzeki, wyrrywając się dzieciakom, albo – nie daj Boże – pociągnie je za sobą. Nie. Najpierw nogi. Okej, raz kozie śmierć. No już. Trzy, dwa, jeden... Kurwa, Tilszer, puść się wreszcie. Puść się, he, he.

Poluzował zeszywniałe mięśnie i nogi poleciały bezwładnie w dół. Jęknął, gdy ręce poczuły szarpnięcie: dłonie, przedramiona, ramiona, bark, działało się. Ale wytrzymał. Uniósł głowę w górę. Trzech czarnych świętych w słonecznych aureolach.

– Chłopaki, teraz dam wam rękę, złapcie ją mocno, mocno. I nie puszczajcie. Okej? – Żadnej reakcji. – Złapcie, kochani, bo od tego zależy moje jebaniutkie życie. – Mimo że był praworęczny, uznał, że na lewej wytrzyma o kilka kluczowych sekund dłużej. Zacisnął zęby, zdjął prawą i prostując, wyciągnął do dzieciaków.

– Chłopaki!!!

Czas zwolnił. Zawiesił się. Wszystko stanęło. Pot zalewał mu oczy, świat się rozmazał. Niczego już nie widział.

I wtedy poczuł uchwyt na nadgarstku. Jeden, drugi, trzeci. Mała dłoń złapała jego dłoń. Inne przedramię. Tylko czy rozumieją, że nie wystarczy trzymać, że muszą pociągnąć, szarpnąć do góry. I to z całych swoich mikrych sił. Zrozumieli. Mieli zadziwiająco dużo pary. Czyli to ten

moment. Teraz musi zdjąć z drzewa lewą rękę, licząc na to, że dzieci utrzymają ciężar jego bezwładnego ciała, błyskawicznie się obrócić i im ją podać. A oni muszą chwycić. Utrzymać. I go wciągnąć.

Zaczerpnął głęboko powietrza i puścił drzewo. Poczuł silne napięcie w prawej ręce, utrzymali go. Obrót, lewa do góry, nic nie widzi, pot i łzy rozmazują wszystko w żółto-błękitną impresję, wali przedramieniem w ziemię, ale nim zdąży przemknąć mu przez głowę jakakolwiek myśl, czuje, jak na drugiej ręce zaciskają się szorstkie łapki.

Trzymają go. Ciągną w górę. Powoli, ale w górę. Gdy klatka piersiowa sunie po skarpie, czuje, jakby wszystkie połamane na nie wiadomo ile kawałków żebra wbijały mu się w płuca. Krzyczy, wyje, płacze, a dzieciaki nie odpuszczają. Wali się na brzuch. Czyli już tylko nogi, wyciągnąć, jedno pierdolone kolano. Jeszcze, chłopaki, jeszcze, nie puście tylko teraz przypadkiem. Prawe udo i kolano na górze, szarpnięcie dzieciaków i przetacza się na plecy. Żyje. Krztusi się. Śmieje. Najchętniej by tu został, poleżał, zamknął oczy, zasnął.

Trzech świętych ma nieruchome twarze. Przyglądają mu się. Coś między sobą szepczą. Z tylnej kieszeni wyciąga zlepek ugandyjskich szylingów. Daje najwyższemu ratownikowi, pokazując, że do podziału. Dwaj mniejsi wyciągają ręce. Do niego, nie do kolegi. No tak. Trzęsącymi się, zakrwawionymi dłońmi sięga po portfel do prawej kieszeni. Nie ma szylingów, więc podaje im drobne dolary. Wtedy większy z szylingami wyciąga ręce. No tak. Jemu też daje dolary. Chwilowo wszyscy są usatysfakcjonowani.

Prosi, żeby zaprowadzili go do wioski Karuma przy moście. To chyba niedaleko, w końcu nie płynął godzinami, pewnie wystarczy iść z powrotem wzdłuż rzeki, ale kto tam wie. Uciec kostusze, żeby teraz zgubić się w buszu i umrzeć z pragnienia, to dopiero byłby słaby dowcip. No i po tej stronie Nilu to jest chyba park narodowy, czyli dzikie zwierzęta. Lepiej nie sprawdzać jakie. Zerknął na telefon. Martwy, choć

pisali, że wodoodporny. Chłopaczki nie wyglądają na posiadaczy komórek, ale na wszelki wypadek pyta, słowami i na migi. Nie mają.

Droga do wioski zajęła im więcej czasu, niż się spodziewał. Ubrania na nim wyschły, straszliwie chciało mu się pić, był poobijany i obolały, a dłonie nadawały się do wymiany. Chłopcy może wyglądali na niedożywionych, ale zasuwali jak najlepsi kenijscy maratończycy. Myślał, intensywnie myślał. Teoretycznie było możliwe, że ma nieprawdopodobnego pecha. Kierowcy jeżdżą tu często jak wariaci, mają zdezelowane samochody, starte klocki hamulcowe, wszystko może się zdarzyć. Ale. Ale. Widział to. Obrócił się, kiedy Moses krzyknął. Ciężarówka gwałtownie skręciła, żeby w nich uderzyć. Żeby zepchnąć ich z mostu. Jakie jest prawdopodobieństwo, że stało się to przypadkiem? Może kierowca, wyprzedzając, oparzył się papierosem? Wylał na siebie coś gorącego? Kawę? Herbatę? Mogło tak być. No mogło. Straciłby wtedy panowanie nad kierownicą. I skręciłby aż tak gwałtownie? No nie.

Wnioski, do których doszedł, w ogóle mu się nie podobały.

Ale nawet gdyby przyjąć, że to był zamach, nie musiało chodzić o niego. Może o Mosesa. Przecież tak naprawdę nie wie, z kim miał do czynienia. Były komandos, tak mówił fixer. Zawód podwyższonego ryzyka. Teraz do śmierci najemnik. No i fixer. Może w ogóle nie chodziło o nich, tylko o wiadomość dla fixera. Oni mogli być wiadomością. Poważni ludzie, wśród których obraca się fixer, nie żartują.

Więc może właśnie tak było. W Kampali czysty przypadek, na moście pech, że siedział w skazanym samochodzie? Bo jeśli nie to, to co? Są dwie opcje. Pierwsza: to, co jeszcze w szpitalu, uznał za przejaw myślenia paranoicznego, czyli zemsta Florence. Druga: sprawy, w które wplątał się Marcin, a o których nic nie wiedział, w związku z czym nie miał pojęcia o ich konsekwencjach. Syn wyjechał z Kampali z własnej woli. Chyba. Prawie na pewno. Na to wygląda. Na filmie ze stacji benzynowej

zachowuje się jak zwykły podróżny. Więc druga opcja to czysta spekulacja. Pierwsza zaś...

Jeżeli to był wypadek, kierowca mógł się zachować dwojako. Honorowo, czyli zatrzymać się i zawołać pomoc. Albo – bojąc się konsekwencji – uciec. Jeżeli zaś ciężarówka naprawdę próbowała ich zepchnąć z mostu, to pojawiały się kolejne dwie wzajemnie wykluczające się możliwości. Pierwsza – kierowca powinien uciec, bo z tego, co Wiktor pamiętał, most w momencie wypadku był pusty, ale na pewno ktoś się do niego zbliżał. Ale mógł też chcieć sprawdzić, czy wykonał robotę. Więc zatrzymał się po przejechaniu mostu gdzieś, skąd widać było rzekę w dole. I w takim wypadku pojawiało się pytanie: czy widział, że Wiktor wyskoczył z samochodu? Jeżeli – co mocno wątpliwe – te wszystkie „jeżeli” by się sprawdziły, to jest w niebezpieczeństwie. Bo przecież, i tu kolejny raz tryb warunkowy, jeśli założyć, że to jednak był zamach, ale nie chodziło o niego, to był świadkiem. Więc na wszelki wypadek powinien uważać. Co w tym momencie oznaczało unikanie samotności.

Kiedy weszli do wsi, zauważył, że ludzie dziwnie mu się przyglądają. Zdał sobie sprawę, że jest w poszarpanych ubraniach i we krwi. Poszukał szyby mogącej posłużyć za lustro. Wyglądał strasznie, znacznie gorzej, niż podejrzewał. Patrzył na ofiarę przemocy domowej z plakatu. Potrzebował wody, telefonu i informacji.

Pierwsze było prostsze. Szybko znalazł przydrożny bar. Kupił wodę, wypił ją duszkiem i spytał lustrującego go wzrokiem mężczyznę za barem o łazienkę. Ten bez słowa wskazał pomieszczenie na zapleczu. Łazienka to za mocno powiedziane, ale był baniak z wodą z plastycznym ostrzeżeniem trzymającego się za brzuch i rzygającego jegomościa. Zmywał krew, uważając, by nie rozwalić świeżych strupów. Szczególnie troskliwie potraktował dłonie, które były w fatalnym stanie. Bał się infekcji. Potrzebował apteki.

Której oczywiście nie było. Ani lekarza. Barman powiedział, że najbliższa znajduje się piętnaście kilometrów od Karumy. Wiktor zapytał, czy jest tu jakiś spożywczy z podstawowymi lekami. Barman przytaknął i wytłumaczył, jak do niego trafić i gdzie jest kiosk z telefonami.

– Wiesz, co się stało na moście? – zapytał Wiktor, bacznie przyglądając się barmanowi.

– Wypadek.

– Jaki wypadek?

– Samochód spadł do rzeki. – Z twarzy barmana nie dało się nic wyczytać, zachowywał się, jakby samochody spadały tu do rzeki dwa razy dziennie. – Ktoś pewnie był w środku, ale nie ma samochodu, nie ma ludzi. – Tym razem to barman spojrzał na Wiktora uważnie. Ten odwrócił wzrok. W sklepiku spożywczym o wymiarach trzy metry na trzy kupił wodę utlenioną, plastry, bandaże i środki przeciwbólowe. Zdezynfekował dłonie, zabandażował je, zostawiając wolne palce. Wrzucił w siebie dwie pigułki. Potem znalazł kiosk z telefonami. Wytłumaczył chłopakowi oglądającemu na laptopie film, że telefon wpadł mu do wody, i zapytał, czy da się coś z nim zrobić. Chłopak niechętnie zdjął słuchawki, miał tak samo nieczytelną twarz jak dzieciaki, które go uratowały, i barman. Obejrzał telefon, podłubał i pokazał Wiktorowi, żeby poczekał. Po czym wyszedł z telefonem, zanim Wiktor zdążył zareagować. Pięknie. Kiedy się zastanawiał, czy popełnił głupotę, chłopak wrócił i powiedział, że da się zrobić za sto pięćdziesiąt dolarów. Stawka była absurdalnie wysoka i w większości składała się z podatku dla Białego pod ścianą, ale jeżeli dzięki temu odzyska zdolności komunikacyjne, to proszę bardzo. Spytał tylko, co trzeba zrobić, ale chłopaka już nie było.

Wrócił po trzydziestu minutach, oddał telefon, aparat działał. Wiktor już miał wyjść na ulicę, żeby zacząć dzwonić, ale pomyślał, że bezpieczniej będzie zostać w środku. Chłopak nie miał nic przeciwko, wrócił do oglądania filmu.



Zastanawiał się, od kogo zacząć. Wybrał numer fixera. Ten odebrał po pierwszym dzwonku.

– Co się z wami dzieje? Dzwonili z Gulu, że nie dojechaliście. A do was nie można się dobić – zapytał mężczyzna podniesionym głosem.

Wiktor opowiedział. Skończył, w słuchawce zapadła cisza. Po dłuższej chwili fixer przemówił.

– Niech pan złapie transport publiczny do Gulu, minibus albo autobus, taki, w którym będą ludzie, proszę nie wynajmować prywatnego samochodu. Niech pan nie wysiada w tej miejscowości ze stacją benzynową, gdzie nagrano pana syna. Sprawdzimy ją, ale pan niech jedzie prosto do Gulu i od razu z dworca niech pan idzie na komendę policji, do oficera, z którym był pan umówiony. Dam im znać, że się pan spóźni. Tam niech pan czeka na sygnał ode mnie. Przyślę kogoś. Idzie pan tylko z człowiekiem przez, mnie zapowiedzianym. Jeżeli nawet ktoś się na mnie powoła, ale go nie zapowiedziałem, nie rusza się pan z komendy, jasne?

Wiktor się zgodził. Nie miał wiadomości od Agaty, więc wysłał krótkiego SMS-a, że u niego wszystko okej, za godzinę będzie w Gulu. Ewan był wstrząśnięty, gdy usłyszał, co się stało, radził słuchać fixera. Potem Wiktor zadzwonił do Darka. Jemu też streścił, co się wydarzyło, dodając, że jeśli piśnie słowo Agacie, to własnoręcznie urwie mu jaja. Zresztą jeżeli powie komukolwiek. Zastępca zaklinał się, że będzie milczał jak grób.

– I jeszcze jedno, a raczej przede wszystkim... – Wiktor zastanawiał się, jak ubrać w słowa kiepskie wieści. – No dobra, prosto z mostu. Musimy zawiesić sprawę aquaparku.

Usłyszał, jak Darek ciężko wypuszcza powietrze. – Nie ma wyjścia. Jest chujnia, bo fakty są takie, że niczego stąd nie załatwię. Dozorca nie da mi filmu, dopóki nie spotka się ze mną osobiście. Próbowałem przekonać go, żeby spotkał się z którymś z was, z tobą, z Wojtkiem, ale dupa. I nie będę

ściemniał, biorąc pod uwagę, co tu się dzieje, nie mam głowy i serca do nagabywania tego kutafona. Muszę znaleźć Marcina. Tylko to się teraz liczy. Nie oczekuję zrozumienia. Po prostu przyjmijcie to do wiadomości.

Darek przez chwilę się nie odzywał.

– Co mam powiedzieć ludziom?

– Prawie prawdę. Że dozorca czeka na mój powrót, a ja nie mogę wrócić.

– Mają w ogóle odpuścić?

– Poza Wojtkiem. Niech węszy. Reszta niech coś porobi do druku.

Wiedział, że Darek jest wściekły, sam by był na jego miejscu. Wyobrażał sobie reakcję ludzi na Narbutta.

– Co mówi pan Mariusz?

– Czysto. Nic podejrzanego.

– Ale bądźcie czujni.

– Wiadomo. Jeszcze... – Darek urwał.

– Co jeszcze? No mów. – Wiktor wyczuł niepokojący ton w głosie zastępcy.

– Tomek dzisiaj zaszedł do mnie – Tomek był prezesem wydawnictwa, bezpośrednim zwierzchnikiem Wiktora – i wiesz, jak to on, dał wyraz zdziwieniu, że cię nie ma.

– Kurwa.

– Tak.

– Mówiłeś mu coś?

– Nic. Może zadzwoń do niego.

– Chyba będzie trzeba.

Potem przez kilka minut rozważał za i przeciw i w końcu zadzwonił do sekretarza pani minister. Zdał mu sprawę z wydarzeń i poinformował, że jedzie do Gulu na policję.

Piętnaście minut później siedział w rejsowym busie z Kampali do Gulu. Tylko dwa miejsca były wolne. Usiadł w przedostatnim rzędzie od

przejścia. Chwilę potem wjechali na most. W miejscu, gdzie przebili barierkę, stał radiowóz. Ruch odbywał się wahadłowo. Pasażerowie wyglądali z zaciekawieniem, on zsunął się na fotelu, żeby nie widać go było z zewnątrz. Po trzydziestu minutach minęli Minakulu, wbił wzrok w stację benzynową, jakby chciał wywołać stamtąd Marcina.

Po kolejnych trzydziestu minutach wjechali na przedmieścia Gulu. Kierowca krążył, wysadzając kolejnych pasażerów, Wiktor przyglądał się niskiej zabudowie ulic i niczego nie poznawał. Nawet rynek zapamiętał inaczej. Pojawiła się, co prawda, nowa hala targowa, ale niskie domy z podcieniami musiały stać tu już w 1996 roku. Gdyby ktoś postawił go na tym rynku z zaskoczenia, nie mówiąc, gdzie jest, w życiu by nie powiedział, że to Gulu. W jego pamięci miasto było intrygujące, teraz nijakie.

Sprawdził na Google Maps, że z dworca autobusowego do komendy policji ma osiemset metrów główną ulicą. Był środek dnia, pełno ludzi, ale i tak szedł szybko, oglądając się za siebie.

Komenda okazała się parterowym pawilonem, który wyglądałby jak typowa afrykańska prowincjonalna szkoła, gdyby nie zaparkowane przed nim policyjne wozy, w tym charakterystyczne pikapy z dwiema kanapami obróconymi do siebie plecami. Jeżdżący nimi policjanci z bronią na kolanach wyglądali trochę jak z *Mad Maxa*, wzbudzali szacunek. Zapytał dyżurnego o gabinet komendanta, gdy piknęła komórka. Wiadomość od fixera: „Gilbert Okello. Niech pokaże dokument. Będzie czekał w komendzie”.

Komendant przyjął go od razu. Nie miał niestety dobrych wiadomości.

– Sprawdziliśmy kamery przy rynku, podpytaliśmy sklepikarzy. Nikogo, kto by przypominał twojego chłopaka albo tę kobietę. Chłopcy poprosili informatorów w mieście, żeby zasięgnęli języka, może ktoś coś słyszał. Nic. Sprawdziliśmy hotele i hostele. Pytaliśmy taksówkarzy *boda boda*. Ani śladu. Jakby go tu nie było.

Wiktor miał wrażenie, że komendant mówi prawdę, że faktycznie on i jego ludzie coś w sprawie zrobili. Tylko że nic z tego nie wynikło. Komunikat był jasny, ale Wiktor nie zamierzał odpuścić.

– Nic nie zwróciło uwagi na zapisach kamer w godzinach logowania telefonu mojego syna?

Komendant pokręcił głową.

– Moi chłopcy i informatorzy wiedzą, że mają zwracać uwagę na wszystko, co mogłoby doprowadzić do pana syna. Ale na razie niczego takiego nie ma.

– Mogę dostać listę tych miejsc, które mają kamery? – Komendant pokiwał głową. Wiktor pożegnał się z nim z ociąganiem. Jakby ten człowiek był jedyną nicią łączącą go z Marcinem.

– Wiktor? – Mężczyzna, który zaczepił go na korytarzu, był wyższy od niego o pół głowy i czarny czernią absolutną, jak to się zdarza na północy Ugandy czy w Południowym Sudanie. Tilszer przytaknął.

– Jestem Gilbert Okello. – I zanim Wiktor zdążył poprosić, wyjął z kieszeni dokument tożsamości. Imię i nazwisko się zgadzało, a zdjęcie, no cóż, ze względu na karnację mężczyzny było w zasadzie czarną plamą. Nie wpadaj w paranoję, wszystko się zgadza, tak jak powiedział fixer, nie szalej.

– Mój boss sugeruje, żebym odprowadził pana do hotelu Acholi Inn, sam pójdę na rynek, żeby sprawdzić jeszcze raz to, co sprawdzali policjanci.

– Nie ma mowy. Doceniam troskę, ale idziemy razem. Tylko najpierw muszę kupić jakieś ubranie – wskazał strzępy, które miał na sobie – i coś zjeść, bo zaraz zemdleję z głodu.

– Po drodze na rynek mają dobre rolexy.

– Co mają?

– Rolexy.

– Człowieku, ostatnią rzeczą, której teraz potrzebuję, jest zegarek!

– Ach nie! – Gilbert aż zatrzęsął się ze śmiechu. – Nie będziemy jeść zegarków. Zobacz pan.

Kilka minut później Wiktor pochłaniał bombę energetyczną z ulicznego straganu: omlet z pomidorami, cebulą, zielonymi ostrymi papryczkami zawinięty w gorące *chapati* prosto z paleniska, czyli rolexa właśnie. A wszystko to za równowartość dwóch złotych.

– Jeszcze jednego? – zapytał Gilbert, widząc tempo, w jakim wrap znikał w ustach Polaka. Wiktor o mały włos skusił się na powtórkę, ale już po jednym rolexie poczuł lekką senność. Kawa, potrzebował kawy. W barze przy rynku wypił dwie, poprawił red bullem. W pierwszym lepszym sklepie kupił czarne bojówki i czarną bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami. „Nie ma nic gorszego niż facet w koszuli z krótkimi rękawami”, przypomniał sobie jedną z kanonicznych mądrości Agaty. Sklep był mały i nie miał przebieralni ani toalety, więc nie zważając na zdziwione spojrzenia rozchichotanych ekspedientek, przebrał się na środku pomieszczenia. Miał fioletowe plamy na całym ciele.

Przez następne kilka godzin wchodzili do każdego sklepu przy rynku, zaczepiali sprzedawców przy straganach, dopytywali w hali targowej. Zajrzeli w każde miejsce z policyjnej listy. Znaleźli kolejne punkty z kamerami. Właściciele nie robili problemów, pozwalali przeglądać zapisy. Filmy z siedemnastego stycznia, zarejestrowane przed i po piętnastej czterdzieści siedem, kiedy telefon Marcina ostatni raz logował się na rynku, Wiktor oglądał niemal klatka po klatce. Raz czy drugi pojawił się Biały, ale nie był Marcinem ani szczupłą kobietą. Znalazł się w ślepej uliczce. Nie miał pomysłu, co dalej. Był przerażony. Co się stało z jego synem? Gdzie jest? Piknął telefon. Wiadomość od Agaty: „Lilka pyta, czy może porozmawiać z tatusiem na wideo”. Już miał odpowiedzieć, że oczywiście, kiedy przypomniał sobie, jak wygląda. Odpisał, że zepsuła mu się kamera w komórce, bo chyba kupił w Kampali jakąś tandetę i że zadzwoni, jak skończy spotkanie.

Małe kłamstewko wypowiedziane w szlachetnym celu zupełnie go dobiło. Wpadł w dół, czuł, że zaraz popłacze się z bezsilności. Przypomniawszy sobie Hampusia, który spoczywał gdzieś na dnie Nilu. Wspomnienie straconego talizmanu od córki otrzeźwiło go. Wypatrzył sklep z zabawkami przed wejściem. W środku znalazł i kupił małego pluszowego lwa. Trochę się uspokoił.

Dał się zaprowadzić Gilbertowi na postój *boda boda* i wsadzić na motor. Po kilku minutach dojechali do skrytego w zieleni hotelu Acholi Inn. Pamiętał go jak przez mgłę. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku to było najbardziej eleganckie miejsce w Gulu, zaszedł tu na jakiś wiec polityczny, a raz umówił się chyba na wywiad z miejscowym działaczem opozycyjnym. Ćwierć wieku wcześniej Acholi Inn znajdował się obrzeżach miasta, teraz niemal w jego centrum. Czyżby pamięć znowu mu szwankowała? A może to Gulu tak się rozrosło?

Kiedy się meldował, recepcjonistka podejrzliwie przejrzała jego paszport. Wyglądał nieszczerólnie po kąpieli w Nilu. Ciekawe, co będzie na granicy. Miał to teraz w dupie. Wszystko miał w dupie poza szukaniem Marcina, ale nie wiedział, jak go znaleźć.

Nie zajrzał nawet do pokoju, bo i po co? Był bez bagażu. Fixer miał do niego niebawem zadzwonić, o czym poinformował go Gilbert. Słońce stało już nisko, do zmierzchu została godzina, może półtorej. Poszedł do hotelowego baru nad basenem. Gdzieś niedaleko przeleciał wojskowy helikopter. Wiktor zamówił podwójny gin z tonikiem. Kiedy dopijał drinka, usłyszał za sobą stukot obcasów i swoje imię. Florence.

## Kwiecień 1996

Przed południem pojawił się antonow wojsk rządowych. Krążąc na wysokości trzech tysięcy metrów, wyglądał jak zabawka. Właściwie mógłby zejść niżej, rebelianci i tak nie mieli broni przeciwlotniczej. Mieszkańcy obozów dla uchodźców, pamiętający ostatnie bombardowania, wskakiwali do płytkich rowów pełniących funkcję schronów. Nieliczne samochody poruszające się po wyboistych rudych drogach zatrzymywały się gwałtownie, pasażerowie szukali schronienia w buszu, pod kolczastymi krzakami akacji. Ale antonow pokrzyżył kilka minut i zawrócił w stronę bazy w stolicy Sudanu Południowego, Dżubie. Mogło to oznaczać tylko jedno: zwiad przed kolejnym bombardowaniem. Wiktor i Florence mieli nadzieję, że zdążą wrócić do Ugandy przed nalotem.

Przyjechali tu, do Nimule w Południowym Sudanie, położonego ledwie parę kilometrów na północ od ugandyjsko-sudańskiej granicy, dwa dni wcześniej. Przybyli po dzieci Aczoli, które uwolnili południowosudańscy chrześcijańscy rebelianci walczący z islamskim rządem w Chartumie. Rebelianci byli Afrykanami, rząd w Chartumie kontrolowali Arabowie. Uganda wspierała rebeliantów z południa, więc rząd sudański wspierał rebeliantów Kony'ego, którzy mieli bazy w Południowym Sudanie. Jedną z nich zdobyli południowosudańscy rebelianci. I znaleźli w niej szóstkę przerażonych dzieci Aczoli porwanych kilka miesięcy wcześniej gdzieś w północnej Ugandzie. Partyzanci przekazali je pracownikom misji UNICEF-u w Nimule, którzy prowadzili obóz dla uciekinierów ze spalonych przez arabskie wojska wioski. Któryś z nich skontaktował się z Harriett w Gulu i zapytał, czy Children of the World przygarnie sieroty. Na miejscu nie było nikogo, kto mógłby po nie pojechać, wszyscy pracowali w terenie. Harriett musiała kierować placówką, więc do

zadania zgłosiła się Florence. Harriett nie chciała o tym słyszeć, ale do Florence dołączył Wiktor, który powiedział, że z nią pojedzie, a jeżeli tylko dostaną doświadczonego kierowcę, obróćą w ciągu jednego dnia.

Harriett w końcu ustąpiła, chciała ściągnąć te dzieciaki i uważała, że nie powinni zwlekać. Dała im doświadczonego byłego wojskowego kierowcę o imieniu John, który przez całą drogę do Nimule nie odezwał się słowem. Nawet kiedy poprosili, żeby stanął na chwilę, nie odpowiedział, tylko po prostu zjechał na pobocze. Nie przeszkadzało im to, mieli siebie i swoje rozmowy. Tuż przed Nimule wpadli w dziurę, coś zgrzytnęło. Gdy dojechali na miejsce, John, obejrzawszy podwozie, wreszcie się odezwał. Poinformował, że bez zapasowej części nie wrócą. Oczywiście tutaj nie mieli szans jej zdobyć. Kenijczyk z UNICEF-u skontaktował się przez radio z bazą w Lokichokio w północnej Kenii, skąd do Nimule latały samoloty transportowe z żywnością i lekami. Jeden z nich miał przywieźć tę cholerną część. Czekali drugi, a w zasadzie trzeci dzień. Coraz bardziej się niecierpliwili. A teraz zrobiło się nieciekawie.

Wczesne popołudnie w Nimule wypełnione było nerwowymi dyskusjami. Wszystkie rozmowy koncentrowały się wokół jednego tematu: bombardowania. Dwie rzeczy wydawały się nie ulegać wątpliwości: samemu Nimule atak raczej nie groził, za dużo tu międzynarodowych organizacji humanitarnych, no i jest UNICEF. Co innego odległe o trzydzieści pięć kilometrów Arapi, tymczasowa siedziba rebeliantów. Ale i to najwcześniej jutro przed południem, kiedy jest najlepsza widoczność.

Dochodziła piąta. Siedzieli z szefem miejscowej misji ONZ, Kenijczykiem Davidem, w mesie UNICEF-u. Było koszmarnie duszno, nie mieli siły opędzać się od wściekle bzyczących, wszędobylskich komarów. Z dali dobiegał śmiech sudańskich kucharek. Dołączyli do nich Włoch Paolo i Francuz Fabio. Dwudziestosiedmioletniego Paolo Wiktor polubił



od pierwszej rozmowy. W poprzednim życiu był porządnym yuppie, zarabiał krocie, pracując jako komputerowiec w mediolańskim banku.

– Któregoś dnia zrozumiałem, że nie mogę tego tak spieprzyć. Forsa i zupełna pustka. Zgłosiłem się do Lekarzy Świata. Wysłali mnie do Bośni – opowiadał dzień wcześniej. Z kolei czterdziestoletni Fabio mógłby zostać bohaterem filmu. Był nauczycielem w Ghanie i Burkina Faso, kierowcą ciężarówki w Chartumie, zaopatrzeniowcem Lekarzy bez Granic w Jemenie. Miesiącami włóczył się po USA śladami bohaterów filmów Jarmuscha. Dwa dni wcześniej przywitał się z Wiktorem, trzymając w ręku na oko kilogramową puszkę kawy. A raczej po kawie. Zaraz po jej otwarciu zaproponował jointa.

– W życiu nie widziałem tyle trawy. – Wiktor nie krył zdziwienia.

– E, to nic takiego! – Fabio machnął wolną ręką i zaprowadził ich w kąt obozu, gdzie stał pięćdziesięcikilogramowy worek po sorgo, wypełniony po brzegi marihuaną. Widząc osłupienie Wiktora, Francuz wyjaśnił: – Wkład partyzantów w dobrosąsiedzkie stosunki, w podzięcie za lekarstwa. Wszystkie pobliskie obozy korzystają. To co, zapalimy? – Zaśmiał się jak dziecko.

– Słyszycie? – David podniósł głowę znad papierów. – Ciężarówka czy samolot?

– Samolot – odparł mechanicznie Wiktor, pogrążony w notatkach z wcześniejszych rozmów z pracownikami okolicznych organizacji pozarządowych, nie zdając sobie sprawy z wagi wypowiedzianych słów.

– Cholera! – David wyszedł z namiotu. Z północy dobiegał coraz wyraźniejszy dźwięk silników. Podwórze zapełniało się ludźmi: większość w białym, wyrwana z popołudniowej sjeisty.

Pierwsze dwie eksplozje były ledwie słyszalne. Następne, po krótkiej chwili, już zupełnie wyraźne.

– Bombardują Arapi – powiedział do siebie David. – Nie, to będzie bliżej, chyba obozy w Aswie.

Obok namiotu przebiegła jedna z kucharek, skryła się przerażona w płytkim dole przeciwlotniczym. Mężczyźni się zaśmiali.

– Nie bój się, do nas i tak nie przyleci.

Wtedy go zobaczyli: mała plamka powoli przybierająca kształty samolotu.

– Leci na nas! – W głosie Davida słyhać było niedowierzenie. – Kryć się!

Przestali dowcipkować, oczy rozszerzyły się ze strachu. Wiktor i Florence zerwali się od stołu, złapał ją za rękę, puścili się biegiem. W obozie było kilka dołów, ale instynkt stadny robił swoje: wszyscy skakali do jednej dziury, na głowy tym, którzy byli pierwsi. Część schronu została przykryta cienką warstwą drewna i ziemi, każdy chciał się znaleźć właśnie tam. Ściśnięci, pónadzy, oblani potem z gorąca i strachu, wsłuchiwali się w ryk maszyny.

Florence nakryła głowę rękami. Objął ją. Czekali. Tych kilka, może kilkanaście sekund oczekiwania (gdzie spadną bomby?) wydawało się nie mieć końca. I nagle ogłuszający huk wybuchów. Zapadli się w sobie jeszcze bardziej, jakby chcieli się rozplýnąć. Kolejny wybuch. Gdzieś blisko. I cisza. Antonow oddalał się na pónoc.

Ostrożnie podnieśli się, wyjrzeni z dołu. Ściana czarnego dymu przesłaniała stojące już nisko słońce.

– Trafili w wieś. Jedźcie tam! – rozkazał David. – Ja łączę się z Nairobi.

Ktoś odpalił land cruisera, wskoczyli do niego w biegu z Paolo i Fabio. Kilkadziesiąt sekund szaleńczej jazdy po wertepach i trąbienia na tłumy ludzi biegnących z rozrzuconych po okolicy chat w stronę miejsca eksplozji.

Po pogorzeliisku biegały dziesiątki ludzi, krzycząc, płacząc, złorzecząc. Zwłoki znoszono w jedno miejsce. Nadjeżdżały wciąż nowe samochody miejscowych organizacji humanitarnych, hamując gwałtownie przed ludzkimi zaporami. I wtedy ktoś krzyknął:

– Antonow wraca!

Thum ogarnęło szaleństwo. Zamiast paść na ziemię, wszyscy starali się uciec jak najdalej, zderzali się, przewracali, wstawali, biegli w tragicznym bezsensie. Właśnie w czasie ucieczki ginie najwięcej ludzi. Jeżeli człowiek leży, nawet niedaleko miejsca eksplozji, ma duże szanse na przeżycie. Kto ucieka, ginie albo zostaje trafiony odłamkami. Trzeba wykrawać całe kawałki ciała. Jeśli w pobliżu jest lekarz i jeśli ma czym kroić.

Ale łatwo powiedzieć „leż!”. Trudniej wykonać, kiedy wszystkich ogarnia histeria. Rządowi piloci dobrze o tym wiedzieli, dlatego często zawracali, by ponownie bombardować to samo miejsce. Tym razem jednak nie wrócili.

W całym tym chaosie Wiktor nagle zobaczył kilka postaci. Na tle zachodzącego słońca były rozmazane, ale im bardziej się zbliżały, tym stawały się wyraźniejsze, one i to, co niosły. Mężczyźni szli wprost na niego, inni Biali byli za daleko, poza tym on, jako jedyny, nosił na szyi aparat. Zobaczył martwe ciało dwunastoletniej może dziewczynki. Położyli dziecko przed nim.

– Fotografuj! Pokaż w swoim kraju, co nam robią Arabowie. Przecież tu są tylko cywile, a oni nas bombardują. Jeden z mężczyzn przewrócił trupa, żeby Wiktor mógł zobaczyć wielką ranę na plecach dziewczynki. Stojąca obok Florence wbiła mu paznokcie w ramię. Chciał uciec, ale oni zastąpili mu drogę, żądając zdjęć, jakby to mogło pomóc martwej, jakby to miało uratować ich samych. Norweskie pielęgniarki opatrywały ranne dzieci, mężczyźni jechali już szukać miejsca, gdzie spadły pozostałe bomby.

Trafiły w busz, już za wsią. Wojna była okrutna, ale też nędzna i prymitywna. Rebelianci nie mieli broni przeciwlotniczej, rządowe siły stać było na używanie migów tylko do ataków na froncie. Naloty na wioski i obozy uchodźców przeprowadzali transportowymi antonowami, z których załoga gołymi rękami wyrzucała bomby. Wojna serca Afryki.

Wrócili do obozu. Wieczorem zasiedli przy zbitym z desek po paletach stole pod wielkim rozłożystym drzewem. Ekipa UNICEF-u i pracownicy organizacji pozarządowych z okolicznych obozów. Ktoś przyniósł zamelinowaną na specjalną okazję butelkę irlandzkiej whisky, Fabio skręcał kolejne jointy, Paolo wznosił kwieciste toasty za życie. Dziewczyny opowiadały o jednym z Norwegów. Kiedy zaczęło się bombardowanie, zażywał sjesty w swoim szałasie. Widać miał jakiś erotyczny sen, bo wyskoczył z pryczy i gnał nagi przez obóz z poważną erekcją. W takim stanie wskoczył też do okopu. Norweg nie przyszedł na wieczorne spotkanie, choć – jak twierdziły dziewczyny – absolutnie nie miał czego się wstydić. I wtedy coś pękło. Fabio z Paolo zaczęli turlać się ze śmiechu, wzbijając kłęby kurzu, Florence, trzęsąc się, zasłaniała twarz, Wiktora rozbolał brzuch, ale nie mógł się opanować, rżał jak koń. Dwadzieścia kilka osób przy stole zachowywało się jak banda szaleńców.

Kiedy kochali się później na ziemi w szałasie, Florence się rozplakała. Nie pytał dlaczego, ona nie mówiła.

Następnego ranka przyleciał samolot z Lokichokkio, przywiózł część do ich samochodu. Kierowca szybko dokonał naprawy. Padli w ramiona ludziom poznanym ledwie kilkadziesiąt godzin wcześniej, z którymi los związał ich pętlą skrajnych okoliczności. Zapakowali szóstkę odzyskanych dzieci do samochodu i kilka godzin później wjechali do Gulu.

Wtorek, 21 stycznia 2020

Tak, przestraszył się na widok Florence. I bez trudu można to było wyczytać z jego twarzy.

– Wiktorze z Polski, czyżbyś był tak głupi, żeby podejrzewać mnie, że miałam z tym coś wspólnego? – Albo była wkurzona, albo naprawdę dobrze grała.

– Z czym? – zapytał odruchowo, świadom, jak idiotycznie zabrzmiało to pytanie

– Z tym, że prawie zginąłeś dzisiaj pod mostem Karuma. Ze śmiercią twojego kierowcy. Z wypadkiem na *boda boda* w Kampali. – Nie odwracając się, szybkim ruchem ręki odprawiła dwóch stojących za nią wojskowych i usiadła przy stoliku Wiktora. – Jezu Chryste, za kogo ty mnie masz?

– Tak naprawdę cię nie znam. Znałem dziewczynę prawie ćwierć wieku temu. – Zastanowił się i zaryzykował – A teraz... słyszałem różne rzeczy.

– Naprawdę? Słyszałeś, że zwykłam zabijać kochanków z czasów młodości, bo się okazali dupkami?

– Przepraszam.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, zaciskając usta, a on nadal zastanawiał się, czy to oburzenie, czy gra.

– W jaki sposób tu dotarłaś tak szybko?

– Helikopter. Jak tylko sekretarz przekazał mi wieści od ciebie. Cokolwiek o tobie sędzę, nie chcę, żebyś zginął w Ugandzie. Masz papierosa?

– Rzuciłem parę lat temu.

– Ja też. Dzieci mi kazały. Zameczyły mnie moralnymi szantażami.

– Wtedy paliłaś? – Nie pamiętał tego.

– Nie. Wtedy jeszcze nie.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Posłuchaj... – przerwał ciszę, ale natychmiast weszła mu w słowo.

– Nie. Nie chcę żadnych tłumaczeń. Żadnych. To mój warunek. Jak zechcę, to sama o nie poproszę.

Kiwnął głową.

– W jakim wieku masz dzieci?

– Córka dziewiętnaście, syn trzynaście lat. Molly i Nicholas. Dobre dzieciaki. – Na chwilę zamilkła. – Któregoś razu nakryłam Molly, jak z koleżanką paliła trawę. Próbowwała się wyklócać, wmawiać mi, że ja też na pewno paliłam.

– Pamiętam. Sudan. Po bombardowaniu. Byliśmy zjarani jak bąki.

Zaśmiała się.

– Tak. Dlatego ci to opowiadam. Ale Molly powiedziała, że nigdy w życiu. Twoja matka nie jest taka. – Rozłożyła ręce. – Jak się nazywał ten wariat, co ciągle kręcił jointy?

– O rany, nie pamiętam. Paolo?

– Nie, nie. Paolo to był taki blondynek, jak ty wtedy. Tamten był ciemniejszy, miał wąsa...

– Fabio!

– Fabio.

Zawołała kelnerkę, zamówiła piwo. Poprosił o dwa. Dziewczyna wróciła błyskawicznie. Trzęsły się jej ręce, kiedy otwierała butelki. Nie podniosła wzroku.

– Chyba też się ciebie boi – zażartował.

– Ona może, ty nie musisz, uwierz mi. Ale do rzeczy. Nie lubię zbiegów okoliczności. Bardzo nie lubię. Kampala jeszcze da się wyjaśnić, ale Karuma dwa dni później? Opowiedz dokładnie, jak to wyglądało.

Starał się przekazać jej wszystko, co zapamiętał. Słuchała w milczeniu. Widział, że notuje szczegóły w pamięci.

– Jeszcze wypadek na *boda boda*.

Opowiedział.

– I nie masz pojęcia, o co może chodzić? – Teraz ona wydawała się podejrzliwa.

– Najmniejszego. Analizuję to wszystko non stop i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że Marcin w coś się wplątał, że czegoś o nim nie wiem.

– Moi ludzie sprawdzają wszystkie tropy. Są w kontakcie z twoim fixerem.

Spojrzał pytająco.

– Bez obaw. Facet zna się na rzeczy. Miewamy kontakty. Nie wnikam w wasze układy, ale teraz to jest także moja sprawa: wyjaśnić, co się stało z twoim synem, i odesłać cię bezpiecznie do domu.

Wstrzymał oddech, bo nie powiedziała, że chce znaleźć Marcina, tylko wyjaśnić, co się stało. Myślała logicznie, działała pragmatycznie, ale poczuł, jakby dostał cios w splot słoneczny.

– Zrobimy tak: jutro rano wrócimy helikopterem do Kampali.

Chciał zaprotestować, ale powstrzymała go wyciągniętą dłonią.

– Moglibyśmy nawet dzisiaj, ale skoro już jestem w Gulu, to rano załatwię tu jedną sprawę. Paroma ludźmi trzeba potrząsnąć. – Wolał nie pytać, co to znaczy. – Tu w hotelu jesteś bezpieczny. Dookoła są moi ludzie. Nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi, więc przyjmuję, że może ci grozić niebezpieczeństwo. W Kampali umieszczę cię w rządowym mieszkaniu. – Znowu go powstrzymała. – Nie osiągniesz tu nic ponad to, co zrobimy my. Kazałam użyć dronów. W telewizji pokazują zdjęcie twojego chłopaka. Jeśli tylko czegokolwiek się dowiemy, natychmiast cię poinformuję. Osobiście. Zapisz sobie numer mojej komórki.

To był ten moment, kiedy powinien zdecydować, czy jej wierzy.

– Dobija mnie świadomość, że on może być gdzieś tutaj. Po drugiej stronie ulicy. Jeżeli wrócę do Kampali, to tak jakbym go zostawiał. Samosprawdzająca się przepowiednia.

– Rozumiem cię, naprawdę. Nawet nie chcę myśleć, co bym czuła na twoim miejscu. Molly i Nicholas to moje światło, jedyna czysta część mojego życia – zachnęła się. – Źle to zabrzmiało. Pewnie znowu pomyślisz o mnie nie wiadomo co. Chodzi mi o to, że rozumiem twoje emocje, ale nie dość, że nie pomożesz mu, zostając w Gulu, to jeszcze być może narazisz siebie. Poza tym, jeśli się będziesz upierał – uśmiechnęła się – mogę kazać cię aresztować.

Przez moment zobaczył dawną Florence. Zastanawiał się, jak ta siedząca naprzeciw niego kobieta ma się do dziewczyny, którą znał kiedyś w innym świecie? I ile z tamtego Wiktora było w nim?

– Pamiętasz Malana? – zapytała.

– Riana? Pewnie. Jedna z najważniejszych książek mojego życia.

Rian Malan był południowoafrykańskim dziennikarzem, Afrykanerem, Burem. Jego stryjeczny dziadek jako premier wprowadzał w RPA apartheid. Rian buntował się, został *kafferboetie*, czyli „kochankiem czarnuchów”. Wyrzekł się swojego narodu, białego plemienia Afryki. Ale podobni mu odszczepieńcy wykleli go jako białego rasistę, bo zawsze chadzał własnymi ścieżkami i krytykował brutalną przemoc ze strony Czarnych. No i był z „tych” Malanów. Zdradził wszystkich. Nienawidził Afrykanerów i kochał Czarnych. Był Afrykanerem i Czarnych się bał. Dlatego uciekł z RPA. Przyrzekł sobie, że nie poprosi o azyl polityczny w USA albo Europie, by nie przysparzać więcej wstydu i tak już cierpiącemu afrykanerskiemu ojcu. Wrócił, kiedy kończył się apartheid, napisał autobiograficzną książkę *Moje serce zdrajcy*. Wiktor był zachwycony masochistyczną uczciwością autora, podziwiał jego osobność, zamęczał Florence cytatami. W końcu kazała mu się zamknąć i sama przeczytała. Kilka wieczorów dyskutowali o Malanie.

– Dlaczego pytasz?

– Pamiętasz historię jego przodka, chyba siedemnastowiecznego, Davida?



– Którą historię? Nie zaglądałem do tego od wielu lat.

– Ja niedawno sobie odświeżyłam. David Malan był szanowanym obywatelem, mieszkał w Kapsztadzie, miał rodzinę, czwórkę dzieci. Kiedy należąca do sąsiada niewolnica Sara urodziła chłopca Mulata, David przyznał, że jest jego ojcem. – Wiktor już wiedział, co będzie dalej, ale nie przerywał, zastanawiał się, dlaczego mu to opowiada. – Ot, mały skandal, nic nadzwyczajnego, takie rzeczy zdarzały się powszechnie. Ale David zrobił coś, co rozpętało piekło. Porwał dziewczynę, uciekli na północ. Musiał wiedzieć, że przekreśla całe swoje życie. Zniknął na ćwierć wieku. A kiedy wrócił, nie było z nim Sary ani ich syna, za to nowa biała żona i stado białych dzikusów ogarniętych rasową nienawiścią. Zbrojnie zwalczali brytyjskie pomysły, w myśl których Białego można było niepokoić za zabójstwo Czarnego czy nawet za wychłostanie go. David Malan, człowiek, który kiedyś wyrzekł się wszystkiego dla czarnej kobiety, teraz był gotów raczej umrzeć, niż uznać równość Czarnych. – Umiłła.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Ta historia nie daje mi spokoju. Co tam się stało? No i co tak naprawdę znaczy, że to był jeden i ten sam człowiek? Co odpowiesz, Wiktorze z Polski? Znasz mnie czy nie? – Patrzyła na niego, ale nie widział tej twardości, która tak go uderzyła w szpitalu.

– Nie wiem, Florence. Naprawdę nie wiem.

Uśmiechnęła się.

– Pewne rzeczy jednak się nie zmieniają. Ty nigdy nie wiesz.

## Kwiecień 1996

Siedział w otwartych drzwiach lecącego nisko nad dżunglą helikoptera. W zachwycie przyglądał się morzu zieleni skrzęcej się wszelkimi możliwymi odcieniami w promieniach silnego popołudniowego słońca. Czuł się jak w *Czasie apokalipsy*. Brakowało tylko Wagnera. Pod nimi mogłaby chować się cała armia i nie byłoby w stanie jej zauważyć. Przez ostatni tydzień tropił z rządowymi żołnierzami partyzantów Kony'ego w Lesie Ayugi. Zadaniem kilkusetosobowego oddziału było powstrzymanie rebeliantów przenikających na północ Ugandy z baz w Sudanie.

Rozpierała go duma. Wiedział, że jest pierwszym dziennikarzem, nie tylko zagranicznym, ale w ogóle, którego armia wpuściła do Lasu Ayugi. Oczywiście w Polsce nikogo to nie interesowało, może poza kilkoma studentami i asystentami na wydziałach afrykanistyki. Nikt nie miał pojęcia o okrutnej, wieloletniej wojnie trawiącej północ Ugandy. Ale w Kampali było sporo europejskich korespondentów i może będzie w stanie sprzedać komuś tekst ze zdjęciami. Pomyśli o tym później, teraz cieszył się swoim fuksem, który nie do końca był fuksem. Włożył całkiem sporo wysiłku, żeby pomóc szczęściu.

Wojskami rządowymi na północy od niedawna dowodził trzydziestosześcioletni Salim Saleh, przyrodni brat prezydenta Museveniego, towarzysz walk z czasów partyzanckich, a po przejęciu władz jeden z najbliższych współpracowników, biznesmen, utracjusz i playboy. Gdy na północy wojska rządowe przestawały radzić sobie z LRA, Saleh szampańsko się bawił w Kampali. Wiktor słyszał plotki mówiące o tym, że między braćmi doszło do zwarcia. A może po prostu Museveni uznał, że tylko Saleh jest w stanie powstrzymać rebeliantów.

Więc za karę, albo i nie, wysłał go do zagubionego w dżungli kilkunastotysięcznego Gulu, by zdławił powstanie.

I tak birbant ze stolicy, który dawno już zapomniał o frontowych trudach, trafił do dziury, w której jedyną rozrywką było wieczorne oglądanie filmów na wideo. Nawet telewizja tu nie działała. Saleh nudził się jak cholera.

W Kampali Wiktor nie miałby najmniejszych szans na rozmowę z generałem. Zwróciłby się oficjalnie do jego sekretariatu, czekałby w nieskończoność i zapewne nie doczekałby się odpowiedzi. Nawet zwyczajnego: „bez szans człowieku” czy „generał Saleh nie umawia się z byle kim”.

Ale byli w Gulu. Więc pewnego dnia Wiktor wsiadł na rower, pojechał do położonej na przedmieściach bazy wojskowej i jak gdyby nigdy nic zapytał strażnika, czy może przeprowadzić wywiad z generałem. Saleh musiał się naprawdę bardzo nudzić, bo wyraził zgodę na krótką rozmowę, która zamieniła się w wielogodzinną zakrapianą biesiadę. Wiktor był dla generała niespodziewaną atrakcją, oderwaniem od beznadziejnej monotonii wojny w dżungli. Na koniec, kiedy mieli już porządknie w czubie, Wiktor zapytał o możliwość wypadu do Lasu Ayugi. Brat prezydenta odpowiedział, że to niemożliwe ze względów bezpieczeństwa, poza tym obowiązuje go tajemnica państwowa, ale zaprosił Wiktora na następne spotkanie. To również skończyło się pijaństwem, pytaniem o Las Ayugi i odmową. Przy trzecim, kończąc enty dżin z tonikiem, Saleh machnął ręką: „Chcesz, to leć”. Wiktor poleciał następnego dnia.

Teraz był wykończony codziennymi wielogodzinnymi marszami przez chaszczę i mokradła. Natykali się tylko na porzucone przez wroga obozowiska, a on nie wiedział, czy jest z tego powodu rozczarowany, czy się cieszy. Już po trzech dniach miał serdecznie dosyć. Lało dzień i noc, zasypiał i budził się w kałuży wody, bo jego szłas w prymitywnym obozowisku, do którego wracali na noc, przeciekał jak diabli. Blizna

zaczęła ponownie dawać o sobie znać. Florence mówiła, że wyjazd do dżungli nie jest najmądrzejszym pomysłem, a Harriett po prostu zwyzywała go od matołów. On był uparty. Teraz chciał już wracać, ale helikopter, który miał przylecieć z żywnością i zabrać go z powrotem do Gulu, nie mógł wystartować z miasteczka ze względu na pogodę. Wiktor z nadzieją przyglądał się porucznikowi, który kilka razy dziennie wspinał się na wysokie drzewo, by nawiązać kontakt radiowy z Gulu. Za każdym razem kręcił głową: *not today*.

Z niepokojem zastanawiał się, czy Florence będzie na niego czekać. Powiedział jej, że wróci po trzech, czterech dniach, minął ponad tydzień. Miała przed sobą jakieś zaliczenia na uniwersytecie Makerere w Kampali. Być może już wyjechała, a on nie był pewny, czy może zadzwonić do jej domu. Ukrywali się przed ludźmi, udawali, że ich znajomość ma charakter zawodowy, ale sami coraz mniej wierzyli w to, że nie widać, co się między nimi dzieje. Wiktor za często przychodził do ośrodka Children of the World, przepytwał już chyba każde dziecko po dwa razy, Florence za często wpadała na drinka do baru hoteliku Lacan pe Nino, no i regularnie znikali na godzinę lub dwie. Kiedy Harriett pożyczała im kluczyki, patrzyła na nich tak, jakby o wszystkim wiedziała. A może tylko mu się wydawało? Florence tego nie dostrzegała, jednak kiedy z Kampali przyjechała Margaret, od razu rzuciła się na nich, ćwierkając o romantycznych wojennych kochankach. Florence ochrzaniła ją, ale ta tylko się śmiała.

Nie powiedziała mu tego wprost, ale wiedział przecież, że jej rodzice nie byliby zachwyceni takim związkiem. Przede wszystkim dlatego, że z ich perspektywy nie był to żaden związek. Związkiem można nazwać coś, co ma jakieś – właśnie – perspektywy. Kiedy na horyzoncie, choćby bardzo odległym, rysuje się na przykład małżeństwo. Tymczasem o Wiktorze nie było nawet wiadomo, jak długo zostanie w Ugandzie. Sam tego nie wiedział. Florence nie pytała, czasem, gdy mówiła o przyszłości,

zaczynała się i od razu zmieniała temat. Unikali go. Zasadniczo zebrał już wszystkie materiały do reportażu i mógłby wracać. Powinien napisać tekst, wysłać go do redakcji w Polsce i Holandii i ruszać dalej, ale jeszcze przed wylotem do dżungli uznał, że zostanie do wyborów prezydenckich, które wypadają dziewiątego maja. Miał pretekst, chciał opisać barwną, pełną emocji kampanię. Co dalej? „Pomyślę o tym jutro” – powtarzał sobie słowa Scarlett O’Hary. Teraz wiedział: chciał zobaczyć Florence już dzisiaj, teraz.

Pilot dał mu znać, że czas kończyć zabawę i schować się w kabinie. Podniósł się niechętnie i zasunął drzwi. Kiedy wylądowali, oficer z bazy zapytał, dokąd go podrzucić. Kwadrans później machał do Harriett wychodzącej z ambulatorium. Po jej minie poznał, że Florence jest na miejscu. Chciał do niej pędzić do razu, ale najpierw grzecznie wysłuchał połajanki za to, że wyruszył z wojskiem. Potem lekarka odpytała go, jak było, i wskazała palcem kierunek, częstując go wymownym spojrzeniem. Poczuł, że się czerwieni. Florence była u siebie w pokoju. Otworzyła drzwi przed trzecim puknięciem.

– Czekaaś tydzień pod drzwiami?

– Idiota. Twój śmiech słyhać aż w Kampali. – Przywarli do siebie i wbrew powtarzanym od tygodni solennym obietnicom, że nigdy, pod żadnym pozorem nie zrobią tego w obozie, kochali się, jakby to był ich ostatni raz. W ekstazie przemknęło mu przez głowę, że ten ostatni faktycznie jest tylko kwestią czasu.

Środa, 22 stycznia 2020

Obudził się i nie był w stanie podnieść się z łóżka. Środki przeciwbólowe, adrenalina i alkohol przestały działać, był bólem. Czuł każdy mięsień, każdą kość. Jeżeli ktoś mu powie, że kości nie boją, to go wyśmiej. Kiedy był na studiach, wszedł nie w tę alejkę na Bemowie, zobaczył grupkę dresiarzy. Jeden z nich zapytał: „Co się, kurwa, gapisz, pedale?” i zanim Wiktor zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, dostał pierwszy cios w twarz. Najpierw walili go pięściami, a kiedy padł, kopali. Zostawili go potem na ziemi. Nie był w stanie się podnieść. Ciało płonęło. Następnego dnia nie wstał z łóżka. Teraz miał wrażenie, że jest gorzej. Przez króciutką chwilę bał się, że go sparaliżowało. Potem wziął się na sposób i przeturlał do krawędzi łóżka. Podniósł z wysiłkiem moskitierę, opuścił nogi. Ciężko dyszał.

Bał się, że nie ustoi pod prysznicem, nie dał rady umyć nóg. Wciąganie spodni było koszmarem. Nie mógł przełknąć śniadania. Czekał na adiutanta Florence, który miał go zawieźć na lądowisko helikopterów w bazie wojskowej, wypił filiżankę kawy. Kiedy mijali szlaban i budkę wartowniczą, zastanawiał się, czy to z tego miejsca dwadzieścia cztery lata wcześniej leciał do Lasu Ayugi. Nie pamiętał.

Czekając na Florence, zadzwonił do prezesa wydawnictwa. Tomek oschłym tonem poinformował go, że oczekuje, iż zakończy, jak to ujął, „prywatne krucjaty” i natychmiast wróci do Polski. Wiktor miał na końcu języka pytanie: „Bo co? Wyjebiesz mnie?”, ale zagryzł zęby i powiedział:

- Jak tylko załatwię to, co muszę. – Po drugiej stronie zapadła cisza.
- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Florence przyjechała dwadzieścia minut po nim. Rozmawiała przez komórkę, a kiedy wsiadła do helikoptera, otworzyła laptopa. W trakcie ponadgodzinnego lotu nie zmienili słowa. Na lądowisku w Kampali

czekali na nią mężczyźni w garniturach. Do Wiktora podszedł młody chłopak, powiedział, że zawiezie go do mieszkania. Florence była pogrążona w rozmowie, nie zwracała na niego uwagi. Nie wiedział, czy i jak się pożegnać. Wtedy zawibrowała jego komórka. SMS od Marcina.

## Kwiecień 1996

Był zdenerwowany. Przyszedł dużo za wcześnie, powoli sączył sok z marakui. W eleganckich ogrodach hotelu Sheraton położonego w centralnym punkcie Kampali, ponad chaosem zabieganego miasta, na wzgórzu Nakasero krzątali się zaaferowani Biali dobijający targów z ugandyjskimi, zairskimi czy rwandyjskimi partnerami. Niektórzy szeptem, nachyleni do siebie, czujnie lustrujący otoczenie, inni tubalnymi głosami przerzucali się tłustymi kwotami. Wiktor patrzył na nich z pogardą. Te obrotne cwaniaczki, co jak misie do miodu leciały do nieszczęścia, kupując pochodzące z podejrzanych źródeł metale szlachetne i płacąc równie podejrzanego pochodzenia bronią. Ale czy naprawdę był od nich lepszy? Zarabiał na życie, pisząc ckliwe teksty o nieszczęściach Afryki, które w Polsce drukowano za gówniane pieniądze, bo w Polsce Afryka nikogo nie obchodziła. Z Holandii dostawał pieniądze dużo lepsze. Tak czy inaczej, płacono mu za kryjące się za literkami ludzkie nieszczęście. Może powinien być trochę bardziej powściągliwy w osądach moralnych.

Weszła z przystojnym mundurowym. Przez myśl przemknęło mu pytanie, czy mężczyzna ma na sobie mundur, bo dopiero wyszedł z pracy, lubi go, czy też chciał wyrzucić na nim wrażenie. A może delikatnie go zastraszyć? A może wam, kolego Tilszer, główka przesadnie analizuje dane? Podeszli do stolika. Wstał. Florence ich przedstawiła: Robert, Wiktor. Usiedli. Podeszedł kelner, rodzeństwo zamówiło napoje. Zapadła cisza. Przerwała ją Florence.

– Robbie, oto on, mój wybawca, brakuje mu tylko pelerynki. – Zaśmiała się trochę zbyt nerwowo. Jej brat nie zareagował, za co Wiktor w duchu mu podziękował. Nie chciał jeszcze raz roztrząsać wydarzeń sprzed kilkunastu dni. Znów zapadło milczenie.



– Moja rodzina jest ci niezmiernie wdzięczna. – Robert patrzył Wiktorowi prosto w twarz, ale w jego oczach na pewno nie można było dostrzec wdzięczności.

– Naprawdę nie ma za co. Ratowałem Florence, Florence ratowała mnie.

Znowu milczenie.

– Jak długo planujesz zostać w Ugandzie? – Wojskowy znów popatrzył mu w oczy, po czym na chwilę przeniósł wzrok na siostrę. Uciekła spojrzeniem. Wiktor spodziewał się tego pytania, ale i tak się zmieszał. Zwłaszcza że nie wiedział, co Florence powiedziała bratu o charakterze łączącej ich relacji. Gdy ją o to pytał, zbywała go żartami.

– Nie wiem, nie planuję wyjazdu. Na pewno zostanę do wyborów prezydenckich...

– Które są już dziewiątego maja – wszedł mu w słowo Robert. – Napiszesz relację i potem dokąd?

– Nie wiem. Nie myślę o tym. Na razie jestem tutaj.

– Nie myślisz o tym... – Żołnierz znów spojrział na siostrę. Tym razem wytrzymała spojrzenie. – No to mamy jeszcze trochę czasu, żebyś nas odwiedził w domu. Rodzice bardzo chcieliby cię poznać.

– Byłbym zaszczycony – odpowiedział Wiktor, czując chłód potu przyklejającego koszulę do kręgosłupa. Przesiedzieli tak jeszcze dwadzieścia minut, prowadząc grzecznościową konwersację o niczym, dopóki nie opróżnili szklanek. Robert uprzejmie się pożegnał i odszedł. Florence wzięła Wiktora pod ramię:

– On się tak zachowuje, bo się o mnie troszczy, będzie dobrze.

Wiktor nie czuł się przekonany.

Środa, 22 stycznia 2020

Zamarł, gdy zobaczył SMS-a od Marcina. Niedowierzenie, szczęście, nadzieja, strach, wszystkie uczucia naraz. Drżącym palcem dotknął ekranu, żeby otworzyć wiadomość. Poczuł ścisk w żołądku, odebrało mu oddech. Patrzył to na telefon, to na Florence. Powiedzieć jej czy nie? Zbierała się do odejścia. Decyzja, decyzja.

– Florence! – krzyknął. Jej rozmówcy spojrzeli na niego z dezaprobatą. Podniósł komórkę. – SMS z telefonu Marcina.

– Natychmiast oddała papiery jednemu z mężczyzn i podeszła do Wiktora. Pokazał jej wiadomość.

– O Boże. – Zakryła usta.

Przerażony Marcin patrzył w obiektyw, w dłoniach trzymał francuskojęzyczną gazetę z dwudziestego drugiego stycznia. Do jego skroni czyjaś dłoń odziana w rękawiczkę przystawiała pistolet. Pod zdjęciem widniała wiadomość po francusku.

– Nie znam francuskiego. – Florence spojrzała na Wiktora. – Rozumiem tylko „dolary”. Okup?

– Tak. „Chcesz zobaczyć syna żywego? Dwadzieścia tysięcy dolarów. Jedź do Gomy, hotel Linda, stamtąd napisz na ten numer. Dostaniesz instrukcje. Masz dwa dni. Jeżeli zawiadomisz policję albo wojsko, nie zobaczysz więcej syna”. – Patrzył bezradnie na Florence. – Kongo? Skąd... I co teraz?

Florence wzięła od niego telefon. Patrzyła na zdjęcie, myślała. Zawołała swojego sekretarza.

– Przełóż wszystkie moje dzisiejsze spotkania.

– Kolację z ambasadorem Indii też?

– O której jest?

– O osiemnastej.

– Cholera. – Spojrzała na zegarek. – Siedem godzin z hakiem. Na razie nie odwołuj. Dopytuj na bieżąco. – Sekretarz kiwnął głową. Florence zwróciła się do Wiktora. – Poczekaj chwilę. – Skierowała się do mężczyzny, z którymi wcześniej rozmawiała. Coś do nich powiedziała, uścisnęła dłonie, odeszli. Wróciła do Wiktora. Chłopakowi, który miał go zawieźć do mieszkania, oznajmiła, że nastąpiła zmiana planów i ma wracać do ministerstwa. Sekretarzowi kazała ściągnąć fixera do „domu w Kololo”. Nie podała adresu, najwyraźniej było oczywiste, co ma na myśli. Działała jak maszyna, obserwowanie jej uspokajało Wiktora, powstrzymywało panikę. SMS rozwalił go na cząstki elementarne, gdyby nie Florence, rozsypałby się. W tej chwili chciał, żeby wzięła wszystko na siebie. Podświadomie czekał na polecenia.

– Idziemy. – Ruszyła do szarego land cruisera. Podążyli za nią. Sekretarz usiadł obok kierowcy, Florence i Wiktor zajęli tył. Kiedy ruszyli, zapytał:

– Co mam robić?

– Poczekaj. Myślę. Daj mi jeszcze chwilę.

Po kilku minutach zadzwoniła do jakiegoś Josepha i poprosiła, żeby przyjechał jak najszybciej do domu w Kololo. Odwróciła się do Wiktora.

– Przynajmniej wiemy, że został porwany. To lepsze niż całkowita niewiedza i niepewność. Pytanie, jak to się stało, że zniknął, jadąc do Gulu, a jego telefon zalogował się tam tydzień później. Kiedy to było?

– Siedemnastego. Pięć dni temu.

– No właśnie. A dzisiaj mamy wiadomość z jego telefonu z Gomy. O ile to jest wiadomość z Gomy.

– Co masz na myśli?

– Napisali, że masz przyjechać do Gomy. To jest fakt. Marcin na zdjęciu trzyma dzisiejszą kongijską gazetę, to też jest fakt. Ale nie wiemy, gdzie tak naprawdę jest i skąd wysłano SMS-a.

– To drugie akurat da się sprawdzić.

– Wiem, ale trzeba by poprosić kongijskiego operatora. Jeżeli dostaną pytanie z Ugandy, od razu zrobią się podejrzliwi. Nasze sąsiedzkie stosunki są... Można by to obejść, ale potrzeba czasu. Którego nie masz.

– Mogę zapytać znajomą w Polsce. To od niej wiem o logowaniach w Gulu.

– Dzwon. Już.

Majewska na szczęście odebrała. Przeszedł od razu do rzeczy, podkreślając, jak wielką rolę odgrywa czas. Jak poprzednio powiedziała, że niczego nie może obiecać, ale że się postara.

– No i jest jeszcze jedna rzecz – stwierdziła Florence. – Kimkolwiek są, najpewniej wiedzą, że jesteś w Ugandzie. Gdyby myśleli, że jesteś w Polsce, to raczej nie dawaliby ci dwudniowego terminu na stawienie się w Gomie. Nie było nic o tobie w gazetach albo telewizji?

– Nie. Tylko zdjęcie Marcina wczoraj w „New Vision”. I mówiłaś, że poleciało wieczorem w telewizji.

– Ale tylko jego zdjęcie i apel o informacje. Nic o tobie.

– To skąd o mnie wiedzą?

– Dobre pytanie.

Zatrzymali się pod bramą w małej uliczce willowej dzielnicy. Zza wysokiego muru widać było tylko korony drzew w ogrodzie. Brama natychmiast się otworzyła. Wjechali na podjazd pod kolonialną willą.

– Czy tu gdzieś mieszkali twoi rodzice?

– Dwie ulice dalej.

Brama się zamknęła. W drzwiach domu powitał ich mężczyzna w marynarce i zaprowadził do salonu. Czekał już w nim Joseph, jak się przedstawił, bez nazwiska. Z Florence przywitał się oficjalnie, z sekretarzem przybili piątkę. Widać było, że się znają i lubią. Po chwili dołączył zziębnięty fixer. Florence poprosiła, by usiedli przy stoliku kawowym. Streściła sytuację Josephowi, Wiktorowi powiedziała

wcześniej, że zajmuje się on „researchem”. Najpewniej wywiad – pomyślał.

– Joe, możesz dyskretnie sprawdzić w kongijskim telekomie logowanie polskiego telefonu? Żadnych oficjalnych kanałów. Jak to widzisz? Wiktor próbuje przez Polskę – spytała Florence.

Joseph podrapał się po głowie.

– Załóżmy, że chłopaka naprawdę trzymają w Północnym Kiwu. Oznacza to szereg problemów. Nie można się zwrócić do Kongijczyków, bo to państwo nie funkcjonuje. Nie pomogą, mogą zaszkodzić; pójdzie przeciek, nie zdziwiłbym się, gdyby porywacze mieli wejścia we władzach czy w armii. Wiktor powinien polecieć do Gomy, mieć wsparcie, ale nie wprost od nas. Kongijczycy dostaliby piany, uznaliby, że traktujemy Kiwu jak swoje podwórko.

Bo od trzydziestu lat traktujecie – pomyślał Wiktor. Ile to razy armia ugandyjska sama albo razem z Rwandyjczykami wchodziła do Kiwu tropić rebeliantów albo zabezpieczać wydobycie strategicznych surowców? Irytował się, ale fakty były takie, że w tym momencie ugandyjska samowolka była jak najbardziej w jego interesie.

– Potrzebujemy człowieka z Gomy – kontynuował Joseph – który będzie wsparciem dla Wiktora. Musimy sięgnąć do swoich zasobów. Rozumiem, że ci zależy? – zwrócił się do Florence. Przytaknęła.

– To da się zrobić. Jak tylko skończymy, złapię się z moim kontaktem w Gomie. Poproszę, żeby rozpytał wśród swoich informatorów, może coś słyszeli. Masz jakiegoś człowieka, którego nie powiążą z nami, a który mógłby polecieć z Wiktorem? – zwrócił się do fixera. Ten pomyślał przez chwilę.

– Tak.

Zawibrował telefon Wiktora. SMS od Majewskiej.

– Mam potwierdzenie z Polski. Godzinę temu telefon Marcina logował się w Gomie.

– Okej, jedną sprawę mamy wyjaśnioną – stwierdził Joseph – ale nadal nie mamy pewności, że chłopak faktycznie jest w Kongu.

– Dlaczego mieliby wyciągać Wiktora do Gomy, gdyby trzymali jego syna w Gulu? – zapytała Florence.

– Bo się przestraszyli, że mogą wpaść? Nie wiem. Wczoraj poleciałas do Gulu. Wiedziała o tym połowa miasta. Jeżeli trzymali tam chłopaka, to co za problem przewieźć go do Konga? Do granicy na północ od Jeziora Alberta dojechaliby w niecałe cztery godziny. A ta granica, sami wiecie, jest tylko na mapie, mogli ją przekroczyć niezauważeni.

– Może być i tak – odezwał się milczący do tej pory fixer – że chłopak został sprzedany do Konga. Porwali go, bo na przykład zobaczył coś, czego nie powinien widzieć, albo przez pomyłkę, zlecenie było na kogo innego, nie wiedzieli, co z nim zrobić. Ale sytuacja się zagaściła, bo do akcji wkroczyła pani minister, więc go sprzedali.

– Jak to sprzedali? – zapytał Wiktor.

– Nie wiem, na ile orientuje się pan w sytuacji w Północnym Kiwu – odparł fixer. – Tuż za naszą granicą działa kilkadziesiąt grup zbrojnych. Niektórzy mówią, że nawet nie kilkadziesiąt, ale dwieście. Od dżihadystów z ADF, którzy zresztą są aktywni po obu stronach granicy, po zwyczajnych nieideologicznych bandytów. Każda ma w nazwie demokrację, wolność, lud, Kongo, co pan tam chce. Każda jest powiązana z nielegalnym wydobywaniem surowców. Każda niby ma program, ale chodzi wyłącznie o przetrwanie i pieniądze. Pewnie pan słyszał o koltanie. Jest potrzebny do produkcji kondensatora tantalowego, bez którego nie obejdzie się żaden smartfon ani laptop, a tak się składa, że praktycznie cały koltan świata pochodzi z Konga, w dużej mierze z Północnego Kiwu, co ktoś ładnie określił jako skandal geologiczny. Tam jest wszystko: diamenty, złoto, cyna, szlachetne drewno. Nie ma za to żadnej władzy. Rząd panuje tylko nad Gomą, i to też nie zawsze. Wysyła żołnierzy, którym nie chce się wojować, bo niby po co, często jakiś

kapitan rządowego wojska zamiast walczyć z rebeliantami, dezertuje i zakłada kolejną partyzantkę. Potem rząd z nim negocjuje, płaci mu, żeby przeszedł na jego stronę, on wraca już nie jako kapitan, tylko pułkownik albo generał. A jak uzna, że mu za mało zapłacili, to zaczyna kolejną rebelię. I tak w całym Kiwu. Jest jeszcze MONUSCO, misja stabilizacyjna ONZ, jedna z największych misji ONZ na świecie, ale ona, jak to misje ONZ, nie może walczyć. Pomaga logistycznie, no i samą swoją obecnością trochę odstrasza i uspokaja, ale jak to ONZ, tylko trochę. Ich żołnierze nie chcą ginąć w tym domu wariatów. Tam jest pełno Urugwajczyków. Po co Urugwajczyk ma ryzykować życie w Północnym Kiwu? Tak naprawdę, i do tego zmierzam, tam się liczą tylko pieniądze. Wszystkie te hasła polityczne to zasłona dla mniej lub bardziej zorganizowanej przestępczości. Gangi, które nazywają się armiami powstańczymi, kontrolują dzikie kopalnie i przemysł za granicę. Europejczycy i Amerykanie, teraz Chińczycy, którzy próbują tam robić interesy, też płacą rebeliantom, a niektórych wspierają, bo mają w tym interes. No i są jeszcze żołnierze rządowi, którzy po godzinach dorabiają, łupiąc wieśniaków. Czasami jak im się trafi na drodze samotny samochód organizacji pomocy humanitarnej, porywają jej pracowników dla okupu. Jest tych grupiek zatrzęsienie, więc jeżeli naszym porywaczom z Gulu, nazwę ich tak dla uproszczenia, zaczął się palić grunt pod nogami, to mogli na szybko sprzedać zakładnika jakiemuś kongijskiemu watażce. I wtedy to jest już zupełnie inna historia.

– Jak mają się do tego wypadki Wiktora? – zapytała Florence.

– Nie wiem. Może nie mają związku. Może to splot bardzo dziwnych przypadków, zbiegi okoliczności.

– Nie lubię zbiegów okoliczności – stwierdziła.

– Są jeszcze dwie sprawy praktyczne – wtrącił się Wiktor. Jeżeli mam się znaleźć w Gomie w ciągu dwóch dni, a najlepiej jutro, to chyba potrzebuję wizy.

– Potrzebujesz – opowiedział sekretarz. – Załatwimy to. Kongijczycy są strasznymi biurokratami i formalistami. Jeżeli wiza potrzebna jest na jutro, możliwe, że będziemy musieli ją wystawić sami, jeśli wiesz, o czym mówię. Ale będzie dobra, zaufaj. A oni mają taki bałagan, że nic ci nie grozi. Nie z powodu wizen. Pójdę dzwonić, okej? – zwrócił się do Florence. Kiwnęła głową.

– I druga sprawa – odezwał się Wiktor – te dwadzieścia tysięcy dolarów. Mam je załatwić?

– Na pewno nie zwracaj się do swojego rządu, bo oni z automatu odezwą się do Kinszasy i wtedy naprawdę wszystko może się skomplikować – powiedziała Florence.

– Są jeszcze inne powody, dla których nie powinienem zwracać się do mojego rządu.

– Co masz na myśli?

– Dłuższa historia.

Spojrzała na niego pytająco, ale machnął ręką, więc uznała, że to nieistotne.

– Jeżeli potrzebujesz zadzwonić do domu w sprawie pieniędzy, to to zrób, ale na razie ich nie ruszaj – powiedziała Florence.

– Czy to nie jest podejrzane, że chcą za Marcina tylko dwadzieścia tysięcy dolarów? Wiem, że to dużo pieniędzy, ale z drugiej strony jakoś dziwnie mało. Czy naoglądałem się za dużo filmów?

– Tam porywają i za sto dolarów. Serio. Zwłaszcza od kiedy niewielkie okupy można płacić za pomocą SMS-ów. Za zagranicznych pracowników organizacji humanitarnych biorą oczywiście więcej, ale to często jest kilka tysięcy. Więc te dwadzieścia to jest dużo. Więcej wzięliby za syna kongijskiego biznesmena, wiedzieliby, że rodzinę stać. Nawet jeśli cię zgooglowali, to z wysokością okupu raczej strzelali.

– Zawijajmy do portu. Na jutro masz wizę. Ty – Florence wskazała na fixera – załatwiasz mu towarzysza podróży. Joe szykuje człowieka



w Gomie i rozpoznanie wywiadowcze. Ja koordynuję i może, muszę się jeszcze zastanowić, pytam naszych trudnych rwandyjskich przyjaciół, czy mogliby pomóc wywiadowczo.

– Jeszcze jedna sprawa – odezwał się fixer. – Czy Wiktor powinien lecieć do Gomy bezpośrednio z Kampali? Wiedzą, że tu jest, mogą obserwować lotnisko w Gomie. Chyba lepiej, żeby nie wiedzieli wszystkiego. Może polecieć do Rwandy i przejść na piechotę z Giseni do Gomy, albo jeszcze lepiej, podstawcie go helikopterem na rwandyjską granicę, stamtąd to rzut beretem, weźmie taksówkę, nie namierzą go wcześniej.

– Mogą mieć kogoś także na przejściu Giseni–Goma. Ale zgadzam się, że najprawdopodobniej skupią się na lotnisku. Tak zrobimy – skomentował Joseph i podrapał się po brodzie. – A tak w ogóle, coś mi się tu nie podoba. Coś tu trzeszczy.

Maj 1996

Czekający na prezydenta Museveniego tłum tańczył i śpiewał. Wiktor miał świetny punkt obserwacyjny. Stał na zbitym z desek podeście, na który wpuszczono tylko wybranych dziennikarzy. Dostrzegł logo CNN i Reutera, przywitał się z poznaną wcześniej korespondentką BBC. Znał też z widzenia prorządowego ugandyjskiego publicystę. Ekskluzywną miejscówkę zawdzięczał Florence, choć długo się opierał. No może nie długo, ale trochę tak.

Bardzo chciał zobaczyć wiec Museveniego w rejonie, gdzie cieszył się on szczególnie dużą popularnością. Tak jak tu, w miasteczku o półtorej godziny na zachód od stolicy. I pewnie przyjechałby tu autobusem i stał gdzieś daleko, żeby nie rozdeptał go rozemocjonowany tłum, ale gdy podzielił się swoimi planami z Florence, ta zaklaskała radośnie i powiedziała, że wujek Fred zabezpiecza wiece prezydenta, więc żaden problem, by zabrał Wiktora i zapewnił mu dobry punkt obserwacyjny, wgląd od kulis, może nawet pojawi się szansa na zamienienie kilku słów z prezydentem. Wujek Fred był przyjacielem ojca Florence, pułkownikiem armii ugandyjskiej, ale najważniejsze było to, że wszyscy trzej – Museveni, ojciec Florence i on – znali się jeszcze z czasów partyzanckich. Bliski krąg zaufania.

Perspektywa była kusząca, ale równocześnie czułby się nieswojo, zajeżdżając na wiec w asyście wojskowych. Bił się z myślami. Ostatecznie Florence przekonała go tym, że pojedzie razem z nimi. Ot, wycieczka.

Wiec miał się zacząć o drugiej po południu, ale przyjechali po niego już o świcie. W twarzach wychodzących do pracy mieszkańców Wiktor dostrzegł zdziwienie na widok wojskowego samochodu zabierającego ich białego sąsiada. Był jedynym Europejczykiem mieszkającym w tej części

oddalonej od centrum Kampali dzielnicy Kansanga. Trudno, wytłumaczy się po powrocie przy piwie z narożnego kiosku.

Florence przedstawiła go wujkowi Fredowi, który uśmiechnął się szeroko, zgniótł jego dłoń w powitaniu i serdecznie walnął po wciąż obolałym barku. Wiktorowi stanęły w oczach łzy, przez chwilę myślał, że zemdleje. Przestraszona Florence wykrzyknęła:

– Wujku! On tu miał ranę! Nie wal go tak.

Wujek Fred się stropił i nie bardzo wiedząc, co zrobić, kilka razy szturchnął Wiktora pięścią w klatkę piersiową. Nie pomogło. W tej chwili całe jego ciało było bólem.

– Dobry chłopak. Uratowałeś naszą małą Florence. Co słyhać u Zibiego?

Wiktor poczuł, że nie nadaża.

– U kogo?

Wujek Fred wyglądał na zszokowanego pytaniem.

– U Zibiego! Trzy bramki z Belgią na mundialu w Hiszpanii! Juventus Turyn! On i Platini bum, bum! Nie jesteś kibicem?

– O Jezu, Boniek, tak, kocham go, oczywiście, że go kocham. Chyba jest teraz trenerem we Włoszech, ale raczej mu nie idzie.

– Szkoda. Wielki piłkarz. A kto jest teraz lepszy: Widzew Łódź czy Legia Warszawa? – Wujek Fred nie przestawał zaskakiwać.

– Dawno nie miałem wiadomości z Polski. Chyba idą łeb w łeb.

– A ty za kim jesteś?

– Za Legią.

– Pięknie!

Wiktor podejrzewał, że gdyby przyznał się do kibicowania Widzewowi, wujek Fred też byłby zachwycony. Wyglądało na to, że życie, a na pewno piłka nożna, wprawiają go w stan euforii. Nie pociągnął myśli, bo pułkownik już unosił potężną dłoń, by powtórzyć niedźwiedzi i – przynajmniej w założeniu – przyjacielski cios. Zreflektował się chyba

w ostatniej chwili, ręka zawisła w powietrzu, po czym wytarł włosy Wiktora.

– To mój adiutant Edward. – Wskazał na siedzącego obok młodego żołnierza, który przyglądał się białemu gościowi.

– I mój przyjaciel od dzieciństwa – dodała Florence, ściskając rękę Edwarda. O ile wujek Fred miał niezwykle ekspresyjną mimikę, o tyle twarz jego adiutanta wydawała się pozbawiona jakichkolwiek emocji.

Następne dwie godziny były jednym wielkim show wujka Freda. Opowiadał anegdoty z partyzantki, przeskakiwał na piłkę nożną, skarżył się na żonę, która nie pozwalała mu jeść słodczy i kazała schudnąć, wypytywał Wiktora o sytuację w Polsce i o to, co sądzi o nowej *Szklanej pułapce*. Dzielił się zabawnymi historiami z dzieciństwa Florence i Edwarda i stwierdził, że to aż dziwne, iż nie zostali parą. Wiktor odniósł wrażenie, że na te słowa Florence się zmieszala, a po nieruchomej twarzy Edwarda przemknął cień. Trwało to ledwie ułamek sekundy, zresztą wujek Fred nie dał mu czasu na zastanowienie, bo zaczął dopytywać, czy uważa Kiplinga za rasistę, co wie o historii Ugandy i jakie lektury angielskich autorów czytał w szkole. Wiktor zastanawiał się, jak wygląda druga twarz jowialnego wujka Freda. Bo raczej nie poczuciem humoru i anegdotami zdobył taką pozycję w armii i polityce.

Na miejscu czekał na nich tłumek wojskowych różnych stopni. Witali się z wujem Fredem, w zależności od rangi serdecznie bądź z respektem. Nietrudno było zauważyć, że jest lubiany i szanowany. Niżsi szarżą z pozorną nonszalancją zbijali piątki z Edwardem. I wszyscy ciepło witali Florence. Koledzy wuja Freda traktowali ją jak bratanicę pułku, obejmując po ojcowsku, mierzwiąc włosy, pytając o rodziców i braci. Młodzi żołnierze wpatrywali się w nią poważnie, lekko zawstydzeni albo – jak zdało się Wiktorowi – z ledwo skrywanym pożądaniem. To był jej świat, jej duża rodzina, jej kod kulturowy. Mogła nie zgadzać się z poglądami ojca, polityką prezydenta, mogła chcieć iść przez życie

własną ścieżką, ale – jak mawiał jego warszawski listonosz – gena nie wydłubiesz. Tu, na tej rozpalonej słońcem czerwonej ziemi, między ludźmi w mundurach, osadzone było DNA Florence. Wiktor jeszcze nigdy w jej towarzystwie nie czuł się tak obcy.

– Chodźmy coś przegryźć! – krzyknął wujek Fred i zanim Wiktor się zorientował, walnął go w ramię na zachętę. Tilszerowi gwiazdy zawirowały przed oczyma, ból uderzył prosto do mózgu, ledwo ustał na nogach. Wujek Fred stropił się ponieważ i nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji, powtórzył apel.

– No, bo umrzemy z głodu. – Ruszył do wojskowego namiotu na zapleczu mównicy.

– Przepraszam cię – szepnęła Florence – on zawsze taki był. Jak się ze mną wita, to się boję, że mi połamię żebra. Mama mi opowiadała, że kiedy byłam mała, tak mnie podrzucał, że upuścił na podłogę.

– I pewnie spadłaś na głowę, skoro się zadajesz ze mną.

– Głupek. – Szturchnęła go lekko.

– Ale to jest naprawdę bardzo śmieszne. Co prawda, jak jeszcze raz pacnie mnie po plecach, to zemdleję, ale mnie to śmieszy.

– Przepraszam, ale mnie też – zaczęła chichotać jak dziecko, zarażając swym śmiechem Wiktora. Próbował się uspokoić, gdy zauważył wbite w nich spojrzenie Edwarda. Przestał się śmiać.

Środa, 22 stycznia 2020

Wyszedł do ogrodu. Najpierw zadzwonił do Agaty. Popłakała się, usłyszawszy, że Marcin został porwany. Sama siebie pocieszała, że przynajmniej wie, że żyje. Gdy wspomniał o dwudziestu tysiącach dolarów, od razu powiedziała, żeby brał ze wspólnego konta wszystko, z własnego przeleje mu brakującą kwotę. Wzmiankę o wyjeździe do Gomy starał się podać między informacjami o wspierających go ugandyjskich służbach specjalnych, jak ujął to w znacznym uproszczeniu, ale Agata zareagowała błyskawicznie:

– Jak to do Konga?

– W sumie trudno ten region nazwać Kongiem, to takie Kongo nie Kongo, Goma to inny świat. Są tam wojska ONZ-u, sporo Białych, lecę z jednym ochroniarzem, na miejscu czeka na mnie drugi, wszystko pod kontrolą.

– Wiktor, błagam cię. „Kongo nie Kongo”? Serio? – Pociągała nosem. – Od razu wpisałam w Google’a. Rozłożył przede mną cały pakiet atrakcji turystycznych od wojny domowej po ebolę, przed którą wszyscy ostrzegają, no tak, piszą, że to teraz epicentrum eboli. I Jezu, jakieś milicje, to całe Kiwu jest na szczycie najniebezpieczniejszych miejsc na świecie. Departament Stanu przestrzega przed podróżami, Foreign Office to samo i jeszcze wulkan aktywny...

– Agata, z daleka to zawsze gorzej wygląda...

– Ty i te twoje teorie!

– Ale tak jest. Goma jest bezpieczna, w dodatku będę w towarzystwie zawodowców. A ebola jest tylko w wioskach pod miastem – to akurat sprawdził na szybko wzorem żony w internecie – a tam się nie wybieram. Tak samo do dżungli czy w góry, gdzie są milicje. Serio. – Miał nadzieję,

że przynajmniej częściowo ją uspokoił, bo pożegnali się w dobrej atmosferze.

Drugi telefon był trudniejszy. Jak przekazać wieści Monice? Serce jej pęknie na kawałki. Może nie mówić? Najpierw rozpoznać sytuację? Z wiadomości się nie dowie. Ale czy matka nie powinna wiedzieć, że jej syn został porwany? Kurwa.

Chodził po ogrodzie. Myślał. Napisał SMS-a do Agaty, że to top secret i gdyby Monika dzwoniła, to Agata nic nie wie. Odpisała emotką z płaczącą buzią. Do Moniki napisał, że za sprawę wzięły się ugandyjskie służby i że jutro, pojutrze powinien wiedzieć więcej. Chciał dodać coś pocieszającego, ale wolał nie zapeszyć.

W oknie zobaczył machającą na niego Florence. Wrócił do domu.

– Masz wizę.

Uniósł brwi w zdziwieniu, a ona przewróciła oczami, jakby mówiła „oj tam, oj tam”.

– Bądź spokojny. To dobra wiza, gwarantuję. Mój sekretarz jeszcze pracuje nad zaproszeniem, bo na granicy mogą żądać potwierdzenia.

– A co z moim towarzyszem podróży?

– Fixer go przywiezie. Zrobimy tak, jak proponował. Polecicie helikopterem do Kisoro, blisko granicy z Rwandą. Stamtąd macie dwie godziny samochodem do Gomy przez Rwandę, no powiedzmy, dwie i pół godziny, bo musisz kupić wizę tranzytową, ale to czysta formalność. Przejście graniczne między Giseni i Gomą jest czynne do dziesiątej wieczorem, więc noc spędzisz już w Kongo.

– Kongo nie Kongo... – mruknął po polsku.

– Co?

– Nic, dzięki. Świetnie. Muszę tylko pod drodze kupić ładowarkę i powerbanka.

– Dam znać sekretarzowi. Przywiezie ci. A my się teraz pożegnamy. Mój kierowca cię odwiezie.

– Florence... – Ton jego głosu sprawił, że od razu mu przerwała.

– Powiedziałam ci wyraźnie i nie zmieniałam zdania: nie chcę słuchać żadnych wyjaśnień. Nie jestem dziewczynką, nie trzeba mnie pocieszać. Zechcę, zapytam. Skup się i znajdź Marcina.

– Dziękuję, Florence.

– Nie ma za co. Robię to dla swojego poczucia moralnej wyższości. – Po czym pocałowała go w policzek. O ten ułamek chwili dłużej, niż zwykli to czynić na pożegnanie znajomi. Poczował jej zapach. Zakręciło mu się w głowie.

– Idź już.

\*

Obok helikoptera czekali sekretarz, fixer, Joe i mężczyzna koło czterdziestki.

– Billie będzie ci towarzyszył – przedstawił go fixer. Podali sobie dłonie. Sekretarz dał mu dwie ładowarki, kable, dwa powerbanki i druk A4.

– To jest kongijskie zaproszenie na twoje nazwisko – wyjaśnił. – Zrób zdjęcia komórką, nie bierzesz go, bo powinno zostać w ambasadzie, kiedy składałeś wniosek. Wiza jest wydana przez ambasadę Konga w Kampali. Powinieneś ubiegać się o nią w Polsce, bo macie ambasadę Konga w Warszawie, ale na to już za późno. Poza tym to zbyt skomplikowane w tak krótkim czasie. Więc na wszelki wypadek wkleję ci w paszporcie pozwolenie na pracę w Ugandzie, to wyjaśniałoby, dlaczego aplikowałeś w Kampali. Ale nie sądzimy, żeby ktoś tak dokładnie to sprawdzał. Wiza jest, zaproszenie jest. Daj paszport. A i jeszcze to – z samochodu wyjął mały plecak – musisz mieć jakiś choćby symboliczny bagaż. Dziwny byłby z ciebie turysta w jednych spodniach i koszuli. Kupiłem bieliznę, tiszerty, kosmetyki i jakąś powieść. Zawsze to lepsze niż nic.



Joe dał mu numer do kontaktu w Gomie, mężczyzna nazywał się Honoré.

– Billie mu cię przekaże. Z rąk do rąk. Możesz mu ufać. Oficjalnie ma kilka biznesów, eksport, import, zakład fryzjerski, bary, restauracje, te rzeczy, szanowany obywatel. Już wie, o co chodzi, zaczął rozpytywać. A uwierz mi, ma zadziwiającą liczbę kontaktów w najdziwniejszych miejscach.

– To on mnie niby zaprasza?

– Nie. Nie chcemy zostawiać takich śladów.

– A kto?

Joe zajrzał w papiery.

– Jakiś Jean Claude, ma biuro turystyczne. Nie sprawdzą.

Trochę za dużo tych „nie sprawdzą” – pomyślał Wiktor. I nagle zdał sobie sprawę, że nikt nie poruszył kluczowego tematu.

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i znajdziemy Marcina, to jak ja go stamtąd wywozę? Przecież nawet jeżeli będzie miał paszport, to bez kongijskiej wizy. Nie wypuszczą go.

Joe i fixer spojrzeli po sobie.

\*

Dwie godziny później wylądowali pod Kisoro. Podczas całego lotu Wiktor analizował przychodzące mu do głowy scenariusze. Łapał się na tym, że wszystkie nadzieje pokłada w nieznanym mu Honoré, tak jakby ten był wszechmocnym bohaterem kina akcji. A jeśli to wszystko lipa? I Marcina nie ma w Gomie ani w ogóle w Kongu? W dole, w ciepłym blasku zachodzącego słońca lśniło jezioro Bunioni. Długie i wąskie, pełne krętych odnóg wcinających się w zielone wzgórza pokryte tarasami upraw. Obłędnie piękne – pomyślał Wiktor. Jak to wszystko się skończy, przyjadę

tu z Marcinem. Gdzieś z tych okolic pochodziła rodzina Florence. Ćwierć wieku wcześniej Wiktor spędził z nią weekend nad tym jeziorem.

Na lądowisku czekał samochód z kierowcą. Bez słów ruszyli w stronę granicy, do której dojechali po dwudziestu minutach. Na położonym w malowniczej dolince przejściu było pustawo. Ugandyjczycy o nic nie pytali, wbili pieczętki. Znużony rwandyjski żołnierz wskazał Wiktorowi plakat wiszący na granicznym pawilonie, informujący o obowiązku dezynfekcji rąk ze względu na zagrożenie ebolą. Wiktor umył dłonie, zastanawiając się, jak ludzie mogą żyć, gdy cały czas trzeba dezynfekować ręce. Żołnierz zmierzył mu temperaturę i znowu bez słowa wskazał okienko, w którym należało kupić wizę. Szybko poszło.

Zdziwił się, kiedy wjechali do Rwandy. Czyste, zadbane drogi, pomalowane krawężniki, kierowcy przestrzegający przepisów, motocykliści w kaskach, atmosfera ogólnej powolności i spokoju, tak różna od energetycznej, rozedrganej Ugandy. Przypomniał sobie czytany niedawno reportaż. Tutejszy rząd przedstawiał Rwandę jako Szwajcarię Afryki, nie tylko ze względu na urodę górzystego kraju, ale właśnie z powodu porządku i nowoczesnych inwestycji. Twierdził, że panuje tu spokój, tak cenny w miejscu, gdzie nie tak dawno doszło do ludobójstwa. Krytycy mówili o państwie doskonale policyjnym i powszechnym strachu. O wykorzystywaniu pamięci ludobójstwa do uciszania każdej najlżejszej krytyki. Choć – jak przyznawali – społeczeństwu polepszyło się pod względem ekonomicznym. Niespełna dwie godziny później dojechali do kongijskiej granicy.

Przejście znajdowało się w środku położonego pod wulkanem Nyiragongo dużego miasta, którego mniejsza część po stronie rwandyjskiej nazywała się Giseni, a większa, po drugiej, Goma. Kiedy Wiktor tu był w 1996 roku, Goma liczyła sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, teraz pięć razy więcej. Była centrum, świadkiem i uosobieniem koszmaru ostatniego ćwierćwiecza. Widziała, jak opętani

zabójczą ideologią i morderczym amokiem bojówkarze Hutu z milicji Interahamwe w sąsiedniej Rwandzie wymordowali blisko milion swych współrodaków Tutsi. Potem patrzyła, jak dwa miliony Hutu uciekają do Konga przed zemstą Tutsi. Setki tysięcy spośród nich wiodło beznadziejne życie w obozach dla uchodźców wokół miasta. Widziała kryjących się w tych obozach bojówkarzy Interahamwe, którzy atakowali miejscowych kongijskich Tutsich. To przez Gome do Konga wkroczyły ugandyjskie i rwandyjskie wojska, by wesprzeć miejscowych Tutsi i obalić rząd w dalekiej Kinszasie. Widziała, jak władzę w niej zdobywali Tutsi, którzy mieli plan przyłączenia Konga do Rwandy. Była w epicentrum dwóch wielkich wojen kongijskich, z których drugą, tę z lat 1998–2003, nazwano Wielką Wojną Afrykańską ze względu na liczbę zaangażowanych w nią krajów i ogrom ofiar. Wedle szacunków zginęło w niej, zmarło z głodu i chorób ponad pięć milionów Kongijczyków i mało kto się tym na świecie przejął, ale ona to wszystko widziała.

Tak jak sto lat wcześniej, gdy w 1885 roku europejscy władcy podzielili między siebie Afrykę. Kongo przypadło belgijskiemu królowi Leopoldowi II jako prywatna własność o dumnej nazwie Wolne Państwo Kongo. Ot, działka licząca ponad dwa miliony kilometrów kwadratowych, bogata w cenione wówczas kauczuk i kość słoniową. Żeby pozyskać jak najwięcej surowców, oświecony Leopold stworzył okrutny system eksploatacji, który przybrał charakter regularnego ludobójstwa. Wolne Państwo Kongo było piekłem na ziemi.

W 2002 roku Goma z przerażeniem obserwowała wybuch zawsze aktywnego wulkanu Nyiragongo, położonego ledwie kilkanaście kilometrów od miasta. Lawa zalała część lotniska, dopełzła do jeziora Kiwu, mieszkańcy uciekali w panice, setki z nich zginęły. Kiedy skończyła się Wielka Wojna, zaczęły działać mordercze partyzantki. W 2008 roku walczyła o nią armia kongijska i rebelianci jednego z watażków, generała Nkundy. Dwieście tysięcy mieszkańców uciekło w panice. Wtedy obroniła

ją armia, ale cztery lata później zdobyli ją inni rebelianci z ruchu zwanego M23. Dziesiątki tysięcy cywilów znowu w panice porzuciło swe domostwa. Armia była za słaba, by Gomę obronić, rebelianci, by ją utrzymać. W końcu wojska rządowe dostały wsparcie brygady interwencyjnej wchodzącej w skład MONUSCO i Gomę odbiły. I tak to się toczyło. W czasie gdy zbliżał się do niej Wiktor, Gomę kontrolowały wojska rządowe przy wsparciu sił ONZ, ale ich władza kończyła się kilka, kilkanaście kilometrów za rogatkami miasta.

Gdzieś tam podobno był Marcin.

Maj 1996

– Wyglądasz jak pastor! – Florence parsknęła na jego widok, gdy otworzyła drzwi. Coś było na rzeczy. Nie dość, że denerwował się na samą myśl o wizycie u jej rodziców, to jeszcze nie miał się w co ubrać. Miał jedne bojówki i trzy tiszerty. Spodnie niegdyś były brązowe, koszulki odpowiednio zielona, biała i czarna, ale wszystkie zrudziały po miesiącach noszenia, pokrywając się dzień w dzień czerwonym pyłem, którego wypłukać nie było w stanie żadne pranie. Zwłaszcza takie, które najczęściej stosował, czyli miska zimnej wody z kawałkiem szarego mydła. Kolor to jedno, ale podejrzewał też, że jego garderoba, mimo dbania o higienę, wydziela jakiś bliżej nieokreślony globtroterski zapaszek, do którego sam się przyzwyczaił i który w buszu czy na zatłoczonej ulicy nie miał specjalnego znaczenia, ale w eleganckim, jak się spodziewał, domu państwa Kategaya mógł wprawić w lekką konfuzję. I gospodarzy, i jego.

Z samego rana pojechał więc do handlowego centrum Kampali, na targ Nakasero. Lubił jego kolorowy i głośny chaos, uliczne jedzenie, wybór warzyw i owoców. W barku u Hindusa zjadł na stojąco dwie warzywne samosy i poszedł szukać taniego, ale eleganckiego ubioru. Sprzedawcy nawoływali go ze wszystkich stron, on tymczasem wypatrzył Libańczyka, który nikogo nie nawoływał, siedział na krzeselku przed swoim sklepem i studiował serwis sportowy. Obrzucił wchodzącego do środka klienta leniwym spojrzeniem znad gazety, ale nie przerwał lektury, co Wiktorowi pasowało, mógł spokojnie dokonać wyboru. Uznał, że kupowanie marynarki to przesada, ugotuje się, niepotrzebnie wyda pieniądze ze skromnego budżetu, a pewnie nigdy więcej jej w Afryce nie włoży. Bezpiecznym rozwiązaniem były czarne spodnie plus czarna koszula ze

stójką do wykorzystania w każdych warunkach. A teraz stał w drzwiach rezydencji państwa Kategaya i Florence się śmiała.

Dom w położonej na wzgórzu eleganckiej dzielnicy Kololo robił wrażenie. Wielkością, ale przede wszystkim elegancją, prostą architekturą. Wiktor był pewien, że zbudowali go jeszcze Brytyjczycy. Biały budynek w kształcie litery L, na parterze podcienia wychodzące na ogród, na piętrze wielkie okna, dach lekko spadzisty, czerwony. Równiutko przystrzyżony gęsty trawnik otoczony bujnymi krzewami i drzewami, mnóstwo kwiatów i owoców. Mała arkadia oddzielona od świata dwumetrowym bielonym murem. Wiktor wyjątkowo postanowił nie oszczędzać na transporcie i dotarł tu taksówką. Bał się, że pomyli minibusy albo zgubi drogę, szukając na piechotę nieoznakowanych gruntowych ulic, do których nie dociera publiczny transport. No i nie chciał uświnić zjawiskowej kreacji w czerwonych kałużach. Poprzedniej nocy mocno padało.

Florence wprowadziła go do holu, w którym czekali już jej rodzice.

– Wreszcie się spotykamy, to dla nas zaszczyt. Mów mi Nathan. – Mężczyzna wyciągający rękę do Wiktora przewyższał go o pół głowy.

– Wiktor. Bardzo się cieszę. – Wytrzymał stalowy uścisk dłoni.

– Betty. Mama. – uśmiechnęła się kobieta, której Florence była młodszą kopią. – Roberta już poznałeś. – Wiktor spojrział na drzwi salonu, w których pojawił się młody wojskowy. – A to jeszcze nasz Vincent. – Drugi z braci również pojawił się w drzwiach. Wiktor odniósł wrażenie, że przygląda mu się z większą życzliwością niż starszy. Wszyscy mężczyźni byli w koszulach, bez marynarek. Odetchnął z ulgą. Przynajmniej tyle.

– Córka prosiła nas, by nie dziękować ci po raz kolejny za to, co zrobiłeś dla niej na północy, ale jestem jej ojcem, a ona moją małą dziewczynką, nawet kiedy jej samej wydaje się, że jest dorosłą kobietą i nie potrzebuje już taty – zagaił ojciec Florence, gdy służąca zebrała

talerzyki po przystawkach. – Więc dziękuję z całego serca. – Wiktor lekko się skłonił, przykładając prawą rękę do serca. – I muszę jako stary partyzant przyznać, że to było dość imponujące, przynajmniej z tego, co opowiadała Florence.

– Na pewno przesadziła – uśmiechnął się Wiktor.

– Nie sądzę. – Nathan kolistym ruchem przesuwiał kieliszek z winem po stole. – Poza tym zebrałem później trochę relacji. Kilku świadków opowiadało o waszej ucieczce, wieści szybko się rozchodzą. To prawda, po trzech dniach opowiadano już w Gulu niestworzone historie, ale potrafię oddzielić fakty od legend. Doceniam profesjonalne zachowanie.

– Ha, niewiele w tym było profesjonalizmu, raczej intuicja wsparta chęcią przeżycia. Czy może na odwrót. – Wiktor zamilkł na chwilę. – Po prostu reagowałem.

– Bardzo dobrze reagowałeś. – Nathan gromko się zaśmiał, synowie na chwilę dołączyli i równie szybko zamilkli. – No ale chyba byłeś szkolony?

– Szkolony? – Wiktor w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Wojsko, służby specjalne, wywiad... – wymieniał Nathan. Teraz Wiktor parsknął śmiechem, ale szybko się uspokoił, zastanawiając się, o co tak naprawdę pyta tata Florence.

– Nie byłem w wojsku, nawet nie miałem szkolenia wojskowego na studiach, bo upadł komunizm i akurat z niego zrezygnowano.

– Czyli nie wszystko w tym komunizmie było takie złe! – zaśmiał się ponownie Nathan. – Ale byłeś już wcześniej na wojnach, tak mówiła Florence. – Spojrzał na córkę. – Ktoś cię przygotowywał?

– Wiem, że angielscy, amerykańscy czy francuscy dziennikarze, no zachodni w każdym razie, mają profesjonalne szkolenia przed wyjazdami w gorące miejsca. Opowiadała mi koleżanka z Reutersa. Zamknęli ich w koszarach, uczyli teorii, kazali się czołgać w błocie, a w nocy nawet na niby porwali. Przy czym to na niby było bardzo realistyczne, worek na głowę, rzucanie na pakę furgonetki. Mówiła, że całe ciało miała po tym

w sińcach. No ale w Polsce takich szkoleń nie robią. Szkoda, chętnie bym skorzystał. Parę lat temu na Kaukazie goście, o których pisałem, nauczyli mnie podstawowej obsługi kałasznikowa i to wszystko. Teraz mi się przydała. – Urwał. – Ale nikt mnie nie przygotowywał. Tak jak cywili, na których spada wojna. Choćby na północy.

Zapadła cisza. Zreflektował się, może niepotrzebnie wygłosił ten poważny wykład.

– Tata chyba podejrzewa, że jesteś filmowym superszpiegiem, prawda, tato? – zapytała Florence teatralnie dramatycznym głosem.

– A żebyś wiedziała, Flo. – Wiktor postanowił pomóc Nathanowi i pociągnął swoją opowieść. – To było tak kompletnie nierzeczywiste, że wmawiałem sobie, że to musi być film, zastanawiałem się, co by zrobili jego bohaterowie. Tego chyba nie uczą na szkoleniach – zaśmiał się, a na stół na drewnianych tacach wjechały parujące sakwy z liści bananowców.

– Jadłeś już kiedyś *luwombo*? – zapytała mama Florence.

– Takiego pysznego, sądząc po zapachu, na pewno nie.

– Lizus – skomentowała Florence. – Ale przypadkowo masz rację. Nikt w Ugandzie nie robi lepszego *luwombo* z koźlęciny niż moja mama.

Danie faktycznie było przepyszne. Mięso rozpływało się w ustach, idealnie dopełnione pomidorami, cebulą, grzybami i orzeszkami ziemnymi, całość była aromatycznie przyprawiona. Drobiowe *luwombo*, które jadł wcześniej, mogło się schować.

– Przeczytaliśmy z zainteresowaniem twój artykuł w „New Vision” o sytuacji na północy – zagaił Robert, gdy uporali się z głównym daniem i przenieśli na wygodne sofy na wchodzącym w ogród tarasie. A jednak Wiktor miał cichą nadzieję, że ten temat nie wypłynie. – Podobno podniosłeś ciśnienie generałowi Salehowi. No, no. Jestem pod wrażeniem. – Robert patrzył Wiktorowi w oczy i uśmiechał się ironicznie. Ironicznie? Jego wyraz twarzy mógł oznaczać wszystko. Wiktor odpowiedział uniesieniem kącików ust, choć specjalnie do śmiechu mu nie było. Odkąd



ukazał się jego tekst o wojnie na północy, a ściślej od momentu, kiedy pojawiły się pierwsze reakcje, czuł nawracający ból brzucha.

Kiedy wrócił z Lasu Ayugi, zgłosił się do redaktorów lekko krytycznej wobec władzy gazety „Monitor” z pytaniem, czy chcą reportaż ze zdjęciami. Chcieli. Męczył się strasznie, pisząc po angielsku, ale tekst się ukazał, z zapowiedzią na pierwszej stronie, a Wiktor cieszył się chwilową sławą gwiazdy ugandyjskich mediów. Potem napisał jeszcze jeden kawałek, aż któregoś dnia zadzwonił do niego sam William Pike, naczelny dziennika „New Vision”.

Pike był w Kampali żywą legendą. Brytyjczyk trafił do Ugandy jako młody dziennikarz jeszcze w latach osiemdziesiątych. Towarzyszył w dżungli ówczesnym rebeliantom Yoweriego Museveniego, który kilka lat później wszedł tryumfalnie do stolicy, został prezydentem kraju i zaproponował cudzoziemcowi stanowisko redaktora naczelnego oficjalnej gazety.

Brytyjczyk, co nie dziwiło, był uważany za człowieka Museveniego, ale cieszył się dużą niezależnością i opinią uczciwego dziennikarza. Zaproponował Wiktorowi napisanie tekstu publicystycznego o tym, co zagraniczny reporter sądzi o Wojnie Ducha Świętego. Wiktorowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Napisał o splocie historycznych uprzedzeń, o spirali podejrzliwości, o ugandyjskim domu wariatów, w którym każda ze stron zakłada złą wolę oponenta i w którym najdziksza, najbardziej szalona plotka brana jest za pewnik. Żartował z przekazywanej z ust do ust informacji o tym, że Museveni i Saleh to tak naprawdę Tutsi z Rwandy. I starał się przedstawić racje Aczoli, ich gigantyczne poczucie krzywdy, prawie nieobecne w stołecznych mediach. Pike był zadowolony, więc Wiktor też był zadowolony. Nawet bardzo. Do momentu kiedy na parę dni pojechał do Gulu przeprowadzić kilka wywiadów.

Jego znajomi Aczoli byli przerażeni. Gratulowali mu odwagi, ale bali się rozmawiać na ulicy. I bali się o niego. Najpierw się zdziwił. Przecież „New Vision” było gazetą rządową, Pike cieszył się zaufaniem prezydenta. Potem się zaniepokoił. Saleh, którego ponownie odwiedził w Gulu, nie wyglądał na specjalnie rozbawionego jego publicystycznymi popisami. Atmosfera spotkania była chłodna, alkoholu nie podano. Generał mimochodem rzucił, że wie o jego kontaktach z Norbertem Mao i o wspólnym piwku z tym młodym politykiem Aczoli, którego uważał za kryptorebelianta. Wiktor próbował tłumaczyć, że to przecież legalny kandydat do parlamentu, do niedawna szef studenckiego samorządu na stołecznym Uniwersytecie Makerere. Saleh kiwał głową i uśmiechał się ironicznie.

Wiktor zastanawiał się też, co może wyniknąć z tego, że każdy w Gulu wie o jego dość zażyłych kontaktach z komendantem. Saleh był na północy znienawidzony jeszcze bardziej niż jego brat prezydent. Był przedstawicielem okupanta. Wiktor pamiętał, jak po jednej ze wspólnych popijaw adiutanci generała odwieźli go do ludzi, u których spał, bo Saleh nie zgodził się – całkiem słusznie – by wracał po ciemku na rowerze. Ostatnie, czego potrzebował, to porwany albo zamordowany europejski dziennikarz. Gospodarze, kiedy otworzyli drzwi po natarczywym waleniu i zobaczyli ludzi generała, byli przerażeni. Mówiąc krótko, zrobiło się trochę nerwowo, a atmosfera wokół Wiktora się zagęściła. Wracał do Kampali z ulgą, która ulotniła się, gdy ten i ów znajomy dziennikarz zażartował z jego braku instynktu samozachowawczego. Florence nie dostrzegała problemu. A może udawała przed nim, że go nie dostrzega. A teraz Robert odpalił racę, wywołując temat przy stole. Wiktor poczuł, że nieprzyjemne ukłucie w brzuchu wraca.

– Naprawdę? – Zdziwił się teatralnie. – Sam generał Salim Saleh we własnej osobie odniósł się do mojego tekstu? – pokpiwał, mimo że doskonale wiedział, iż komendant nie był zachwycony tym, co napisał.

– To tylko jeden artykuł – uprzedził syna Nathan. – Ale niektórzy mogli być zdziwieni, że tak otwarcie przedstawiasz racje Aczoli. No i jeszcze ta kwestia pochodzenia... – Skrzywił się i podrapał w głowę. – My wiemy, że żartowałeś, ale różni ludzie mogli pomyśleć różne rzeczy.

Jeżeli ojciec Florence chciał Wiktorowi pomóc, to niespecjalnie mu się udało.

– Rozumiem – odpowiedział Wiktor. – Ale naprawdę słyszeliście o reakcjach na górze? Czy to tylko takie gadanie, komuś się wydało, że ktoś się zdenerwował?

Nathan spojrzął na synów, przeniósł wzrok na Wiktora i już miał coś powiedzieć, gdy odezwał się milczący dotąd Vincent.

– Parę osób naprawdę się zezłościło.

Ciszę, która zapadła po jego słowach, przerwała matka Florence.

– Oj, przestalibyście już, tylko polityka i polityka! Nic złego się nie stało, za chwilę wszyscy zapomną. Lepiej opowiedz nam o swoich planach.

Wiktor nie był przekonany, czy za chwilę wszyscy zapomną, ale był wdzięczny matce Florence za próbę zmiany tematu. Inna sprawa, że nowy temat również nie należał do najprostszyc

– Właśnie, o ile pamiętam, planowałeś zostać do wyborów prezydenckich, które mamy już za sobą. I co teraz? Wracasz do Europy? – zapytał Robert.

Wiktor kątem oka zauważył, że Florence gwałtownie odwróciła się w stronę brata. Zanim zdążył zastanowić się, co odpowiedzieć, usłyszał jej głos.

– Okej, mieliśmy jeszcze wam tego nie mówić, ale skoro tak was ciekawią plany Wiktora... I w sumie moje... – Urwała, a Wiktor zamarł. Jezu, co ona kombinuje?

Środa, 22 stycznia 2020

– Zawód? – Strażniczka graniczna od kwadransa przeglądała jego paszport, studiowała wizę i zdjęcie zaproszenia w komórce Wiktora. Utworzyła się już za nim spora kolejka, ale nikt nie narzekał. Tilszer był zły na siebie, że nie skasował SMS-a z żądaniem okupu i przyjazdu do Gomy. Cholera wie, co tej babie o marsowym spojrzeniu do łba strzeli. A teraz jeszcze to. Nie wiedział, jaki zawód wpisali mu w zaproszeniu. Raczej nie dziennikarz, bo to by się aż prosiło o kłopoty na granicy.

– Pisarz.

– W zaproszeniu podał pan zawód nauczyciel. – Popatrzyła mu w oczy firmowym spojrzeniem zastraszającym każdej straży granicznej świata. Przełknął ślinę.

– Uczę pisania w liceum i na uniwersytecie. Więc jestem i pisarzem, i nauczycielem.

– O czym pan pisze?

– O zwierzętach, przyrodzie.

– Powód przyjazdu do Demokratycznej Republiki Konga?

– Turystyczny.

Kobieta patrzyła na niego w milczeniu. Chyba powinien dorzucić jakiś konkret.

– Park Narodowy Wirunga. Chciałbym wejść na Nyiragongo i zobaczyć goryle górskie.

– Ma pan potwierdzony pobyt w parku Wirunga?

Cholera, nie sprawdził tego. Po co się z tym wrywał?

– W ambasadzie powiedziano mi, że mogę to załatwić na miejscu.

Nie skomentowała, wbiła pieczętkę.

– Następny!

Billie odprawił się trzy minuty po nim. Kiedy tylko wyszli w noc ze szklanego budynku, rzucili się na nich taksówkarze. Joe pokazał Wiktorowi zdjęcie Honoré, ale prawdopodobnie nawet w dzień miałby problem z odróżnieniem go od innych czarnych mężczyzn, a co dopiero teraz, w ciemności przecinanej zimnym światłem słabych latarni. Zawibrowała komórka. Numer Honoré. „Sto metrów do przodu. Czerwona toyota rav 4 z napisem Balzac z tyłu. Stoję obok”.

Po kilkunastu metrach opędzili się od taksówkarzy, ale nie dali rady odgonić zebrzących dzieci. Towarzyszyły im do samochodu.

– Witajcie, przyjaciele! – Mężczyzna, który na powitanie szturchnął Wiktora w bark, od czego Polakowi z bólu stanęły łzy w oczach, był ubrany na czarno. Nosił dzinsy z wielkim logo Armaniego, błyszczącą koszulę, złotą bransoletkę i pasujący do niej naszyjnik. Wyglądał, jakby miał na sobie mundur.

– Głodni?

Nie zaprzeczyli.

– Jecie ryby?

Potwierdzili.

– Świetnie. – Kiedy wsiadali do samochodu, zadzwonił i wydał szybkie polecenia w suahili. – Jedziemy do mojego mieszkania, tam wszystko obgadamy. Nikt nam nie przeszkodzi. Mam takie sekretne mieszkanie na spotkania z przyjaciółkami. Tylko nie powtarzajcie tego mojej żonie! – zaśmiał się tak tubalnie i szczerze, że Wiktor poczuł, jak schodzi z niego napięcie.

Główne ulice były w miarę oświetlone, pozostałe tonęły w mroku. Minęli kolumnę białych ONZ-owskich transporterów opancerzonych. Dojechali na miejsce po piętnastu minutach. Od jeziora delikatnie wiało, a gdy wiatr zamierał, wyraźnie czuć było fetor gnijących ryb, rzucanych jak popadnie pod płotami, śmieci i zapach gotowanych i smażonych w okolicy potraw. Hałasowały owady, skądś dobiegały muzyka i śpiewy.

Sielska noc. Gdy zatrzymali się pod zardzewiałą zieloną bramą, Honoré zatrąbił. Natychmiast otworzył ją siwy mężczyzna w prochowcu i kaloszach. Ledwie zamknęli za sobą drzwi parterowego domku w ogrodzie, ktoś zapukał i w salonie z wielkim telewizorem pojawiła się zawstydzona, może dwunastoletnia dziewczynka z tacą przykrytą serwetą. Postawiła ją na sięgającym do kolan stoliku, dygnęła i uciekła. Honoré zdjął serwetę, odsłaniając wielki talerz rybek przypominających sardynki, obok nich pomidory, cebula i grube frytki polane majonezem i piri-piri.

– *Sambaza!* – ucieszył się – moje ulubione ryby. Dzisiaj łowione, prosto z grilla. Najlepsze w Gomie. Częstujcie się! – I złapał naraz cztery. Facet ewidentnie lubił życie. A jednocześnie była w nim jakaś budząca zaufanie solidność.

– No dobrze. – Honoré otarł usta serwetką, gdy zaspokoili pierwszy głód. – Podzwoniłem, popytałem, odwiedziłem paru znajomych. W zasadzie odkąd zadzwonił Joseph, niczego innego nie robiłem. Szukałem nietypowych historii o Białych. Czegokolwiek. Ludzie o różnych sprawach gadają, czasami mimochodem przekazują informacje, nie zdając sobie sprawy, że dla kogoś mogą być one cenne. Na przykład dla mnie. No wiecie. – Zamilkł, zastanawiając się nad czymś, kiwnął głową na znak, że zgadza się z samym sobą, i sięgnął po garść frytek. Wiktor miał ochotę złapać go za koszulę, żeby wykrztusił z siebie wreszcie, czego się dowiedział.

– Dwie historie. – Pokazał na palcach, przeżuwając. – Pierwsza to Sake, wioska nad jeziorem, w zasadzie miasteczko, ale wygląda jak wioska, godzina stąd w stronę Masisi. Pod tą wsią nad strumieniem, na skałach zaschniętej lawy jest knajpa Mumbiro. Jakies dzieciaki widziały tam ponoć Białego, leżał na łóżku w jednym z zamkniętych pomieszczeń. Problem w tym, że w Sake stacjonuje brygada MONUSCO. Co prawda jej żołnierze to w większości Afrykanie, ale paru Białych też jest. Może

któryś popił i chciał odpocząć przed powrotem do bazy? Tak czy owak, warto sprawdzić. Bezpieczny dojazd. I drugi trop, miasteczko Rutshuru, drogą RN2 na północ, w stronę Jeziora Edwarda, dwie godziny z okładem. Miejscowy mechanik, złota rączka, został wezwany do naprawy agregatu prądotwórczego. Dom z tych porządniejszych, na uboczu, pod miastem, mam zapisane, gdzie dokładnie. Na miejscu dwóch facetów. Kongijczycy. Jeden nazywał się Pascal. Generator był w szopie. Mechanik chciał potem jeszcze sprawdzić bezpieczniki w domu. Na podwórku nie było nikogo, więc zapukał, zapytał, czy może wejść. Ale wiecie, tak cichutko, jak tutejsi, gdy się boją albo kogoś szanują. Honoré ledwo słyszalnie popukał w stolik, nadstawił ucho jak aktor w slapstikowej komedii. Wiktor czuł, że jeszcze sekunda i oszaleje, zacznie wrzeszczeć, wywróci stół z tymi wszystkimi sambazami i frytkami w majonezie, o piri-piri nie zapominając, a nogami od stołu powybijają szyby w oknach. Skończ te tortury, człowieku, do kurwy jebanej nędzy! Mów! Ale zacisnął zęby, żadnym gestem nie chciał pokazać gospodarzowi, że go ponagla.

– Nikt nie odpowiedział, więc facet wszedł do środka, do takiego jakby salonu z kilkoma drzwiami do innych pomieszczeń i się przestraszył, bo natknął się na drugiego z Kongijczyków, który strasznie na niego nakrzyczał, że kto mu pozwolił wejść, natychmiast wynocha. Mechanik powiedział, że musi sprawdzić bezpieczniki, żeby się upewnić, czy wszystko działa. Wtedy w oknie zobaczył odbicie jakichś drzwi. Stał w nich ten Pascal.

Odezwała się skoczna melodyjka. Honoré zaczął grzebać w kieszeni, żeby wyciągnąć telefon. Kiedy wreszcie mu się to udało, dzwonek ucichł. Wiktor nie wytrzymał. Nie potrafił już ukryć napięcia i powstrzymać irytacji.

– Proszę, dokończ.

Honoré ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w ekran komórki, po chwili się otrząsnął. Chyba nawet nie zauważył, że Tilszer siedzi na krawędzi fotela. Dosłownie i w przenośni.

– Oddzwonię później – powiedział sam do siebie. – Na czym ja to? Aha. Mechanik widzi w szybie odbicie drzwi do pokoju, do którego wchodzi Pascal. I wydaje mu się, że na krześle siedzi biała dziewczyna.

Umilkł.

– No i? – zapytał Wiktor, czekając na puentę.

– To było odbicie w szybie, pamiętaj. Dopytałem go. Gdy widział tę scenę, nie wydawała mu się ważna. Nic się nie działo. Ale potem zaczął się zastanawiać, co tam robiła ta dziewczyna. No bo to wszystko trochę dziwne. Myślał, myślał i jak go wprost zapytałem, wyszło na to, że powiedział „dziewczyna”, bo zobaczył włosy do ramion, ale twarz była rozmazana. Spytałem, czy sobie przypomina coś jeszcze. I odpowiedział, że jedną rzecz. Że miała takie włosy jak Szkoci.



## Czerwiec 1996

Dookoła płonęły wioski. Najpierw widzieli tylko wznoszące się z dolin słupy dymu, potem minęli dopalające się chaty, by wreszcie wjechać między zabudowania, pod które nie dalej niż kwadrans wcześniej ktoś podłożył ogień. Wokół żywego ducha. A przecież tuż obok, za ścianą tropikalnych traw i krzewów, tak gęstych, że nie mógł ich przebić wzrok, musieli się kryć wojownicy podpalacze z któregoś z walczących plemion. Pewnie ich obserwowali, czekając, aż intruzi w białym land cruiserze znikną.

Nie zatrzymywali się, jechali piętnaście kilometrów na godzinę górską, kamienistą drogą. Jeżeli ktoś faktycznie ich obserwował, to musiał się zastanawiać, czego szukają w miejscu, z którego wszyscy uciekają. W Masisi, w Zairze, niegdyś Kongu Belgijskim, a w przyszłości Demokratycznej Republice Konga, w przeklętej przez Boga prowincji Północne Kiwu. Chociaż nie, Bóg nic do tego nie miał. To ludzie od dawna stwarzali tutaj piekło. Belgowie, Niemcy, złodziej nad złodziejami, władca Zairu Mobutu Sese Seko Kuku Ngbendu wa za Banga, czyli „potężny wojownik, który z powodu swej siły i nieugiętej woli zwycięstwa niepowstrzymanie kroczy od podboju do podboju, pozostawiając ogień na swej drodze”, żołnierze przysłani ze stolicy, rebelianci, międzynarodowe koncerny spragnione cennych kruszców, które kryła ziemia Kiwu, sąsiedzi z Ugandy i Rwandy, dalecy politycy z Europy, Ameryki i Azji.

Biorąc pod uwagę, jak bardzo trzęsło na tych wertepach, zakrawało to na cud, że Florence zasnęła. Głowa dziewczyny opadła na ramię Wiktora, po kolejnym podskoku wtuliła się w niego. Objął ją, było mu niewygodnie, nie mógł rozprostować kości, ale nie ruszał się, nie chciał jej zbudzić. Czuł ciepło jej ciała, zielone wzgórza za oknami samochodu

przecięte ostrą czerwienią drogi były piękne, a rzeczywistość absurdalna, i chciał, żeby ta chwila trwała, żeby nie musieli wracać do Ugandy, żeby on nie musiał wracać do Polski, żeby zostali tutaj, wyrwani z czasu i kontekstu.

Tydzień wcześniej zamarł, gdy na kolacji u rodziców Florence Robert zapytał go, kiedy wraca do Europy, a ona odezwała się, zanim zdążył coś odpowiedzieć.

– Okej, mieliśmy jeszcze wam tego nie mówić, ale skoro tak was ciekawią plany Wiktora... I w sumie moje... – Urwała, a oczy wszystkich skierowały się na nią. Stropiła się, jakby powiedziała o kilka słów za dużo. Wiktor miał ochotę zapytać ją na ucho: „Co ty odwalasz, dziewczyno?”, ale milczał.

– Wyczuwam jakąś tajemnicę – odezwała się z niepewnym uśmiechem Betty.

Florence jakby się ocknęła.

– Ach, nie, mam, żadna tajemnica. Po prostu jedziemy razem do Zairu. – Nie wyglądała na w pełni przekonaną do tego, co mówi. Wiktor był zdezorientowany, wolał się nie odzywać, póki nie zrozumie, do czego dziewczyna zmierza.

– Dokąd? – Zaskoczony Nathan uniósł brwi, pozostali zebrani też wyglądali na zaszokowanych.

– Do Zairu. Children of the World zleciła, bym zorientowała się w sytuacji w regionie Masisi, jaka pomoc jest potrzebna...

– Ale przecież tam jest wojna, wszyscy walczą ze wszystkimi, tam w niczym nie można się zorientować! – Robert podniósł głos. – Mało ci, dziewczyno, było ostatnich przygód? Ryzykować w Ugandzie... Nie popieram, ale rozumiem, nasz kraj, zawsze ktoś ci pomoże, ale w Masisi? W Kiwu? Przecież to szaleństwo, tam nic nie funkcjonuje, czysta anarchia, chwila i cię nie ma, jak kamień w wodę, no, Florence...

– Nie pojedziemy tam sami. – Wiktor widział, że dziewczyna improwizuje, i zastanawiał się, czy inni też to dostrzegli. – Najpierw polecimy do Gomy, tam jest bezpiecznie, a stamtąd zabierzemy się z Międzynarodowym Komitetem Czerwonego Krzyża albo z Lekarzami bez Granic. Jedni i drudzy jeżdżą z pomocą do Masisi. Wszystko będzie załatwione przez nasze biuro w Kampali. – Zaczerpnęła tchu. – Wiktor już był w Zairze, dogaduje się po francusku, napisze reportaż i cały czas będzie ze mną. Już raz mnie uratował, więc... – Nikt się nie zaśmiał, Florence nie kontynuowała, Wiktorowi zrobiło się gorąco. I gdy nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, wykorzystał chwilę, podniósł się, powiedział, że już późno, podziękował za gościnę, wyściskał Betty, a raczej został wyściskany, podał dłoń mężczyznom i na wszelki wypadek cicho poprosił Florence, by odprowadziła go do drzwi.

– Przyznaj, spanikowałeś, że ogłoszę zaręczyny? – zachichotała, kiedy doszli do wejścia.

– No co ty! Zrobiłem pewnie głupią minę, bo nie wiedziałem, co zamierzasz. Co to za historia z tym Zairem?

– Dobra, dobra. Nie umiesz kłamać, Wiktorze z Polski. Lepiej byś przyznał, że poczułeś się jak w *Fatalnym zauroczeniu*.

– Nie – odpowiedział trochę za szybko i trochę zbyt szorstko.

– Nie umiesz kłamać. W sumie szkoda.

Czwartek, 23 stycznia 2020

Nastawił budzik na siódmą, ale zerwał się z łóżka pół godziny wcześniej. Kiedy tylko otworzył oczy, poczuł wyrzut adrenaliny i energii, ekscytację, przy której bladł ból ciała. Rozbudził się w sekundę, żadnego dochodzenia do siebie. Czuł się jak niegdyś, gdy otwierał oczy i od razu przechodził go dreszcz podniecenia na myśl o czekającej go randce, jak w te dni, kiedy wiedział, że w jego życiu wydarzy się coś ważnego.

Poprzedniego wieczoru Honoré wyciągnął ze schowka pod podłogą izraelski karabinek Galil. Wiktorowi przypominał kałasznikowa i było coś na rzeczy, bo – jak wytłumaczył mu gospodarz – Izraelczycy stworzyli go, modyfikując fińskiego valmeta, który faktycznie powstał na bazie radzieckiej legandy. Tilszer patrzył na broń z mieszanką niepokoju i nadziei.

Honoré rozłożył i złożył karabinek, sprawdził magazynki, przestudiował satelitarną mapę Google'a i zarysował Wiktorowi plan.

– Wiemy, który to dom. Jedziemy tam, żeby dyskretnie ocenić sytuację. Może mechanikowi coś się przywidziało, może fantazjuje, ale może ma rację i faktycznie kogoś tam przetrzymują. Nawet jeśli nie będziemy wiedzieli, kto to, trzeba go będzie uwolnić, bo to jedyny sposób, by się przekonać, czy to twój syn. W tym pomoże mi mój przyjaciel, pan Galil.

Od Honoré biły taki spokój i pewność siebie fachowca, który doskonale wie, co robi i co go czeka, że Wiktorowi nadzieja wlała się do serca szerokim strumieniem. Jeżeli tylko Marcin jest w tym domu, a wierzył głęboko, czuł, że jest, to Honoré go uwolni.

Gdyby tylko wiedział, jak bardzo się mylił.

\*

Ubierał się z takim impetem, że mało nie przewrócił się przy wciąganiu spodni. Wszedł do saloniku, w którym siedzieli poprzedniego wieczoru. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz stukającego w komórkę Honoré, żeby zorientować się, że coś się stało. Coś niedobrego.

– Billie już pojechał – odezwał się Honoré, jakby liczył, że dzięki tej informacji nie będzie musiał zakomunikować niczego więcej.

– Mów – poprosił cicho Wiktor.

Mężczyzna ciężko westchnął.

– Dostałem rozkaz. Przed chwilą. Mam się natychmiast stawić w Kisangani. – I widząc zdumione spojrzenie Polaka, dodał: – Tak, siedemset kilometrów stąd.

Wiktor poczuł, że brakuje mu tchu, że leci w przepaść. Miał kompletną pustkę w głowie.

– Ale przecież Joe...

– Dostał rozkaz z góry. Nie mam wyboru, mój przyjacielu. Bardzo mi przykro.

– Kto wydał ten rozkaz?

– Nie wiem i szczerze mówiąc, wolę nie wiedzieć.

Wiktor cofnął się do sypialni po komórkę. Joe nie odbierał. Fixer tak samo. Zadzwoił do Florence. Miała wyłączony telefon. Szybko oddychał. Zbyt szybko. Spokój. Koncentracja. Myśl. Wrócił do salonu.

– Czy Joe powiedział ci coś więcej? Dlaczego dostał taki rozkaz?

– Nic poza tym, że mam jak najszybciej dotrzeć do Kisangani.

– A coś o mnie?

– Że nie mogę ci pomagać.

– Wiedział, że jedziemy do Rutsheri?

– Tak. Wczoraj wieczorem zdałem mu raport.

Wiktor analizował to, co usłyszał. „Nie, to niemożliwe. Nie zrobiłaby tego. Nie wierzę. Ty frajerze.” Poczuł chłód. Zamknął oczy. Pod powiekami miał twarz Marcina.

## Czerwiec 1996

Z werandy rozciągał się spektakularny widok na pokryte herbacianymi uprawami wzgórze. Intensywna zieleń krzewów łagodniała w lekkiej mgle późnego popołudnia. Głęboki błękit nieba podkreślały nieliczne chmurki, od zieleni odcinała się czerwień gleby i kolorowe chusty kobiet zrywających liście herbaty. Co za kicz, jakby przepuścili zdjęcie przez pięć podkręcających rzeczywistość filtrów – pomyślał Wiktor, nie mogąc oderwać oczu od obrazu przed sobą. Myśl o tym, że dookoła toczy się okrutna wojna, trąciła absurdem.

Od trzech dni mieszkali w Bazie Sępów. Sępami byli Kanadyjka Mary Anne i Holender Jan. Poznali się rok wcześniej na bałkańskiej wojnie w serbskiej części Bośni w Banja Luce, gdzie pracowali dla MSF, czyli holenderskich Lekarzy bez Granic. Florence była nimi zauroczona. „Cudowni są, prawda? Taka miłość wojenno-humanitarna”. Mary Anne miała za sobą osiem lat pielęgniarstwa harówki w Ontario po dwanaście godzin dziennie, decyzję: „a niech to wszyscy diabli” i będącą jej rezultatem przygodę z MSF w targanej wojnie Liberii, która zmieniła jej życie. Jan – jak skwapliwie informowała Mary Anne – był w poprzednim życiu wzorowym obibokiem. Ona szczupła i drobna, nie mogła usiedzieć na miejscu, miotała się, kłóciła, wściekała i dostawała histerii na widok najmniejszego pająka. On zwalisty, powolny niedźwiedź, ze spokojem mordował pajęcze plemię.

W Banja Luce, tak jak teraz w Masisi, dramatycznie brakowało lekarstw. Nie pomagały monity Mary Anne i Jana wysyłane do centrali w Zagrzebiu. W końcu zaczęli zebrać gdzie popadnie, w agendach ONZ-owskich i wszelkich organizacjach pozarządowych. Ich szef z Zagrzebia wreszcie nie wytrzymał i rzucił: „Hej, ludzie, jesteście parą prawdziwych sępów!”. Wkrótce zwała ich tak cała społeczność międzynarodowych

agencji humanitarnych w Zagrzebiu i Bośni, a przezwisko przywędrowało za nimi nawet do Afryki.

Wbrew temu, co Florence powiedziała rodzinie, biuro Children of the World niczego w Gomie nie załatwiło. Szefowie Florence wystawili pismo informujące, że jest ona ich pracownicą i ma zdiagnozować najpilniejsze potrzeby dzieci regionu Masisi oraz pozyskać odpowiednie kontakty niezbędne do przyszłej współpracy. No i zapewnili miejsce w ONZ-owskim samolocie lecącym do Gomy, ale to wszystko. Dla Wiktora największym problemem było załatwienie zairskiej wizy. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy jechał do Zairu pierwszy raz, podał się w ambasadzie w Nairobi za pisarza przyrodnika zainteresowanego goryłami górskimi i wulkanami Parku Narodowego Wirunga. Teraz ubiegał się o wizę w Kampali. Biorąc pod uwagę stopień rozpadu państwa zairskiego, to, że ambasady działały niezależnie od siebie, utrzymując się z wydawania wiz, które kosztowały ponad sto dolarów, nie obawiał się, że ktoś porówna dane z Nairobi i Kampali, ale wolał nie ryzykować, więc jak najbliżej trzymać się prawdy. Znowu był pisarzem przyrodnikiem i znów interesował go los goryli górskich, ale dodatkowo podjął pracę dla małej niemieckiej organizacji pozarządowej, zajmującej się ochroną przyrody w strefach konfliktu.

Oczywiście organizacja nie istniała, a stosowny dokument załatwili mu pracujący w Kampali zaprzyjaźnieni wolontariusze jednej z prawdziwych niemieckich organizacji pozarządowych. W końcu wszystkie te pieczętki są do siebie bardzo podobne, a poza tym nikt nie będzie ich dokładnie sprawdzał, gdy na biurku konsula leży najprawdziwsze sto pięćdziesiąt dolarów.

Przylecieli do Gomy bez problemów, ale nie mieli żadnej gwarancji, że dadzą radę wydostać się z miasta, o dotarciu do Masisi nie wspominając. Strefa bezpieczeństwa kończyła się na przedmieściach, dalej rządziły plemienne i wioskowe milicje oraz pijane wojsko zairskie, nieopłacani

obwiesie rabujący, a czasem i zabijający każdego, kto im wpadł w ręce. Do Masisi z pomocą wyprawiały się tylko dwie organizacje skupiające największych freaków i szaleńców: ICRC – Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża i MSF.

W ICRC potraktowali Florence i Wiktora miło, kazali pozdrowić wspólnych znajomych z biura Children of the World w Kampali, ale powiedzieli, że zabranie ich do Masisi byłoby zbyt dużym ryzykiem. Ich, pracowników ICRC, znają w terenie, dwójka obcych mogłaby wprowadzić niebezpieczną nerwowość. Miejscowe plemiona, w tym największe Hunde, czują się zagrożone przez napływowych Hutu, którzy z kolei boją się Tutsi. Tutsi zaś boją się Hutu, Hunde nie cierpią Tutsi, Tutsi gardzą Hunde. Na dodatek wszyscy mieszkają na kupie i mają krótki lont. Jak również dzidy, włócznie, maczety, noże, sierpy, pręty, kije z nabitymi gwoździami, czasem starą strzelbę, a nieliczni kałasznikowy.

Pozostawało MSF. Być może, gdyby Florence i Wiktor przyszli do biura Holendrów dwie godziny wcześniej albo dwie godziny później, nie spotkaliby Mary Anne i Jana i usłyszeli by to samo co w ICRC. Ale spotkali. Kanadyjka i Holender otaksowali ich wzrokiem, zadali parę pytań, po czym Jan stwierdził:

– Ktoś ma ewidentnie ochotę na dawkę rock'n'rolla. No to jutro o siódmej rano pod naszym biurem.

Tym sposobem teraz odpoczywali na werandzie Bazy Sępów po kolejnym nierzeczywistym dniu. Dwa dni wcześniej gruchnęła wieść, że Hunde napadli na ciężarówkę Hutu, jeden z nielicznych samochodów w okolicy, zamordowali ośmiu pasażerów i zabrali pojazd. Rabusie utrzymywali, że Hutu wieźli nią broń. Tymczasem wieść o tym, że Hunde posiadli straszliwą broń w postaci ciężarówki, która w tych realiach urastała do rangi bombowca czy może nawet lotniskowca, wpędziła w histerię większość Hutu. Teraz ci ostatni na każdy dźwięk silnika niosący się po wzgórzach i dolinach rzucali się do ucieczki.



Przywódcy Hutu zapowiedzieli, że jeśli ciężarówka nie wróci, zabiją szefa wioski Hunde. W końcu napadli na wioskę. Wprawdzie nie złapali szefa, ale zabili dwudziestu siedmiu mężczyzn. Sami zostawili dziesięć trupów.

– Czterdziestu pięciu zabitych w dwa dni – westchnął Jan. – I to wszystko z powodu jednego zdezelowanego isuzu z lat sześćdziesiątych. Co za ponury absurd.

Ale tutaj absurd gonił absurd. Rano Jan negocjował z uzbrojonymi we włócznie, spanikowanymi wojownikami obwieszonymi naszyjnikami z ludzkich palców możliwość przejazdu przez kontrolowany przez nich teren, wieczorem z magnetofonu Mary Anne niosły się po wzgórzach głosy Shane'a McGowana i Kirstie McCall, którzy śpiewali *Fairy Tale of New York*, najdziwniejszą kolędę świata.

Wprawdzie gdyby znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie, do Gomy musieliby telepać się przez wiele godzin po prawie nieprzejezdnych drogach, ale przynajmniej mieli tu do dyspozycji laptopy i faks satelitarny. Mary Anne mogła jednego dnia rankiem zobaczyć pięciu nagich wojowników Hunde wracających z obrządków magicznych, które miały ich uodpornić na karabinowe kule, a wieczorem oglądać filmy w Canal+ albo wiadomości CNN. Wiktorowi nawet mignęła Stocznia Gdańska i pojawił się Lech Wałęsa, którego losami po przegranych wyborach prezydenckich bardzo zaciekawiony był pracujący dla MSF pan złota rączka. Wszystkie okoliczne wsie mogły płonąć, ale biznes to biznes, więc należąca do Belgów plantację herbaty ochraniał oddział DSP, gwardii prezydenta Mobutu, jedynej w miarę porządnie opłacanej formacji mundurowej w tym nieszczęsnym kraju. Gwardziści pilnowali, by trzy tysiące robotników należących do różnych plemion zajmowało się zrywaniem zielonych listków, nie zaś wzajemnym mordowaniem. Nie interesowało ich, co się działo poza plantacją.

– Gdzie moje piwo? – wyrwała go z zadumy Florence czytająca książkę na hamaku rozwieszonym między dwoma słupami podpierającymi dach werandy. Podniósł się z fotela i z podłączonej do dieslowskiego generatora lodówki przyniósł dwie duże butelki primusa, którego skrzynkę na wszelki wypadek przywieźli z Gomy. Na miejscu okazało się, że w wiejskim sklepie, w którym nie było prawie niczego, akurat primusa nie brakowało. Zair się rozpadał, poszczególnymi prowincjami targwały wojny i konflikty, zbudowane jeszcze za Belgów drogi i tory kolejowe pochłaniała dżungla, szlaki handlowe przestawały istnieć, ale zabezpieczani przez prywatne agencje ochroniarskie browarnicy dostarczali piwo w najbardziej niemożliwe miejsca. Stuknęli się szyjkami.

Florence rzuciła na stolik wymięty egzemplarz *Co się wydarzyło w Madison County* i usiadła na hamaku.

– Hej, Wiktorze z Polski, czy akredytowałeś już akredytację akredytacji? – zapytała ze srogą miną. Zachichotali, choć tydzień wcześniej nie było im do śmiechu. Poszli pod ratusz w Gomie zobaczyć uchodźców, którzy właśnie napłynęli z Masisi. Wiktor nie zdążył jeszcze zrobić drugiego zdjęcia, kiedy złapał go za rękę koleś w dresie Chicago Bulls i powiedział, że władza prosi. Władza siedziała w ciemnej kanciapie, miała mundur, oświadczyła, że jest szefem bezpieczeństwa obozu dla uchodźców, i zapytała, dlaczego Wiktor robi zdjęcia. Odpowiedział, że jest dziennikarzem. Władza uniosła brwi.

– Nazwisko, imię, narodowość? Karany? Dlaczego nie spytałeś o zgodę?

To był czas na wyjęcie królika z kapelusza. Wiedząc, jaką paranoję wzbudza w Zairze Biały z aparatem, zaraz po przylocie do Gomy Wiktor z pomocą znajomych znajomych wychodził u komisarza wojskowego miasta akredytację dziennikarską uprawniającą do robienia zdjęć. Napisana pompatycznym językiem, miała mnóstwo pieczętek, biurokratyczne piękno w czystej postaci.

Bezpieczniak stropił się, oglądając dokument. W pokoju i na korytarzu przed otwartymi drzwiami zebrał się tymczasem tłumek kibiców w mundurach i w cywilu. Widzieli, że dziennikarz posłużył się bronią, czekali na odpowiedź szefa. Ten obejrzał pismo z obydwu stron, rozejrzał się po zebranych, po czym spojrzął na Wiktora, postukał w papier i tryumfalnie zapytał:

– A akredytacja akredytacji gdzie?

Wiktor wytrzymał spojrzenie, które mówiło „szach-mat, frajerze”, jednak lekko zgłupiał, a bezpieczniak, czując krew, ciągnął z emfazą godną gwiazdy Comédie-Française:

– To jest akredytacja wojskowa i powinna być akredytowana przez policję! – Rozejrzał się po zebranych, oczekując braw. Otrzymał aprobujące mruczenie. Wiktor zebrał się w sobie, docenił cios, ale jednak co komisarz miasta, to komisarz, przed nim zaś stał tylko średni rangą bezpieczniak. Tylko? Miał nadzieję, że jego rozumowanie jest poprawne.

– Nikt mi nie mówił, że mam akredytować akredytację, komisarz poinformował, że nie wolno fotografować lotniska, to nie fotografuję. – Jeżeli chciał w ten sposób uspokoić sytuację, to się pomylił, policjanta trafił szlag.

– Sam to powinieneś wiedzieć! – ryknął. – Co by było, gdybym pojechał do twojego kraju i robił zdjęcia bez akredytacji akredytacji?!

Florence dyskretnie ścisnęła Wiktora za rękę, bojąc się, że zacznie dyskutować, a bezpieczniak nakręcał się, pomstując na cudzoziemców, którzy myślą, że w Zairze nie obowiązują ich żadne reguły. Czasy kolonialne dawno się skończyły, dzięki wielkiemu prezydentowi Mobutu wspaniały naród zairski powstał z kolan i nikt już nie będzie robił zdjęć bez akredytacji akredytacji. Po czym wskazał zebrany ustęp pisma, w którym prosi się władze cywilne i wojskowe o pomoc posiadaczowi dokumentu.

– Nie wiedziałeś? Nie wiedziałeś?! Oto dowód, że miałeś akredytować akredytację! – Policjant był wściekły, Florence coraz boleśniej wbijała paznokcie w rękę Wiktora, który bezbronny wobec logiki oficera, zastanawiał się, co dalej. Zdecydował za niego bezpieczeniak, informując, że idzie do najwyższego kierownictwa, i zniknął z dokumentem. Zostali w pokoju otoczeni kilkunastoma ludźmi zaciekawionymi, jak się skończy przedstawienie.

Bezpieczeniak wrócił po kilku minutach. Promieniał. Nie rokowało to dobrze. Wszyscy wbili w niego wzrok. A on z szerokim uśmiechem wręczył Wiktorowi dokument i oznajmił:

– Fotografuj, mój przyjacielu, co chcesz! Jesteś gościem republiki Zairu!

Po izbie rozszedł się szmer.

– Dziękuję – odpowiedział zmieszany Wiktor. – Tylko uchodźców, żadnych mundurowych.

– Ależ co ci przyszło do głowy, mój przyjacielu! Możesz fotografować, co chcesz. Owocnego pobytu! – Bezpieczeniak uznał, że audiencja skończona.

Wyszli na dwór, schowali się za winklem, oparli się o mur i dostali ataku śmiechu.

– Gdzie akredytacja akredytacji akredytacji? – Florence zagulgotała jak indor, parodiując wzniosły ton oficera. Tydzień później, między łykami primusa, powtórzyła rolę na werandzie plantacji i zamilkła. Spojrzał na nią pytająco. Była poważna. Zbierała się, by coś powiedzieć.

Czwartek, 23 stycznia 2020

Jeszcze nie wyjechali z Gomy, a już trzy razy zostali zatrzymani przez różne patrole. Mundurowi stojący na skrzyżowaniach zaglądali do samochodów, spostrzegli Wiktora i na widok *mzungu* kazali zjeżdżać na bok i żądali opłaty. Pierwszy patrol opowiadał o jakichś przepisach, zgodnie z którymi należało im się pięć tysięcy franków kongijskich, czyli niespełna trzy dolary podatku od Białego poruszającego się po ulicach. Drugi zażądał dziesięciu tysięcy bez podania powodów, ale zgodził się na dwa tysiące. Dowódca trzeciego poznał kierowcę i wymógł na nich pięć dolarów, bo wiedział, że taksówkarz ma też punkt ksero, czyli dochód, którym może się podzielić.

Przez miasto jechali bardzo powoli, mijały ich *boda boda* i miejscowa specjalność – *szukudu*, wielkie domowej roboty drewniane hulajnogi służące do transportu nieprawdopodobnej ilości towarów. Na jakimś rondzie Wiktor zauważył wielki pomnik mężczyzny pchającego swoje *szukudu*. Błyszczący monument biedy. Jednak posiadacze *szukudu* byli kimś, to od nich zależało funkcjonowanie miasta. Na kolejnym skrzyżowaniu ruchem kierował kilkumetrowy robot jak ze starych filmów science fiction. Stali tam też cinkciarze, dzierżąc w rękach grube pliki niemiłosiernie zużytych banknotów.

I wszędzie lawa, zastygła na poboczach, tam, gdzie swego czasu dopeźła. Ale też wykorzystywana jako budulec. Wzniesiono z niej domy i płoty, zbudowano stoliki ulicznych handlarzy. Życie pod wulkanem było tutaj i przenośnią, i rzeczywistością. Z każdego punktu w mieście widać było oddalony o kilkanaście kilometrów dominujący, groźny i piękny, lekko teraz zamglony Nyiragongo. To w jego stronę się kierowali.

Minęli budynek uniwersytetu z powybijanymi szybami, który wyglądał jak po intensywnym ostrzale, ale wchodzili i wychodzili z niego studenci,

URUBATT, czyli urugwajską bazę wojskową z wielkim hasłem „Siempre Presente”, lotnisko z językami lawy na płycie, zaraz potem zatrzymano ich na punkcie kontrolnym. Przed nimi stał autobus. Pasażerowie wysiedli i weszli w korytarz ogrodzony rusztowaniem z kijków, na którym wisały worki po cemencie. Najpierw zmierzono im temperaturę, potem musieli umyć ręce w preparatach dezynfekujących fundowanych przez USAID, jak informowały nalepki na baniakach. Wszędzie wisały plakaty tłumaczące, jak radzić sobie z zagrożeniem ebolą. Policjanci oglądali wiadomości na małym śnieżącym telewizorku. Spiker przeczytał informację, że Chińczycy zamykają Wuhan z powodu jakiegoś wirusa. Mundurowi spostrzegli Wiktora i zażądali sześciu i pół tysiąca franków opłaty wyjazdowej. Kierowca dał pięć, puścili ich, wkrótce skończył się asfalt. Mieli dwie godziny do Rutshuru.

\*

Wiktor widział, że Honoré jest przybity. Ulotniła się wesołkowatość, którą kipiał, nawet jeśli mówił o poważnych sprawach. Najwyraźniej czuł się winny.

– Muszę zaraz zniknąć – powiedział cicho jak na niego. – Możesz tu zostać, ile chcesz. Uprzedzę strażnika. Wiesz, co dalej?

To było pytanie, nad którym Tilszer głowił się od kilku minut. Jeżeli miał zrobić to, co właśnie zaplanował, musiał zaufać Honoré, uwierzyć, że tamten mu współczuje i że go nie wystawi.

– Czy mogę mieć do ciebie prośbę jak kumpel do kumpla? – Kongijczyk bez wahania kiwnął głową. – A w zasadzie dwie prośby. Trzy.

– Wal.

– Po pierwsze, nie mów o tej rozmowie Josephowi.

Honoré skinął głową.

– Po drugie, potrzebuję samochodu z kierowcą, który podrzuci mnie w okolice tamtego domu, poczeka i zabierze później w stronę ugandyjskiej granicy albo z powrotem do Gomy.

– Nie ma sprawy.

– Żeby kierowca nie miał z tobą związków.

– Jasne. To w moim interesie.

– I ostatnie – Wiktor nabrał powietrza – potrzebuję broni.

\*

Minęli Nyiragongo, niebo się zachmurzyło, pozbawiona słońca gruntowa droga zbrązowiała. RN2, którą zmierzali w stronę Rutshuru, biegła prosto wzdłuż niskich traw, to znów wiała się na pagórkach, wchodząc w gęsty las, napady były tu niemal codziennością. Rebeliantów, bandytów, kłusowników. Jechali przez Park Narodowy Wirunga, którego strażnicy należeli do najlepiej wyszkolonych, najodważniejszych i najuczciwszych mundurowych w Demokratycznej Republice Konga. Ich podstawowym zadaniem było zwalczanie kłusowników polujących na słonie i na żyjące tylko na pograniczu Konga, Ugandy i Rwandy ostatnie na świecie goryle górskie. Była to nieustająca, brutalna i krwawa walka. Jedni i drudzy nie mieli dla siebie litości. Ginęli strażnicy i kłusownicy. Przemieszczanie się drogą RN2 zawsze było ruletką. Bezpieczniej byłoby pojechać zwyczajnym autobusem, w tłumie Kongijczyków, ale taka podróż trwałaby wieki, autobus mógłby dwa razy zepsuć się na wertepach, a w Rutshuru Wiktor musiałby znaleźć kolejny transport w stronę podejrzanego domu, zdając się na usługi nieznanego człowieka. Dlatego jechał w nierzucającym się w oczy poobijanym subaru foresterze, kierowanym przez trzydziestoletniego na oko Celestina. Ręczył za niego Honoré. Kuzyn szwagra. Można ufać, trudno wyśledzić powiązania.

Sięgnął pod siedzenie. Poczł chłód metalu.

– To nie jest dobry pomysł – powiedział Honoré, kiedy Polak poprosił go o broń. W tej samej chwili piknął sygnał przychodzącej do Wiktora wiadomości. Przeczytał SMS-a, zagryzł wargi i pokazał go gospodarzowi:

„Tik-tak, tik-tak, zostały 24 godziny”.

– Bawią się, skurwysyny. Masz lepszy pomysł? Ja tam i tak pojedę. Bez względu na wszystko. Skoro ciebie odwołują, muszę jechać sam. Jakie mam szanse? Na kogo mogę liczyć? Policję? Wojsko? Sam wiesz najlepiej, że są zagrożeniem, nie pomocą. Potrzebuję tej broni, mój przyjacielu.

– Jeśli cię z nią złapią, będzie po tobie.

– Wiem. – Wiktor miał nadzieję, że w jego głosie zabrzmiała pewność. Honoré pomyślał przez chwilę, po czym z tej samej skrytki, w której trzymał izraelski karabinek, wyciągnął pistolet.

– Browning HP, belgijski – poinformował Wiktora – bardzo porządna rzecz. Umiesz obsługiwać?

Wiktor pokręcił przecząco głową. Honoré podrapał się po brodzie i sapnął.

– No to szybkie szkolenie. Nie mamy czasu.

\*

Droga był nieprzystojnie piękna. Rozpogodziło się, słońce przeświecało zza chmur, w jego promieniach uwidocznił się niesamowity kontrast między zielenią roślinności i czerwienią gruntowej drogi oraz przydrożnych chat. To zderzenie kolorów kochał w Afryce najbardziej. Dawno, dawno temu poznał w Kampali pewną Angielkę, która od lat mieszkała w Ugandzie, przeżywając wzloty i upadki Perły Afryki. Popijali u niej na werandzie gin z tonikiem i jakoś zeszło na czerwoną ziemię.

– Mam na nią alergię – powiedziała Angielka.

– Jak to? – zapytał, nie wiedząc, o co jej chodzi.



– Ach, ta czerwona ziemia. Afrykański kicz. Serwowany albo w wersji ckliwej, od razu w drugim zdaniu *Pożegnania z Afryką*, albo w formie mrocznych opowieści zblazowanych macho reporterów o ziemi czerwonej od przelanej krwi. Więc ani słowa o czerwonej ziemi, młody człowieku. – Wzniosła szklanekę w jego stronę.

Tak mu się spodobał ten cytat, że kiedy kilka lat później wydawał swoją książkę reporterską o Afryce, dał jej tytuł *Ani słowa o czerwonej ziemi*. Był z niego bardzo zadowolony, ale wydawca uznał, że jest za długi, nie wiadomo, o co chodzi, nikt nie zapamięta i czemu nie *Czerwona ziemia*? Wpada w ucho, prosto i na temat. Ustąpił.

Zbliźali się do Rutshuru, przejechali przez małą wioskę, malowniczą z dala, nędzną z bliska, kiedy z za zakrętu wyłoniła się kolejna zapora. Trzecia, nie licząc tej na wyjeździe z Gomy. Dwa betonowe bloki i przerzucone między nimi ociosane drzewo. Na poprzednich dwóch barykadach Celestin po krótkich negocjacjach zapłacił po dziesięć dolarów, w które przed wyjazdem z Gomy zaopatrzył go Wiktor. Jaki kraj, taka drogówka. Teraz też przygotował dwa banknoty po pięć.

Mężczyźni przy blokadzie byli w cywilnych ubraniach. Kiedy subaru się zbliżył, wymierzyli w nich broń. Niedobrze. Krzyczeli.

– Mówią, że mamy wysiąść – przetłumaczył Celestin.

– I co robimy?

– Chyba nie mamy wyjścia. Nie cofnę, nie uciekniemy.

Wysiedli, na wszelki wypadek z rękami w górze. Mężczyźni krzyczeli. Byli pijani albo naćpani. Dwóch trzymało ich na muszkach, pozostali wymachiwali bronią. Jeden dźgnął Wiktora lufą w zębra. Nawet nie bardzo mocno, ale ból połamanych żeber był tak niespodziewany i obezwładniający, że Tilszer zwałił się na ziemię, lądując twarzą w zasychającej kałuży. Chwila ciszy, po czym mężczyźni zaczęli się śmiać. Słyszał powtarzane słowo *mzungu*. Kiedy niezdarnie się podnosił,

strażnicy wyli z uciechy. Z twarzy spływała mu błotnista maź. Czerwona, kurwa, ziemia.

– Śmieją się, że jesteś słabszy niż stara pijana wiedźma.

– Cieszy mnie ich radość – wycedził Wiktor.

Ten, który go dźgnął, klepał go po ramieniu i pokazywał na twarz, zanosząc się od śmiechu.

– Daj prezent i możecie jechać – powiedział po francusku.

Wiktor kiwnął głową na Celestina. Kierowca podał strażnikowi dwa banknoty. Ten pokazał, że chce więcej. Kierowca dorzucił dziesiątkę, którą trzymał pod wyszywanką na desce rozdzielczej. Mężczyzna dał znak i dwaj młodszy wartownicy przesunęli drzewo blokujące drogę.

Jechali w milczeniu minutę, może dwie. Pierwszy odezwał się Celestin.

– Mieliśmy sporo szczęścia. – Odwrócił się, spojrzął na Wiktora i zaczął się śmiać. Tilszer przejrzał się we wstecznym lusterku. Było z czego. Poprosił Celestina, żeby ten zatrzymał się na chwilę. Wsiadł z samochodu, wodą z butelki obmył z grubsza twarz, wytarł się papierowymi chusteczkami. Teraz wyglądał już tylko dziwnie. Ruszyli. Przed Rutshuru skręcili w prawo, na wschód, w stronę ugandyjskiej granicy. Spojrzął na Google Maps. Zostało im jakieś dziesięć kilometrów, dwadzieścia minut, może trochę dłużej. Poczł ścisk w żołądku. Nagle sobie uświadomił, że od wypadku w Kampali nie brał leków na malarię. Świetnie. Jeżeli ją złapał, zostało mu kilka dni do objawów. *Jebem na to.*

Zawibrowała komórka. Florence.

„Nie ruszaj się z Gomy!”.

## Czerwiec 1996

Mieli najlepsze miejsca na całym kutrze. Umościli się na dziobie, na workach mąki, które tworzyły naturalne siedzisko i odgradzały ich od reszty pokładu. Silnik pokasływał, jakby miał za chwilę zgasnąć, ale mozolnie pchał przerdzewiałego gruchota w stronę Bukawu na południowym brzegu jeziora Kiwu. Wiał lekki wietrzyk.

Żeby się dostać na jedyną tego ranka, a może i dnia, łajbę odpływającą z Gomy, zerwali się przed świtem po godzinie nerwowego snu. Poprzedniego wieczoru zabalowali na weselu córki restauratorki, która ich codziennie żywiła, więc teraz przysypiali kołysani niespiesznymi falami. Gdzieś w dali przed nimi w refleksach słońca migotały czarne kreski łodzi rybackich, nie widzieli nikogo, ich też nikt nie widział. Worki zasłaniały ich przed wzrokiem załogi, a pozostali pasażerowie chowali się pod pokładem przed słońcem. Czuli się, jakby płynęli przez to wielkie jezioro sami.

Florence obróciła się do niego w półśnie. Z potarganą burzą włosów i w czerwonej sukience, którą miała na sobie na weselu, wyglądała pięknie. Nie mógł oderwać od niej oczu, gdy szalała na parkiecie jakby pod wpływem elektrycznych impulsów. Była godną rywalką kilkunastu tak samo kolorowych druhen panny młodej, których wibrujące pośladki przeczyły prawom biologii, fizyki czy czego tam jeszcze. W końcu dziewczyny porwały Florence do środka, próbowały pochwycić Wiktora, wykonującego jakąś wariację pogo, co nawet po kilku szklankach miejscowego bimbru było szczytem jego możliwości tanecznych, ale wybronił się, uciekając do rogu zajmowanego przez milczących dziadków.

Pożerał wzrokiem Florence, która wirowała pośród druhen otoczonych przez resztę weselnych gości bijących brawo. A gdy skończył się

muzyczny set, złapał ją za rękę, nie musiał tłumaczyć po co, wybiegli na dwór, na tyłach sali weselnej, w hotelowym ogrodzie znaleźli kawałek nieoświetlonego lampionami muru. Wiktorowi ręce trzęsły się z pożądania, gdy w pośpiechu ściągał jej majtki, Florence dyszała i krztusiła się ze śmiechu, walcząc z jego paskiem, opornymi metalowymi guzikami spodni i koszulą. Gdy sięgnął ręką między jej nogi, odepchnęła ją stanowczo i szepnęła, że nie trzeba. Wszedł w nią, a w zasadzie to ona wbiła go w siebie. Jej „pieprz mnie” sprawiło, że o mało nie eksplodował od razu.

Teraz czuł dreszcze, patrząc na nią na tych workach i przypominając sobie sekunda po sekundzie sceny z ogrodu hotelu Karibu. Położył jej rękę nad kolanem, poniżej sukienki, powoli podążał w górę, gdy dotknął majtek, dostał po łapach.

– Zwariowałeś? Może jeszcze zaprosz wszystkich?

– Nikt nas nie widzi. Zobacz. – Kiwnął głową w stronę mostka i znowu spróbował pokonać zasieki.

– Uspokój się!

Pozwoliła mu się pieścić przez majtki, ale gdy tylko jakiś palec próbował pod nie zanurkować, powstrzymywała go, za każdym razem jednak mniej stanowczo. Właśnie się zastanawiał, co dalej, gdy ktoś z tyłu krzyknął, że zacumują na kwadrans przy wyspie Idjwi. Florence obciągnęła sukienkę, on poprawił spodnie, akurat w momencie gdy nad ich głowami objawiły się rozpromienione twarze kanadyjskich zakonnic z Quebecu, przed którymi uciekli w porcie. Wiktorowi robiło się słabo od ich zawodowego hiperoptymistycznego podejścia do świata i słodkich jak syrop klonowy uśmiechów. Każdego dzieciaka musiały pogłaskać po głowie, gli, gli, gli, jakie śliczności i nieustająco przekazywały znak pokoju. Gdyby zawiadywały niebem, Wiktor spieprzałby do piekła. Florence bawiła jego irytacja i jako urodzona aktorka świetnie

parodiowała uduchowione uniesienia zakonnice: „miłujcie się wszyscy wzajem”.

– Nie przesadzaj, są zabawne i nieszkodliwe. No i robią dużo dobrego – powiedziała Florence.

– Wiem, ale gdy tak na mnie patrzą tym pełnym dobroci spojrzeniem, mam ochotę skoczyć za burtę. À propos. – Wskazał na zbliżającą się smukłą łódkę z dziećmi trzymającymi w rękach olbrzymie ananasy. – Kupmy parę na wieczór w Bukawu.

– Och, słodki Boże w niebiosach! Cóż za niezwykle ananasy! Louise, czy widziałaś te ananasy? – Usłyszeli wysoki głos jednej z zakonnice. Wiktor przewrócił oczami, Florence zakryła usta.

Czwartek, 23 stycznia 2020

I następny:

„Zostań tam, gdzie jesteś. Rozwiązuję to. Zadzwoń”.

I po chwili:

„Daj znać, co z Tobą”.

„Nie rób nic głupiego”.

„Proszę”.

Wiktor wbijał wzrok w ekran komórki, zastanawiając się, o co chodzi.

– Piętnaście minut – odezwał się Celestin.

To nie miało sensu. Jeżeli to ona odesłała Honoré, to po co teraz wysyła te SMS-y? A jeżeli nie ona, to kto? Był skołowany. Widział, jak kurczy się dystans do celu. Za chwilę podjadą, kierowca zaczai się gdzieś na poboczu, a on ruszy na piechotę zadrzeć z ludźmi, z którymi najpewniej lepiej nie zadzierać. Czyli robi coś głupiego. I jeszcze ten pistolet. Sięgnął pod siedzenie. Przez chwilę trzymał go na kolanach, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Wetknął za pasek na plecach. Zapasowy magazynek wsadził do kieszeni. W drugiej miał nóż od Honoré. W miarę krótki, ciężki, poręczny, bardzo ostry.

Dziesięć minut. Odpowiedzieć Florence? A jeśli to podpucha? Nie wiedział. Nie rozumiał. Bał się, że jeśli napisze jej, że za chwilę znajdzie się pod domem wskazanym przez mechanika, i jeśli faktycznie przetrzymywano tam Marcina, to porywacze zostaną powiadomieni. Wyda w ten sposób wyrok na własnego syna.

Ale kto miałby powiadomić porywaczy? Florence? Przecież to bez sensu. Ktoś jednak pozbawił go kluczowego wsparcia Honoré. Przez tę decyzję był praktycznie bez szans. Bezbronny. Mimo pistoletu. Pistolet! Jeżeli ten browning komuś zagrażał, to jemu samemu.

Siedem minut. Skoro Honoré powiedział Josephowi o domu, to Florence też musi wiedzieć. I próbuje go zatrzymać w Gomie. A niech to wszyscy diabli.

„Wyjechałem z Gomy. Dojeżdżam do tego domu”. Wysłał.

Sześć minut.

Zadzwoiła natychmiast.

- Wiktor, nie jedź tam, na miłość boską! – Jej głos wibrował od emocji.
- Zatrzymaj się! Naprawię to!
- Możesz mi, do jasnej cholery, wyjaśnić, o co chodzi?
- Przerywa. Co powiedziałaś?

Spojrzał na ekran. Jedna kreska. Kurwa. Podjeżdżali na lekkie wzniesienie w otwartym terenie. Dwie kreski. Pokazał kierowcy, żeby się zatrzymał.

- Czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje?
- Edward, mój mąż.
- Co twój mąż?
- To on zabronił Josephowi zajmować się twoją sprawą i odesłał jego człowieka do Kisangani.
- Ale dlaczego?

Usłyszał, jak Florence ciężko wzdycha.

- On cię nienawidzi. I kiedy dowiedział się, że tu jesteś, że się z tobą widziałam, że ci pomagam, dostał ataku szału.
- Mnie? Ale... – Zaczęło mu się to składać.
- Tak. Boże, to nie jest rozmowa na telefon! A zresztą, chrzanić to. Edward zawsze się we mnie kochał. Czekał, a tu nagle pojawiłeś się ty. Znienawidził cię. Bałam się, że cię wtedy zabije. Serio. A potem... A potem uważał, że cierpię przez ciebie, i znienawidził cię jeszcze bardziej.
- I ćwierć wieku później...

– Jesteśmy dzisiaj małżeństwem tylko ze względu na politykę i dzieci – przerwała mu – nie chodzi o mnie, ale o jego dumę i honor.

– Ale czy on ma coś wspólnego...

– Z uprowadzeniem Marcina? Nie, Boże, nie. Chciał ci zaszkodzić, jak by to powiedzieć, zgodnie z przepisami. Cofnął pomoc.

– Udało mu się. Chce uprzedzić tych ludzi w domu?

– Nie. On nawet o nich nie wie. Joe coś nazmyślał.

– To dlaczego chciałaś, żebym został w Gomie?

– Jak to dlaczego? Przecież jeżeli to są porywacze, to już nie żyjesz. Bez człowieka Joego nie masz szans.

– Może nie mam szans, ale nie mam też wyjścia.

– Nie rób tego. Człowiek Joego wróci do Gomy wieczornym samolotem.

– A twój mąż?

– Jesteśmy po rozmowie. Ustaliliśmy pewne sprawy. Będzie się trzymał z dala.

– Za późno. Termin mija jutro z rana. Niech się pogoda zepsuje, samolot spóźni, twojemu mężowi się odwidzi, rebelianci zamkną drogę. Może się zdarzyć tysiąc rzeczy, a ja jestem dwa, trzy kilometry od tego pierdolonego domu.

– Wiktor, posłuchaj mnie. Nie jesteś komandosem. Nie masz żadnego przeszkolenia. Nie jesteś nawet sobą sprzed lat. Jeżeli tam jest Marcin, to nawet go nie zobaczysz, bo cię od razu zabiją albo w najlepszym razie też porwą. I znikną z wami dwoma. Schowaj się gdzieś. Człowiek Joego ruszy do ciebie prosto z lotniska. Proszę cię.

– Nie mogę, Florence. Po prostu nie mogę. Jeżeli on tu jest i coś mu się stanie, bo ja się schowam, to nie wybaczę sobie tego do końca życia.

– Nie rób tego. Wiktor, słyszysz mnie?

– Odezwę się. – Rozłączył się i wyciszył telefon. Kiwnął głową kierowcy. Ruszyli. Imię Florence migąło na ekranie telefonu. Po kilku



minutach, w miejscu, gdzie kończyło się pole soi i zaczynał gaj bananowy, minęli odchodzącą w bok wąską drogę, prowadzącą, jak wynikało z mapy satelitarnej, w stronę tajemniczego domu. Wiktor osunął się na siedzeniu i spod daszka bejsbolówki wypatrywał czegokolwiek podejrzanego albo nietypowego. Niczego nie zobaczył. Ot, zwyczajna droga wiodąca pod górę, szeroka na tyle, że przejedzie nią wąska terenówka. Po deszczu zmienia się w rwący potok, teraz jeszcze nie wyschła do końca po ostatnim.

Kazał kierowcy zatrzymać się dwieście metrów dalej.

– Czekać na włączonym silniku. Jak wrócę, prujemy w stronę Ugandy, okej?

Celestin przytaknął. Wiktor wysiadł z samochodu i wszedł do bananowego gaju. Posuwał się jak najszybciej stromym zboczem w stronę domu. Na bieżąco weryfikował swoje położenie w komórce, ale wskazania były zbyt nieprecyzyjne. Szedł na czuja. Z mapy wynikało, że bliżej drogi, czyli niżej, są dwa niewielkie budynki gospodarcze. Wyżej znajdował się kwadratowy dom. Być może na palach, ale tego na podstawie zdjęć satelitarnych nie był w stanie stwierdzić.

Uważał, żeby nie pośliznąć się na błocie i nie potknąć o stwardniałe grudy ziemi. Usłyszał generator. Był blisko. Zbyt blisko. Cofnął się. Zaczął obchodzić siedlisko łukiem z prawej strony, kryjąc się w gęstwinie na tyle daleko, żeby nikt z domu nie mógł go zobaczyć. Kiedy był mniej więcej na wysokości podwórka, skręcił w lewo. Zbliżał się ostrożnie, szukając punktu, z którego będzie mógł obserwować obejście. Wreszcie je zobaczył. Przykucnął. Na podwórku, tyłem do niego, stał kilkunastoletni land rover. Ktoś musiał do niego właśnie wsiąść, bo rozległ się warkot silnika i po chwili samochód ruszył w kierunku otwartej bramy. Minąwszy ją, skręcił w lewo w dół do drogi, którą przyjechał Wiktor. Po chwili zza domu wyszedł mężczyzna, zamknął wjazd. Wrócił, skąd przyszedł. Wiktor myślał. Mechanik mówił o dwóch facetach. Jeżeli jeden

właśnie odjechał, to... Prosta matematyka. Ale mechanik nie musiał widzieć wszystkich. Wiktor rozejrzał się uważnie. Dom stał na zboczu, był parterowy, z podbudówką od strony podwórka, z którego do wejścia prowadziły metalowe schodki. Od tyłu przylegał do wzgórza. Być może było tam drugie wejście, z poziomu gruntu. Wiktor czekał. Nic się nie działo.

Po kwadransie postanowił się ruszyć i obejść dom od góry. Ostrożnie stawiał kroki, dwa razy się pośliznął, raz upadł. O mało nie krzyknął. Wreszcie dotarł do szczytu. Spojrzał w dół na okna wychodzące na zagajnik, w którym się wcześniej krył. Z tej strony budynku nie było drzwi. Okno po lewej stronie miało otwarte okiennice. Za zawieszoną moskitierą zauważył ruch. Wahał się, czy powinien zejść niżej, ale z miejsca, w którym stał, nic praktycznie nie widział. Jakaś gra cieni za kotarą. Musiał sprawdzić.

Ruszył ostrożnie w dół, kierując się lekko w lewo, żeby zbliżyć się jak najbardziej do okna, ale być niewidocznym, na wypadek gdyby ktoś faktycznie znajdował się w środku i zdecydował się wyrzeć. Był już naprawdę blisko. Skrył się za chropowatym pniem palmy, na tyle jednak cienkim, że gdyby ktoś przerwał siatkę i wystawił głowę przez okno, toby go zobaczył.

Usłyszał charakterystyczny dźwięk włączającego się komputera. Długie sekundy elektronicznego brzęczenia. Gdy jego wzrok się przyzwyczaił, zobaczył stojącego tyłem mężczyznę. W krótkich spodenkach i tiszercie. Napakowanego. Białego.

Z laptopa odezwał się dźwięk odebranego połączenia. Na ekranie pojawiła się twarz. Mężczyzna za moskitierą odezwał się na powitanie:

– No wreszcie, szefie. Nie szło się, kurwa, połączyć.

Facet w szortach mówił po polsku.

## Czerwiec 1996

Bukawu było dla Belgów rajem, nie mogli wybrać wygodniejszego i piękniejszego miejsca na założenie miasta. Pięć zielonych półwyspów schodzących do położonego na wysokości tysiąca pięciuset metrów jeziora, niczym dłoń śpiącego giganta, idealnie umiarkowany klimat. Wybrańcy mieszkali w eleganckich willach z ogrodami nad samą wodą, na wzgórzach żyli autochtoni obsługujący białe szczęście.

Tamten świat odszedł w ogniu i krwi, ale Bukawu nadal było na swój sposób piękne. Przynajmniej z oddali, widziane z jeziora. Rankiem, gdy wynurzało się z mgły, w popołudniowym słońcu, gdy kolorowe dachy domów odbijały się w wodzie. Płynący łodzią przybysz mógł dać się uwieść widokowi jak z impresjonistycznej pocztówki, bo dopiero z bliska widać było, jak bardzo miasto zbrzydło, szpetne, biedne domy coraz częściej zastępowały modernistyczne kolonialne budowle.

O tym, że popłyną do Bukawu, postanowili na werandzie Bazy Sępów.

– I co dalej? – zapytała, gdy już przestali się śmiać na wspomnienie akredytacji akredytacji.

– Z czym? – odpowiedział pytaniem, mimo że widząc jej z nagłą poważną minę, wiedział, co ma na myśli.

– Z nami, Wiktorze z Polski, z nami. – Uśmiechnęła się i zaczęła dmuchać w szyjkę butelki. Westchnął. A więc to ta chwila. Chyba. Odstawiła butelkę na stół. Tak, to ta chwila. – Wiesz, że niczego od ciebie nie oczekiwałam. Bawi mnie Robert, gdy tak się przejmuje moim zamążpójściem. Wściekłby się, gdyby dowiedział się, jak bardzo mnie bawi.

Skądś dobiegły pojedyncze strzały. Spojrzała w dolinę, podążył za jej wzrokiem, w oddali wznosiły się dwa leniwe słupy dymu. – Naprawdę się cieszę, że cię spotkałam, i z tego, co przeżyliśmy. No może nie ze

wszystkiego, ale z drugiej strony, gdyby nie te straszne rzeczy, może nie byłoby tak... niesamowicie? – Zrobiła pytającą minę zdziwionego dziecka. – To chyba okropne, co mówię, ale tak czuję.

– Posłuchaj... – odezwał się, ale mu przerwała.

– Nie, teraz ty słuchaj. – Lekko się uśmiechnęła. – Wiem, że masz gadane, ale skoro się w końcu zebrałam i mówię, to ty słuchasz. Czarne kobiety mają głos, choć przez chwilę milczysz, białasie, okej? – Nie mógł się powstrzymać od śmiechu, dołączyła do niego na krótką chwilę, po czym znowu spoważniała. Nie wiedział, czy patrząc na nią w tej chwili, gdy jest tak bardzo poważna i ironiczna jednocześnie, czuje pożądanie, czy zdenerwowanie. Jedno i drugie w wartościach skrajnych. – Niczego nie oczekiwałam, myślałam, że to przygoda, która zaraz się skończy. Miałeś przecież napisać swój reportaż i wyjechać, a nie wyjeżdżać, wymyślać kolejne przygody. – Powstrzymała go wyciągniętą dłonią, zanim zdążył się odezwać. – Nie winię cię, nie bój się. Cieszyłam się, to było jak niespodziewanie przedłużone wakacje. I to ja cię tutaj wyciągnęłam. Nie wiem, czy sobie przypominasz, jak u moich rodziców mało nie zszedłeś na zawał. Chciałam jeszcze trochę wakacji, jeszcze parę chwil, a nie „żyli długo i szczęśliwie”.

Przez chwilę bawiła się butelką, po czym spojrzała mu prosto w oczy. W jej spojrzeniu były smutek i czułość, widział to.

– Większość ludzi nigdy w życiu nie przeżyje tego, co my przeżyliśmy. Ale... – Umilkła. – Ale każde wakacje, nawet te najdłuższe, kiedyś się kończą. Zrobiliśmy to – rozejrzała się dokoła – co mieliśmy zrobić. Wracamy do Kampali. Witaj, szkoło! To już jest koniec. Chyba. Koniec? Tak? Pytam. Bo nie wiem. – Ostatnie słowa wystrzeliła i umilkła, jakby nagle zeszło z niej powietrze. Chciał ją przytulić, ale tego nie zrobił.

– Nie – odezwał się, może nazbyt szybko.

– Co nie? – odpowiedziała pytaniem, a on pomyślał, że czasem podejmuje się decyzje w ułamku sekundy, a potem nie panuje się nad

konsekwencjami.

– To nie koniec. Może koniec, no wiesz, wakacji... – zawahał się – ... ale nie koniec nas. Nie może być.

– Może nie może, ale jak to sobie wyobrażasz? Przecież nie zostaniesz tu na stałe, ja nie pojedę do Polski...

– Nie wiem. Ale wiem, że nie możemy tego stracić. Coś wymyślę, wymyślimy. Musimy.

Czwartek, 23 stycznia 2020

Wiktor się nie przesłyszał. Facet za moskitierą mówił po polsku.

– No wreszcie, szefie. Nie szło się, kurwa, połączyć.

– Ej, Zygmunecik, co tam się u was odpiędała? – zapytał rozmówca z laptopa. – Boss się niecierpliwi. Obiecał, a tu chuj. Zaczyna ciśnieniować.

Wiktor zamarł. Goniłwa myśli przegrzewała mu styki. Czuł się jak w tych chwilach, gdy nie może sobie przypomnieć słowa, kiedy ma się je na końcu języka, ale nie potrafi go złapać. Widzisz je, czujesz, niemalże mógłbyś go dotknąć, zaciskasz oczy, żeby się skupić, a ono, cholera, nie chce wskoczyć do właściwej przegródki. Brakowało mu jednego kliknięcia, żeby zrozumieć scenę, którą obserwował, żeby zwerbalizować mgławicową intuicję.

– Naprawiamy. Ale mieliśmy totalnego pecha.

– No wiem. Że spod tej ciężarówki wyszedł jebaniec...

– To, kurwa, nic. Zepchnęliśmy go z mostu do jebanej górskiej rzeki w pierdolonym samochodzie. Nie miał prawa tego przeżyć. Kierowca zginął, a ten pedał się wywinął.

O Jezu. Kliknęło. Poczuł się, jakby ktoś go ogłuszył. Myśl, myśl. Wyjął z kieszeni komórkę. Zaczął nagrywać. Trzęsła mu się ręka.

– Do trzech razy sztuka. Na co, kurwa, czekacie?

– Się pokomplikowało, bo go bambusy w Ugandzie wzięły pod ochronę.

– Jakim, kurwa, cudem?

– Nie wiem. Jakaś pizda z ministerstwa. Nie kapuję tej figury. Efekt taki, że mielibyśmy problemy z ruszeniem redaktorka w Ugandzie. No to, kurwa, szybki orient i jesteśmy.

Wiktorowi serce podeszło do gardła, waliło jak oszalałe. Drżał ze strachu, wściekłości i nienawiści. Spokój, tylko spokój. Myśl. Marcin żyje. Jest tuż obok. Boże.

– Gdzie?

– W Kongu. Tu taki burdel, że wszystko można. I chujek redaktorek zaraz sam nam padnie w objęcia. Kwestia dnia, dwóch, szefie.

– Mam nadzieję, mam nadzieję. Co zrobicie z dzieciakiem?

– Widział mnie.

– Okej.

– Melduję się, jak tylko załatwimy sprawę.

Rozłączyli się.

Furia zamgliała Wiktorowi wzrok. Niewiele myśląc, sięgnął po pistolet. W tej samej chwili poczuł ucisk pod łopatką i usłyszał słowa wypowiedziane po angielsku z silnym środkowoafrykańskim akcentem:

– Nie myśl o tym. Ręce do góry.

Obca ręka wyciągnęła browninga z za paska jego spodni, z kieszeni nóż, zapasowy magazynek i portfel. Coś, co uciskało go pod łopatką, dźgnęło go mocniej.

– Idź – powiedział głos, kierując go pod okno. – Szefie! Szef wyjrzy!

Szef zwany Zyguncikiem w pierwszej chwili nie załapał, kogo właśnie ujrzał, a potem serdecznie się zaśmiał.

– No, kurwa, nie wierzę! Pan redaktor Tilszer we własnej osobie! Chcieliśmy się do pana redaktora do Gomy pofatygować. A tu taka niespodzianka. Dziękować, dziękować! Zapraszam, zapraszam w nasze skromne progi.

Wydał Afrykaninowi krótką komendę. Obeszli dom, schodząc na podwórko, wspięli się po metalowych schodach. Weszli do salonu, tego samego, do którego dzień wcześniej zajrzał mechanik z Rutshuru.

W drzwiach po przeciwnej stronie, zapewne do pokoju, z którego rozmawiał przed chwilą z szefem, stał Zyguncik. Typ bramkarza na

dyskotece, łysy, trochę przytyty, pod czterdziestkę. Przypakowany, nakoksowany, więc szyja dziwnie przechodziła mu w ramiona. Szorty w niebiesko-czerwoną kratę, tiszert z jakimś logo. Afrykanin pchnął Wiktora na kanapę, wręczył mężczyźnie zabrane mu przedmioty. Zygmunecik przyjrzał się zdobyczom i znowu się roześmiał.

– O kurwa, nie mogę, panie redaktorze! Pan redaktor chciał się tu nam w Bonda bawić. Dobrze, że pan redaktor sobie jajek nie odstrzelił. No nie mogę naprawdę. – Po czym zwrócił się do Afrykanina kulawym angielskim: – Denis słucha, ten bohater zabić mnie chce. – I zarżał, klepiąc się po brzuchu. Denis się nie zaśmiał.

– Nagrywał szefa – odpowiedział z powagą, wskazując oczami komórkę. Zygmunecik się zachmurzył.

– O jebaniutki. Dawaj, kurwo, kod.

Wiktor postanowił nie zgrywać bohatera. Podał sześć cyfr.

– No piękne kamerowanie, mendo jedna – stwierdził mężczyzna. – Pornole mógłbyś kręcić, redaktorek. Może wtedy byś się nie wpierdolił po uszy. – Położył telefon na komódce obok pistoletu, noża i portfela Wiktora. Klasnął w dłonie.

– No dobra. Czas na wzruszające spotkanie rodzinne i kończymy ten teatrzyk – powiedział do Wiktora, a do Denisa: – Przyniesie go.

Afrykanin ruszył w głąb domu.

Wiktor ciężko oddychał. Pierwszy szok minął. Mechanik mówił o dwóch Kongijczykach. Skoro ten tu to był Denis, land roverem odjechał Pascal. O ile nie było jeszcze kogoś. Co nie miało w tej chwili znaczenia, bo oto przed uzbrojonym bezwzględny drapieżcą siedział na kanapie bezbronny pan w średnim wieku, który ostatnio bił się w liceum. Nie miał cienia pomysłu, jak wyrwać się z tej matni.

– I na chuj ci to było? – zapytał mężczyzna. – Zamiast zająć się rodziną, dupami, koksie się nawciągać albo, kurwa, nie wiem czego, musiałeś się wpierdalać w nie swoje sprawy.



– Może mi pan przynajmniej powiedzieć, o co chodzi? – odezwał się Wiktor. Zrugął się w duchu za to idiotyczne „pan”, ale chciał zyskać na czasie. Choć kilka chwil, może ziemia się zatrzęsie albo kawaleria wpadnie.

– To ty, kurwa, taki tępy jesteś, że nie wiesz, komu bruździsz, pedale?

Z pokoju, z którego Zygmunecik rozmawiał kilka minut wcześniej ze swoim szefem, rozległ się sygnał połączenia na Skypie. Porywacz spojrzał szybko przez ramię.

– Tylko mi tu bez żadnych numerów – zwrócił się do Wiktora. – Rączki na kołderkę, już!

Wiktor położył dłonie na kolanach. Zygmunecik wziął browninga z komody, załadował, wymierzył w Wiktora i zaczął się cofać w stronę laptopa.

– Jeden ruch, cioto, i cię odjebię.

I tak mnie odjebiesz, chory zwyrołu. Po to porwaliście Marcina. I jego też zabijesz, pierdolona szmato. Nigdy w życiu Wiktor nie był tak napięty, tak skoncentrowany. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Rzeczywistość nie płynęła, była serią stop-klatek oglądanych w rytm zamykających się i otwierających powiek. Widział wirujące w promieniach słońca pyłki kurzu poderwane z komody, rudy ślad buta na startej drewnianej podłodze, pająka podciągającego się na nici wzdłuż zielonej framugi. Obrazy były ostre, a dźwięki przytłumione, jakby założył słuchawki przeciwhałasowe.

Lada moment Denis wprowadzi Marcina do salonu.

Skype dzwonił.

Zygmunecik przełożył browninga do lewej ręki, żeby prawą kliknąć ikonkę odbioru na klawiaturze laptopa. Spojrzał na nią na ułamek sekundy.

Wiktor myślał, że Honoré żartuje, kiedy do browninga dorzucił miniaturową berette 950. Wyglądała jak zabawka.

– Co z nią mam niby zrobić? – zapytał. – W skarpetkę włożyć?

– Dokładnie – odpowiedział Honoré. – Nigdy nie wiesz.

Po tym, jak Denis wyjął mu pistolet, magazynek, nóż i portfel, szybko obmacał mu nogi. Nie dotknął wsuniętej w prawy but beretty. I teraz, kiedy na rozkaz porywacza położył ręce na kolanach, lewą stopę założył za prawą łydkę i podciągnął nogawkę spodni.

Strzelił, nim Zygmuncik zdążył zarejestrować jego gwałtowny ruch.

Chybił.

Ale nie dał porywaczowi czasu na opanowanie zaskoczenia i odpowiedź, strzelił ponownie, druga kula trafiła Zyguncika w lewe ramię, przez co wystrzelony przez niego pocisk wbił się w sufit. Trzecia kula poszła w brzuch. Wyjął, rzucił się w kierunku Wiktora, ale nie zdołał przełożyć browninga z lewej do prawej, bo Tilszer wystrzelił kolejne trzy pociski. Czwarta kula chybiła, ale piąta i szósta trafiły w płuca, zatrzymując zdziwionego Zyguncika, który nagle zobaczył przed sobą opętanego żądzą mordy szaleńca.

Browning wypadł mu z ręki na podłogę, po sekundzie mężczyzna sam uderzył w nią z łoskotem.

Wiktor usłyszał pospieszne kroki w tylnej części domu. Podbiegł do rannego, zabrał mu browninga i rzucił się do drzwi, w których kilka chwil wcześniej zniknął Kongijczyk. Oparł się o ścianę. Spocone dłonie zaciskał na pistolecie.

I wtedy go zobaczył.

Ruda grzywa.

Marcin potknął się popchnięty przez Denisa, którego najwidoczniej zaskoczył widok wystających z drzwi do pokoju z laptopem nóg szefa. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Wiktor z całych sił uderzył go kolbą pistoletu w głowę. Nie chciał zabijać, dlatego nie strzelił. Ale gdyby pomagier nie przeżył, nie rozpaczałby.

Denis upadł.

– Tata?!

– Synek...

Wziął Marcina w ramiona, przyłożył głowę do głowy, chciał tak zastygnać, niechętnie oderwał się od syna.

– Później. Zwiąż mu ręce z tyłu. Jest tu jeszcze ktoś?

– Pascal i Max. Pojechali gdzieś samochodem.

– Kto to Max?

– Drugi Polak.

– No to błyskawica. Zwiąż go i zaknebluj. Solidnie. Jak skończysz, nasłuchuj przy oknie od strony podwórka, czy nie jadą.

Z komody zabrał swoją komórkę i portfel. Wrócił do rannego Zyguncika, z którego ust wydobywały się krwawe bąbelki. Kiedy zobaczył nad sobą Wiktora, próbował coś powiedzieć.

– Co? – Tilszer nachylił się nad nim.

– Zaebie cie – wycharczał porywacz.

– Nie. To ja cię zajebię. Już za sekundkę. Najchętniej wpakowałbym ci ostatnią kulkę prosto w ten chamski ryj, ale syn by usłyszał.

– Ciota.

Wiktor rozejrzał się po pokoju, zdjął z łóżka poduszkę. Klęknął przy Zygunciku.

– Ciota, która cię wyruchała – powiedział cicho. Nie chciał, żeby Marcin go teraz słyszał i widział. Nigdy mu tego nie powie, nigdy się nie przyzna. Odczekał chwilę. – A teraz wypierdalaj. – Spojrzał jeszcze raz w oczy mężczyzny i przycisnął poduszkę do jego twarzy.

Gdy skończył, zrobił mu zdjęcie i przeszukał. Znalazł komórkę i paszport. Schował dokument do kieszeni, ujął dłoń porywacza, przyłożył kciuk do telefonu. Zaczął skrolować ekran, kiedy Marcin krzyknął:

– Jadą!

– Chodź tu – zawołał syna, który wpadł do pokoju. Z przestraszeniem spojrzał na Zyguncika.

– Co z nim?

– Wykrwawił się. Nie żyje. – Szybko odwrócił wzrok i wskazał okno, które wcześniej obserwował. – Tędy. – Omiótł pokój wzrokiem, zabrał laptopa.

Próbował otworzyć lewą część okna, w której nie było moskitiery, ale nie dał rady. Zaklął i zerwał siatkę. Wyskoczyli. Przymknął okno, na ile się dało. Ruszył tą samą drogą, którą tu przyszedł. Kiedy byli na wysokości podwórza, usłyszeli wjeżdżającego pod dom land rovera. Potem krzyki.

Jak szybko Max i Pascal zorientują się, w którą stronę ucieka Wiktor z synem? Marcin biegł lekko, szybko i zwinnie. Wiktor przewrócił się już dwa razy. Płonął żywcem. Usłyszeli strzał. Drugi, trzeci. Pewnie mężczyźni domyślili się, dokąd biegną uciekinierzy, ale ich nie widzieli i strzelali na oślep. Z pewnością jednak za nimi biegli i na pewno byli silniejsi. Czas się kurczył.

Kiedy wypadli na drogę, Wiktora ogarnęło przerażenie, że Celestin odjechał. Nie widział jego obłuczzonego foreстера. Rozglądał się w panice, nie mogąc rozpoznać miejsca, w którym się znalazł.

Wieś. Zatrzymali się w miejscu, skąd widać było pierwsze zabudowania wsi. Droga prowadziła w lewo, pod górkę.

Po przebiegnięciu mniej więcej stu metrów, kiedy osiągnęli szczyt niewielkiego wzniesienia, zdarzyły się trzy rzeczy. Przed sobą zobaczyli Celestina opartego o samochód i palącego papierosa. Za sobą wypadającego spomiędzy bananowców mężczyznę z pistoletem w dłoni. A kilkaset metrów za nim, zrzucając tyłem, na zakręcie na drogę wyleciał land rover.

– Gazu! – wrzasnął Wiktor, kiedy wskoczyli do foreстера, Celestin ruszył, spod kół trysnęły fontanny kamyków.

– Dokąd?! – odkrzyknął.

– Do granicy!

– Na przejście?

– Nie. Na dziko. Ale – obejrzał się – przede wszystkim musimy zgubić tamtego.

Land rover nie zatrzymał się po Pascala, Max nie tracił czasu, był zdeterminowany. Celestin świetnie prowadził. Max niestety również. Co oznaczało, że utrzymywali stały dystans dwustu, może trzystu metrów. Do granicy mieli dwadzieścia minut. Coś musieli zrobić. Wiktor spojrzał na mapę satelitarną.

– Za mniej więcej kilometr jest skręt w prawo. Jak tylko znikniemy mu z pola widzenia, zatrzymaj się na poboczu. Wskoczę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał zaniepokojony Marcin.

– Nic się nie bój. – Przeładował browninga. Czuł na sobie wzrok syna, ale spojrzał na niego.

– Dojeżdżamy! – krzyknął Celestin i zaraz za zakrętem gwałtownie zahamował. Wiktor wyskoczył na drogę i trzymając w dwóch dłoniach pistolet, wymierzył.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zobaczył land rovera, zdziwił się, jak szybko się zbliża. Strzelił cztery razy, przednia szyba pękła, Wiktor uskoczył w bok. Nie widział kierowcy. Land rover przemknął na pełnej prędkości i niespełna sto metrów dalej huk żelaza oznajmił, że samochód, nie zatrzymując się, walnął w drzewo.

Wiktor ruszył w jego stronę, by upewnić się, że drugi z porywaczy nie żyje, ale powstrzymał go krzyk Celestina. Obrócił się, by zapytać, o co chodzi, i w tym momencie land rover eksplodował, a Wiktora rzuciło na ziemię. Jeżeli przed chwilą miał jeszcze jakieś niepołamane zębra, to stan ten należał już do historii. Zamroczyło go z bólu, ale po raz pierwszy od wielu dni po prostu się uśmiechnął.

Celestin wyrzucił ich na końcu ginącej w lesie polnej drogi, kilkaset metrów od granicy z Ugandą.

Wcześniej Wiktor wysłał zdjęcie paszportu Zygmunca Michałowi Wójcikowi, który pomagał mu przed wylotem. Dokument był wydany na nazwisko Piotra Badowskiego. Szybko go zgoogłował. Nie znalazł dopasowania. Wiktor zapytał przyjaciela, czy może zidentyfikować rzekomego Badowskiego. Odpowiedź przyszła po kilku minutach: „Zygmunt Sukiennik, kiedyś antyterrorysta, od lat ochroniarz Jerzego Góreckiego. Jeden z jego najbardziej zaufanych. Uważaj, chłopie”.

Podziękował uśmiechniętą emotką.

Górecki, no tak. Jeden z bogatszych Polaków. Fortunę zbił na pożyczaniu pieniędzy ludziom, którym odmawiały banki. Zawsze z Polską na ustach i zawsze chętnie wskazujący, kogo z Polski należałoby się pozbyć. Równie chętnie pozywał tych, którzy pisali o nim bez superlatywów. Kilku dziennikarzy Wiktora spędziło za sprawą Góreckiego długie miesiące w sądach.

I tak się składało, że od lat był przyjacielem wicepremiera Zenona Kosteckiego.

\*

Pożegnali się z Celestinem i bez problemu przeszli przez granicę. Dwa kilometry dalej zobaczyli w dolinie zabudowania. Usiedli pod kamieniem. Wiktor napisał SMS-a. „Jeśli nadal chcesz mnie ratować, chętnie skorzystam. W dodatku z synem”. Dodał uśmiezek, pinezkę i wysłał do Florence. Oddzwoniła po minucie. Nawyzywała go od idiotów i powiedziała, żeby się nie ruszali.

Napisał do Agaty, że wraca z Marcinem. Potem dał mu telefon, żeby zadzwonił do Moniki, i odszedł na bok. Po kilku minutach syn go zawołał.

– Chce z tobą rozmawiać.

W zasadzie to nie była rozmowa. Monika na przemian szlochała, śmiała się i dziękowała.

Marcin uzupełnił brakujące szczegóły historii. Melania, czy też jak mu się przedstawiła, Carla ze Szwajcarii, wyrwała go w Bubbles O'Learys.

– No wiesz, superlaska, inteligentna, dowcipna, zabawna, nie wierzyłem w swoje szczęście. Kiedy wspomniałem o Gulu, od razu powiedziała, że ma tam znajomych ze wspaniałą hacjendą w buszu, zapytała, czy chcę wpaść z wizytą. Pewnie, że chciałem. Podjechaliśmy pod dom, gdzie mieli mieszkać strażnicy hacjendy, a tam już czekało tych dwóch.

Wiktor napisał do dozorca z prośbą o telefon z powodu nowych, jak to ujął, zmieniających wszystko okoliczności. Dodał, że to też kwestia jego bezpieczeństwa. Dozorca oddzwonił po dziesięciu minutach. Wiktor od razu przeszedł do rzeczy.

– Porwali mojego syna, żeby wyciągnąć mnie do Afryki. Uznali, że w Polsce to za duże ryzyko. Ale dzika Afryka? Miałem zginąć w wypadku samochodowym, nie byłoby w tym nic podejrzanego. Dwa razy prawie im się udało. Prawie. Bo gdyby się udało, śledztwo „Reflektora” by umarło. Nie przekazałby pan nagrania, o którym jakoś się dowiedzieli. Nie zaskoczę pana zapewne, jeśli powiem, że moją egzekucję zlecił Górecki.

– Jest pan pewien?

– Właśnie odprowadziłem dwóch jego zaufanych ludzi na tamten świat, więc tak, jestem pewien. I powiem panu więcej. Jeżeli nie da mi pan tego filmu, to oni pana dorwą. Kwestia czasu. Niech pan to zrobi dla swojego bezpieczeństwa.

Po godzinie nadciągnęła kawaleria wysłana przez Florence. Helikopter wylądował w obserwowanej przez nich wiosce. Kiedy lecieli do Kampali, Wiktor dostał na mejla link od dozorca.

Styczeń / luty 2020

Kiedy „Reflektor” opublikował materiał śledczy o związkach wicepremiera Kosteckiego z rosyjską mafią i wspólnych planach przedłużenia i rozszerzenia zakupów przez Polskę rosyjskiego węgla, rozpętało się piekło. Politycy obozu rządowego wyśmiewali dziennikarzy jako spiskowych paranoików, którzy wiążą przypadkowe poszlaki, nie mając twardych dowodów. Premier apelował, aby nie dać się wkręcić w spiralę fake newsów. Kostecki milczał. „Reflektor” nie odpowiadał na zarzuty do południa. I zrzucił bombę atomową. Tygodnik zawiesił na swojej stronie nagrany w hotelowym pokoju film, na którym widać i słyszać młodszego brata Kosteckiego w przyjaznej atmosferze dobijającego targu z rosyjskimi mafiosami i ich węgierskim łącznikiem. Dziennikarze przypomnieli, że szerzej nieznany brat wicepremiera pilnuje jego interesów w spółkach Skarbu Państwa, w których lokuje zaufanych ludzi.

Większość polityków obozu władzy stała się nagle niedostępna, niektórzy próbowali przekonywać o deep fake newsach. Kiedy sondáže pokazały, że nawet część wyborców prorządowych jest zniesmaczona i zszokowana, wicepremier Kostecki wydał pisemne oświadczenie, że wobec bezprzykładnych ataków inspirowanych z zagranicy, kierując się troską o dobro Polski, rodziny i rządzącej partii, zawiesza swą obecność w rządzie. Kilka tygodni później po cichu został odwołany ze wszystkich stanowisk.

Po ucieczce z Konga Wiktor w pierwszej chwili chciał uderzyć w Góreckiego. Miał film, na którym Zygmunek otwartym tekstem rozmawia z szefem ochrony biznesmena. Ale potem pomyślał o możliwych skutkach ubocznych. Padłyby pytania o to, co się stało



z Zygmunckiem i Maxem. Kto wie, do czego by doprowadziły. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw wysłał biznesmenowi SMS-a z oryginalnym plakatem horroru *Koszmar minionego lata*. Po angielsku przesłanie brzmiało bardziej czytelnie *I know what you did last summer*. I się podpisał. Nie dostał odpowiedzi, ale niebawem Górecki wycofał trzy pozwy przeciwko dziennikarzom „Reflektora”. Przestał też udzielać się w mediach.

\*

Umówili się w restauracji sushi Yujo Izakaja. Zarezerwowała stolik w ogrodzie. Wiktor poprzedniego dnia wyszedł ze znanego mu już szpitala, w którym ponownie do stanu względnej używalności doprowadzał go doktor Joseph Kafuuma. Marcin czekał na tymczasowy paszport, pozwalający mu wrócić do domu, ale konsulat w Nairobi się nie spieszył. Dzięki temu mógł pożegnać się z Masiką i resztą swojej ekipy. Spał w Bushpigu.

Przyszli pięć minut przed czasem, ale Florence już była. Rozmawiała przy stoliku ze swoim młodszym klonem.

– To Molly. – Gdy spojrzała na córkę, zaświeciły jej się oczy.

– Marcina już znasz – odparł Wiktor.

Czekała na nich, gdy przylecieli znad kongijskiej granicy.

Młodzi podali sobie dłonie. Przyglądali się sobie z zaciekawieniem.

– Mamo, nie będziemy wam przeszkadzać, siądziemy obok – rzuciła Molly i wskazała Marcinowi miejsce dwa stoliki dalej.

– Skóra zdarta z ciebie – westchnął Wiktor – i chyba charakter.

Uśmiechnęła się z dumą.

– No to mów. Teraz chcę usłyszeć tę historię.

Opowiedział wszystko.

Kiedy skończył, pokręciła w milczeniu głową.

– Naprawdę w to uwierzyłeś?

– Naprawdę. – Przeżuwał to, co chciał powiedzieć. – Ale z drugiej strony myślałem, że gdybym mu powiedział, że się z tobą ożenię, toby się zgodził.

– Tylko że tego nie chciałeś.

– Nie byłem gotowy do takiego skoku na głęboką wodę. Gdybyśmy mieszkali w jednym kraju, gdyby to wszystko było normalniejsze...

– To może nie byłoby takie niesamowite...

## Epilog Lipiec 1996

Przyjechał przed czasem, stanął w bramie eleganckiego ogrodu i zanim zastanowił się, dokąd skierować kroki, podszedł do niego kelner.

– Pan Tilsha? – zapytał, patrząc gdzieś w bok. Wiktor potwierdził. – Proszę za mną. Miejsce było idealne na dyskretne rozmowy. Duży ogród nad Jeziorem Wiktorii, niewiele oddalonych od siebie stolików, niektóre w oddzielnych altanach. Przy dwóch siedzieli wojskowi. Ich spojrzenia mówiły: „Nie pomyliłeś, chłopcze, lokali?”. Odwrócił wzrok. No tak, na Roberta można liczyć. Wstęp jest niezły, ciekawe, co będzie gwoździem programu.

– Wiktor!

Brat Florence przywitał go szerokim uśmiechem. Wiktor nie zauważył, kiedy się zjawił. W dodatku Robert był w szortach, w takim ubraniu jeszcze go nie widział. Zawsze jeśli nie mundur, to długie spodnie i koszula. A teraz gatki i tiszert Chicago Bulls. Coraz ciekawiej.

– Powędkujemy? – Widząc zdzwioną minę Wiktora, Robert wskazał na sporą motorówkę zacumowaną przy brzegu. Polak odruchowo zerknął na swoje znoszone buty trekkingowe i długie spodnie.

– Nie przejmuj się. – Robert machnął ręką. – Płyniemy sami, nikt nie będzie sprawdzał, jakie masz slipki. – Gestem przywołał nastolatka stojącego przy ogrodowym grillu. Wiktor nie zrozumiał komendy, ale po chwili dwóch chłopaczków truchtało w stronę łodzi z turystycznymi lodówkami.

– Trzymaj się! – krzyknął Robert i ruszył tak ostro, że podniósł dziób motorówki. Bez tego ostrzeżenia Wiktor poleciałby do wody, a tak zwałił się plecami na ławkę przy burcie. Zabolało. Robert wpatrzony w jezioro przed sobą nie zwrócił na niego uwagi. Płynęli szybko, nie odzywając się.

Wiktor zastanawiał się, o co bratu Florence chodzi, bo że nie o wspólne wędkowanie i męskie klimaty, tego był pewien.

Zwolnili po kwadransie, Robert wyłączył silnik, nadal milczał, w dali majaczył brzeg, słycać było fale uderzające o łódź. Wiktor postanowił nie odzywać się pierwszy. Robert krzątał się po łodzi, instalował wsporniki, składał skomplikowany i na oko luksusowy sprzęt wędkarski. W końcu uśmiechnięty padł na przykryte poduchą siedzisko, sięgnął do lodówki i wyjął dwa piwa, jedno podał Wiktorowi.

– Za Florence! – rzucił radośnie.

– Za Florence – odpowiedział Wiktor, zastanawiając się, do czego to wszystko zmierza.

– Ach, nasza mała Florence... – Robert sprawdził ustawienie wędek i wypił na raz pół dużej puszki. – Uważa, że jestem nadopiekuńczy, tłumaczy mi, że jest dorosłą kobietą i sama potrafi o siebie zadbać, ale dla mnie wciąż jest małą dziewczynką. – Zapatrzył się przed siebie. – Kiedy była dzieckiem, ojca prawie nie było. Urodziła się w Tanzanii, gdzie wyemigrowaliśmy za rządów Idi Amina. Ojciec działał, ciągle jeździł z tajnymi misjami, udzielał się w emigracyjnej polityce. Zobacz. – Wyciągnął z portfela czarno-białe zdjęcie, na którym trzech chłopców trzymało na rękach małą dziewczynkę. Wiktor wpatrywał się w fotografię, dopasowując rysy dzieci do twarzy znanych sobie dorosłych. – Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty rok. Florence ma tu cztery lata, ja dziewięć, Vincent siedem. – Robert powoli przesunął palec po zdjęciu.

– A ten trzeci? – zapytał Wiktor.

Robert lekko się uśmiechnął, spojrział mu badawczo w oczy. Chwilę milczał, bardzo krótką chwilę, wystarczająco jednak długą, by odpowiednio wybrzmiała.

– Eddie Mutesi, poznałeś go na wiecu prezydenta. Wychowywaliśmy się razem. Już wtedy – postukał w zdjęcie, uśmiech nie schodził z jego

twarzy – kochał się w naszej małej Florence. – Myśl o tym, żeby żartobliwie skomentować informację, umarła w głowie Wiktora, zanim na dobre się wykluła. To raczej nie był dobry moment.

– W siedemdziesiątym dziewiątym armia tanzańska przepędziła psychopatę Idię Amina i wróciliśmy do Ugandy – ciągnął Robert. – Ale wtedy z kolei tata rzucił się w wir polityki w Kampali i znowu nigdy nie było go w domu. Pamiętam tylko zapach jego koszuli przesiąkniętej dymem papierosowym, kiedy wracał w nocy z tych swoich zebrań i przychodził do naszego pokoju nas pocałować, a ja się czasami budziłem. Każdego wieczoru, kładąc się do łóżka, wymyślałem różne historie, żeby nie zasnąć, żeby doczekać powrotu taty. – Robert urwał. Przez chwilę siedział nieruchomo, po czym znów zaczął sprawdzać wędkę. Wiktor się nie odzywał, popijając piwo małymi łydkami. Robert klasnął lekko w dłonie, jakby chciał wybudzić go ze stuporu. – No więc mama ogarniała dom, a ja byłem odpowiedzialny za młodsze rodzeństwo, przede wszystkim za Florence. Chwilę pomieszkaliśmy w Kampali, a już zaczęła się nowa wojna. Sam wiesz. U władzy znowu był Milton Obote, którego dziesięć lat wcześniej obalił Amin. Przed Aminem nasza rodzina uciekła do Tanzanii. A teraz ojciec, w strachu przed Obote, wysłał nas do Kenii, sam poszedł za Musevenim do buszu. I kolejne sześć lat mieszkaliśmy w Nairobi. O ojcu nie mieliśmy wieści, zobaczyliśmy go dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy partyzanci zdobyli Kampalę. Miałem szesnaście lat, Vincent czternaście, a Florence jedenaście. Nigdy nie zapomnę podróży autobusem z Nairobi do Kampali. Ojciec czekał na nas na dworcu, to było takie dziwne, mama płakała, my z bratem nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić, a Florence strasznie się wstydziła. Przytulała się do mnie i bała się ojca, praktycznie go nie znała, był duchem, legendą, ale nie tatą. Byłem z niego dumny, byłem na niego zły i było mi go żal. A Florence była kompletnie zagubiona. Gdy już razem zamieszkaliśmy, ojciec starał się poświęcać

nam więcej czasu, ale raz, że mu to średnio wychodziło, a dwa, że przyzwyczailiśmy się do życia bez niego. Więc tak, mój przyjacielu, Florence zawsze będzie moją małą siostrzyczką, moim oczkiem w głowie, jej dobro jest dla mnie najważniejsze. – Zamilkł na chwilę i sięgnął do lodówki. Wyjął butelkę ballantinesa, pociągnął z niej solidny łyk i podał Wiktorowi. Ten poszedł w jego ślady. Poczuł uderzenie ciepła. Powtórzyli kolejkę, Robert podał mu kolejne piwo. I jeszcze raz whisky. Przy następnej kolejce Wiktor uniósł ręce w odmownym geście.

– Muszę zwolnić, w zasadzie już się nawaliłem.

Robert z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Serio. Spałem cztery godziny, musiałem skończyć tekst, potem zjadłem jedną samosę, bo myślałem, że idziemy na lunch, a tu konkretna bania w pełnym słońcu na prawie pusty żołądek. Nie dam rady.

– Skoro tak mówisz... Pozwolisz, że ja się nie będę ograniczał. – Robert pociągnął jeszcze raz.

Chmury przykryły słońce, zerwał się lekki wiatr, ręce Wiktora pokryły się gęsią skórką.

– No a co u ciebie? Jakie plany? Nie rozmawialiśmy, odkąd wróciliście z Zairu.

Fakt, nie rozmawiali. Przylecieli z Bukawu jakiś czas temu. W mieście nad jeziorem spędzili trzy dni i trzy noce. Pracujący w jednej z organizacji pozarządowych znajomy Mary Anne i Jana poleciał na urlop do rodzinnej Holandii i zostawił im swoje mieszkanie w rozpadającej się kolonialnej willi z ogrodem i widokiem na jezioro Kiwu. Myśleli, że z portu dojdą tam w kilka minut, w rzeczywistości mieli do przebycia dobre półtora kilometra, jeśli nie więcej, pod górę i w dół na przemian, ani kawałka po płaskim, w osiągającym maksimum dziennej mocy słońcu. Doszli, szorując językami po ziemi i charcząc z pragnienia, z nadzieją, że w lodówce jest choć jedna butelka zimnej wody. Była nawet cała zgrzewka, a dodatkowo dwie butelki musującego wina z karteczką

ozdobioną serduszkami i ręcznym dopiskiem: „Bawcie się dobrze, dzieciaki. Daan”. Zabawili się.

Pierwszego dnia nie wyszli z domu, a w zasadzie z łóżka, jeżeli przyjmiemy, że za łóżko może służyć właściwie każdy domowy sprzęt. Chcieli też sprawdzić ogród, ale zanim doszło co do czego, usłyszeli głos z góry:

– To wy jesteście znajomymi Daana? – Przez balkon wychylała się starsza Mulatka. – Witajcie w Bukawu. Dajcie znać, jeśli czegokolwiek będziecie potrzebowali.

Potrzebowali czasu, ale tego sympatyczna sąsiadka dać im nie mogła. Na leżakach w ogrodzie popijali wino, słuchali Mano Negry ze znalezionych przy odtwarzaczu płyt, oglądali zachody słońca. W zbiorach kaset wideo gospodarza znaleźli *Przed wschodem słońca*, film, który Wiktor rok wcześniej widział z ojcem w Warszawie. Florence nie znała niemiłosnej historii miłosnej, w której główne role odgrywali Julie Delpy i Ethan Hawke. Oglądali opowieść o Francuzce i Amerykaninie, którzy przypadkiem spotykają się w pociągu, spędzają noc, rozmawiając o wszystkim i o niczym i włączając się po Wiedniu, po czym się rozstają, a Wiktor czuł, jak ściska go w środku. Im bliżej końca, tym mocniej Florence się w niego wtulała. Miał wrażenie, że płacze, wolał nie sprawdzać. Nie zapalili światła, kiedy film się skończył.

– Myślisz, że się jeszcze spotkają? – Florence przerwała milczenie. W jej błyszczących oczach odbijała się ogrodowa latarnia.

– Ech, mam nadzieję.

– Dlaczego nie wymienili się adresami? Dlaczego tak wszystko skomplikowali? – Florence włączyła światło.

– Bo na początku ustalili, że ta historia nie ma mieć dalszego ciągu. Dlatego było im tak super.

– Ale to przecież nie matematyka, zasady można zmieniać! I było widać, że chcą ciągu dalszego! Jezu. – Florence nie mogła się pogodzić.

Im bardziej nie mieli pomysłu na rozwikłanie własnej sytuacji, tym częściej przez kolejne dwa dni, włącząc się bez celu po Bukawu, wracali do *Przed wschodem słońca*. A potem wrócili do Kampali.

– Jakie plany? – Wiktor odpowiedział pytaniem na pytanie Roberta, chcąc zyskać jeszcze choć chwilę. – W przyszłym tygodniu lecę do Somalii, pewnie na dziesięć dni, może na dwa tygodnie. Wrócę, napiszę i zobaczę, co dalej. – To było wszystko, co wymyślili w Bukawu. Dawało im parę kolejnych tygodni.

– Zobaczysz, co dalej... – powtórzył nagle jakby nieobecny Robert. Mimo wcześniejszej odmowy Wiktora znów podał mu whisky. W wyrazie jego twarzy było coś takiego, że Wiktor mechanicznie pociągnął z butelki. Zapiekło, skrzywił się, był pijany. Robert spojrzał w coraz ciemniejsze niebo. Jakby zasuwał się stalowy dach. – Idzie ulewa, powinniśmy wracać – oznajmił, ale nie ruszył się z miejsca. Wyciągnął papierosa, poczęstował Wiktora. Zapalili.

Spadły pierwsze krople deszczu. Oślonili żar dłońmi. Mogli się schować w kabinie, ale Robert ewidentnie wolał zostać na zewnątrz.

– Płyniemy z powrotem? – zapytał Wiktor. Deszcz się nasilał, brzeg rozmył się we wszechobecnej szarości.

– Mam dla ciebie propozycję – odezwał się Robert, ignorując pytanie. – Wyjedziesz z Ugandy. Jutro. I już nie wrócisz.

– Co? – Wiktor zaczął się śmiać, ale widząc wyraz twarzy mężczyzny, zamilkł. Ten ciągnął, nie zważając na reakcję Polaka.

– Wyjedziesz i nie wrócisz. Nie pożegnasz się z Florence. Masz natychmiast zniknąć z jej życia. Na zawsze. – Zamilkł i spojrzał Wiktorowi w oczy.

– To jakiś żart? Jesteśmy w ukrytej kamerze? – Alkohol buzował w żyłach, Wiktor czuł się skołowany, scena, w której właśnie brał udział, wydawała mu się nierzeczywista, intensywny deszcz zalewał twarz. – Nie bardzo rozumiem...



– To czas zrozumieć. Dobrze się bawiliście, piękna romantyczna przygoda i starczy. Ożenisz się z nią?

– Co to w ogóle za pytanie?

Łodzią bujnęło. Wiktor o mało nie stracił równowagi, a alkohol nie pomagał w jej utrzymaniu.

– Podstawowe. Ożenisz się z nią? Zostaniesz w Ugandzie? Wejdiesz do naszej rodziny?

– To nie twoja sprawa.

– Właśnie, że moja. Bo to moja mała siostrzyczka, a ty, kolego, ją zranisz, bo prędzej czy później wyjedziesz i ją zostawisz. Będzie cierpiała, a gdy o tym myślę, mam ochotę stać się baaardzo – wyraźnie przeciągnął samogłoskę – złym człowiekiem. Nie chcesz wiedzieć, jak bardzo złym.

Wiktor poczuł chłód. Zagryzał zęby, żeby nie drzeć.

– Więc lepiej, żeby to stało się jak najszybciej, dzisiaj, jutro, bez żadnych furtek i nadziei.

– Nie możesz za nią decydować, jest dorosła. Rozmawiamy z Florence o tym, co dalej. – Starał się, by w jego głosie zabrzmiało zdecydowanie, ale nawet dla siebie nie był zbyt przekonujący.

– Nie mogę? Powiem ci, czego nie mogę. Nie mogę patrzeć, jak ona już cierpi, na jej smutek, na to, jak się łądzi, że macie jakąś przyszłość, podczas gdy dla ciebie to tylko fajna afrykańska przygoda.

– To nieprawda! – wykrzyknął Wiktor i zawiesił się, jakby chciał powiedzieć coś więcej, coś, co by wszystko zmieniło. Ale nie powiedział.

– Nie obchodzi mnie, co ci się wydaje. Wracamy, pakujesz się i spierdalasz. Raz, a dobrze.

– Nie możesz...

– Nie możesz, nie możesz, nie możesz... – Robert przedrzeźniał Wiktora.

Trzymali się relingów, łódź tańczyła na falach.

– Mogę cię w tej sekundzie wrzucić do wody, nie ma szans, żebyś dopłynął do brzegu. Och, jaka szkoda, cóż za nieszczęśliwy wypadek! Taki młody, taki zdolny, miał przed sobą całe życie. – Robert wznosił ku niebu oczy i otwarte dłonie. – Robiłem, co mogłem, nie udało się chłopaka uratować – przemawiał kpiarskim tonem, ale Wiktor nie miał najmniejszych wątpliwości, że brat Florence jest śmiertelnie poważny. Jak błyskawica przemknęło mu przez głowę pytanie, co by się stało, gdyby to on nagle pchnął Roberta.

– Więc płyniemy do brzegu – Robert rozejrzał się po rozgniewanym jeziorze – o ile dopłyniemy. To by był numer, gdybyśmy razem utonęli – zaśmiał się sarkastycznie. – Płyniemy, jedziesz do siebie, pakujesz się i wyjeżdżasz. Żadnych obietnic i aluzji. Jutro wypierdasz do Kenii, Somalii czy prościutko do tej swojej Polski, gównu mnie obchodzi dokąd. Nie wracasz. I nie musisz martwić się o to, że jakaś ciężarówka ze zjebanymi hamulcami zrobi z ciebie krwawą miazgę.

## PODZIĘKOWANIA

Nie napisałbym *Czerwonej ziemi* bez pomocy wielu osób. Krzysztof Leśniewski, mój prezes w czasie, gdy pracowałem w Grupie Wydawniczej Foksal i Wydawnictwie W.A.B., niemal siłą wypchnął mnie do Ugandy i Demokratycznej Republiki Konga, bym wrócił tam tak jak Wiktor po dwudziestu czterech latach i wreszcie wziął się do spisania historii, o której tyle opowiadałem. Gdyby nie ten kilkutygodniowy wyjazd, nie byłoby powieści, którą właśnie przeczytaliście. Zdążyłem w ostatniej chwili, tuż przed pandemią i zamknięciem granic.

Anna Kućma, Lulu Jemimah, Michael O'Hagan, Sebastian Silewicz pomogli mi w Ugandzie, Miha Logar w Rwandzie, a Dominik Ebebenge i T. w Demokratycznej Republice Konga.

Maćkowi Ślusarkowi i Martynie Wojciechowskiej dziękuję za kontakty, Piotrowi Niemczykowi, Błażewi Popławskiemu, Mateuszowi Tutajowi i Markowi Kozłowskiemu za konsultacje, Marcie i Zygmuntovi Miłoszewskim za olsztyńską miejscówkę do pisania, a Krzysztofowi Zalewskiemu za opowieść.

Maszynopis *Czerwonej ziemi* na różnych etapach czytali i dzielili się ze mną uwagami: Wojciech Chmielarz, Anna Dzewit-Meller, Anna Kućma, Cezary Łazarewicz, Maciej Łubieński, Zygmunt Miłoszewski, Marek Węcowski, Ewa Winnicka i Ula Niewirowicz. Dzięki Wam wielkie!

Podziękowania zechce przyjąć dwójka wspaniałych redaktorów: Elżbieta Kalinowska i Maciej Makselon, którzy dyscyplinowali mój radosny chaos i słowny barok.

Piątka należy się Wydawnictwu WAB, które cierpliwie znosiło przekroczenia kolejnych terminów. Nieustanne lockdowny i domowa zdalna nauka są jedynie częściowym usprawiedliwieniem.

No i Ania, która zajmowała się naszymi dziećmi, kiedy znikąłem w Afryce i zamykałem się na Mazurach, żeby czytać i pisać. I nie wiem, jak zniosła te wszystkie psychodramy, blokady i zwątpienia pana debiutującego powieściopisarza. Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Opieka redakcyjna: Maciej Makselon  
Redaktorka prowadząca: Aleksandra Janiszewska  
Redakcja: Elżbieta Kalinowska  
Korekta: Marta Stochmiałek, Małgorzata Denys  
Skład i łamanie: Katarzyna Piątek  
Projekt okładki: Joanna Strękowska-Türkmen  
Zdjęcie okładkowe: © Georg Gerster/Panos Pictures

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN: 978-83-66526-33-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**